**OFIARA DOSKONAŁA**
Molestowane siostry: kościelne tabu

**BUNT BIZNESU**
Albo mandat, albo bankructwo

**DONIECK WOŁA**
Podziemie pod okupacją

**OSIECKA W TVP**
Jak zmarnować taką opowieść

**KRYL JEST JEDEN**
Najważniejsze zwierzę Antarktyki

Kraków 24 stycznia 2021 nr 4 (3733) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

# Oko TikToka

## Dlaczego tańczymy, jak nam zagrają media społecznościowe

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

# Podwójne wydanie specjalne ŚWIĘTO SPOTKANIA – do czytania i do słuchania!

**Wydanie papierowe – ostatnie dni w sprzedaży!**

**Mistrzowskie teksty i rozmowy o byciu razem, wspólnocie, tęsknocie i... stole.**

Do czytania – szukaj w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/swietospotkania, a do słuchania jako audiobook, w interpretacji znakomitych lektorów – tylko w aplikacji Audioteka.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNERZY WYDANIA

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

ZAiKS

SOS WIOSKI DZIECIĘCE

Wrocławski Dom Literatury

PARTNER STRATEGICZNY:

audioteka

KS. ADAM

# Boniecki: *Jak usiąść i słuchać w internecie*

Wystarczy przeczytać dwa teksty – Moniki Ochędowskiej o TikToku oraz Agaty Kaźmierskiej i Wojciecha Brzezińskiego o roli portali społecznościowych w prezydenturze Donalda Trumpa – by zyskać pewność, że żyjemy już w nowej epoce. Przy sile rażenia i skuteczności nowych mediów te tradycyjne, „opiniotwórcza" prasa, radio i telewizja, wydają się reliktami przeszłości. O aktywności amerykańskiego prezydenta na Twitterze nasi autorzy piszą, że „dzięki niej wymijał tradycyjne media, ale także własny sztab – i zwracał się bezpośrednio do odbiorców". Tu jest pies pogrzebany.

Czytając o TikToku, ktoś nawykły do myślenia w kategoriach tradycyjnych przeciera oczy. Oto niemal niepostrzeżenie, ta skądinąd duża i wciąż rozrastająca się platforma służąca chwytliwej, mało ambitnej rozrywce, zostanie – lub już została – zaprzęgnięta do gigantycznego programu chińskiej propagandy. Albo Trump. *Coup de grâce* dla niego to decyzje platform społecznościowych o zamknięciu jego kont. Gdy żegnał się z nim Twitter, Trump miał 88 mln obserwujących. Kształt naszego życia społecznego jest coraz bardziej zależny od decyzji kilku wielkich firm. Omijając tradycyjne media, omija się też wypracowane przez lata zasady i przepisy mające chronić odbiorcę. A rozwiązań prawnych strzegących etosu mediów społecznościowych jeszcze nie ma.

Papież Franciszek w encyklice „Fratelli tutti", w której wzywa do odbudowania powszechnego braterstwa mieszkańców Ziemi, z 297 paragrafów pięć (42-46) poświęcił mediom cyfrowym. Jego diagnoza jest negatywna. Zauważa, że w komunikacji cyfrowej zanika szacunek dla drugiego człowieka, wszystko staje się rodzajem spektaklu. Kontakty wirtualne, pisze, „zwalniają ze żmudnego pielęgnowania przyjaźni, stabilnej wzajemności, a także z dojrzewającej z czasem zgodności", „nie budują prawdziwie »nas«, ale zazwyczaj maskują i wzmacniają ten sam indywidualizm, który wyraża się w ksenofobii i pogardzie dla słabych".

Chociaż jeszcze niedawno tyle się mówiło o dobru, które miało ludziom przynieść cyfrowe połączenie świata w – jak to dziś naiwnie brzmi – globalną wioskę, Franciszek, po latach doświadczeń ludzkości z siecią, zauważa, że takie połączenie „nie wystarcza do budowania mostów, nie jest w stanie zjednoczyć ludzkości", lecz sprzyja agresji: obrażaniu, znęcaniu się, wykluczaniu, „aż po zniszczenie drugiej osoby z wściekłością, która nie mogłaby zaistnieć w realnym kontakcie". „W urządzeniach mobilnych i komputerach – pisze – agresywność społeczna znajduje możliwość niezrównanej ekspansji".

Franciszek również wskazuje na rolę interesów ekonomicznych w świecie cyfrowym, które „tworzą mechanizmy manipulowania sumieniami i procesem demokratycznym". Widzi też zagrożenie, jakie powstaje w internetowych „bańkach": „Działalność wielu platform internetowych często polega na ułatwianiu spotkań osób podobnie myślących, utrudniając konfrontację między zróżnicowanymi stanowiskami. Te zamknięte obiegi ułatwiają rozpowszechnianie fałszywych informacji i wiadomości, podsycając uprzedzenia i nienawiść" – pisze. Przypomina też, że w napędzanych cyfrowo fanatyzmach mają udział również osoby religijne, w tym chrześcijanie.

Może my, użytkownicy, też wchodzimy w punkt zwrotny (tak jak, według Kaźmierskiej i Brzezińskiego, wielkie platformy): dostrzegłszy, co nasze narzędzia do komunikacji z nami robią, możemy się zacząć zastanawiać, czego w nich brakuje do „budowania mostów". We „Fratelli tutti" pada zdanie, które brzmi jak ideał korzystania z mediów społecznościowych: „Usiąść i słuchać drugiego człowieka – zachowanie charakterystyczne dla spotkania między ludźmi – to wzór postawy otwartości tego, kto przezwycięża swój narcyzm i akceptuje drugiego, zwraca na niego uwagę i przyjmuje go do własnego kręgu".

Może też nie jest tak źle, skoro od 2012 r. papieże mają konto na Twitterze (@Pontifex), które obserwuje dziś prawie 19 mln użytkowników. Mniej niż Trumpa, ale zawsze coś. ©℗


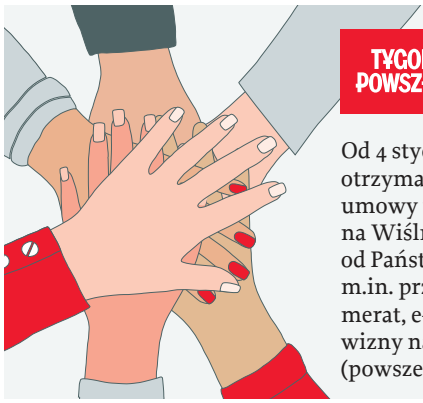

TYGODNIK POWSZECHNY

## Zróbmy sobie miejsce!

Od 4 stycznia, czyli od dnia otrzymania wypowiedzenia umowy wynajmu redakcji na Wiślnej 12, płynie do nas od Państwa rzeka wsparcia, m.in. przez wykup prenumerat, e-dostępów, darowizny na Fundację TP (powszech.net/dar), wpłaty przez system mikropłatności FaniPay. Otrzymujemy od Państwa także wiele deklaracji pomocy: rzeczowej, technicznej oraz – finansowej. Widząc Państwa spontaniczne gesty pomocy, uruchomiliśmy zbiórkę celową, z której wpływy zostaną przeznaczone na nowe miejsce „Tygodnika" na mapie Krakowa. Zbiórka jest dostępna pod adresem **powszech.net/miejsce.**

**„Tygodnik" jest suwerenny dzięki Czytelnikom. To Państwa domy są prawdziwą siedzibą „Tygodnika".**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**28 Powstanie styczniowe**
MAREK RABIJ
*Tysiące przedsiębiorców muszą wybierać między poczuciem obowiązku wobec społeczeństwa a bytem swoich rodzin.*

**32 Ofiara doskonała**
EDWARD AUGUSTYN
*Wykorzystywanie seksualne zakonnic przez księży to wciąż temat tabu w Kościele. Choć wiele wskazuje na to, że skala problemu jest znaczna.*

**42 Tu woła Donieck**
MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA
*Są jedynym wolnym od rosyjskiej propagandy źródłem informacji z Doniecka i Ługańska. Ryzykują życiem, żeby do świata dotarły informacje o tym, co dzieje się w ich rodzinnych miastach.*

**60 Stare drzewa i ich związki**
MARTA ALICJA TRZECIAK
*Opieka rodzicielska, handel, systemy wczesnego ostrzegania przed zagrożeniami. Podziemne sieci leśnych połączeń odsłaniają przed nami nowy obraz życia – i jego historii.*

**71 Apel poległych**
JAKUB MAJMUREK
*Oglądamy świeckie, swobodne obyczajowo artystyczne elity, które mimo PRL-u tworzyły fascynującą kulturę. Jak pokazuje zrealizowany dla TVP serial „Osiecka" – w roli tytułowej Magdalena Popławska – z najlepszych składników można ugotować niestrawne danie.*

**78 Kryl jest jeden**
MIKOŁAJ GOLACHOWSKI
*Oto dominujący gatunek na naszej planecie. Około 500 milionów ton biomasy. Wagowo jest go o jedną trzecią więcej niż ludzi. Król Antarktyki!*

ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS // WIESŁAW M. ZIELIŃSKI / EAST NEWS // ADOBE STOCK // HELMUT CORNELI / ALAMY / BEW // MATERIAŁY PRASOWE // NIKITA TITOW

**6 Ciche ofiary pandemii**
MACIEJ MÜLLER

**7-11 Obraz tygodnia**

**20-21 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

**KRAJ**

**22 Nikt z tego nie wyjdzie sam**
ROZMOWA Z ANDRZEJEM RYSIEM:
*Szczepienie to odpowiedzialność za własne zdrowie, ale również za przebieg pandemii*

**26 Sejm to nie Kapitol**
PAWEŁ MARCZEWSKI:
*Porównywanie polityków PiS do Trumpa ani nie zniechęci ich wyborców, ani nie przekona przeciwników*

**28 Powstanie styczniowe**
MAREK RABIJ

**WIARA**

**32 Ofiara doskonała**
EDWARD AUGUSTYN

**37 Perspektywa Hioba**
JÓZEF MAJEWSKI:
*Chrześcijańskie odpowiedzi na pytanie o sens cierpienia*

**40 Kobiety dookoła ołtarza**
PIOTR SIKORA:
*Od teraz mogą być stałymi lektorkami i akolitkami*

**ŚWIAT**

**42 Tu woła Donieck**
MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

**46 Kwestia czasu**
MARTA ZDZIEBORSKA:
*Pierwszym testem dla prezydentury Bidena będzie odpowiedź na pandemię*

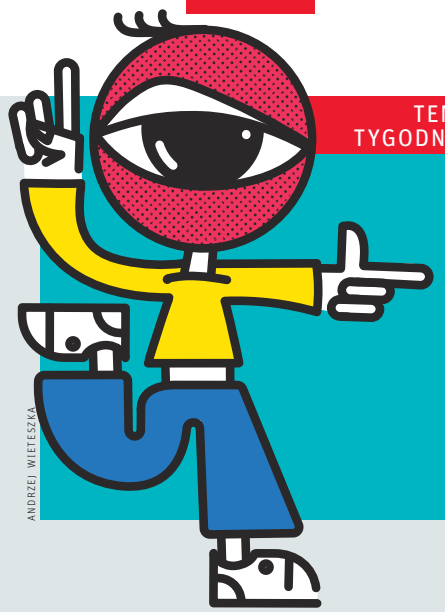


TEMAT TYGODNIKA

**12 Czerwony algorytm**
MONIKA OCHĘDOWSKA
Boicie się, że Facebook i Twitter zmieniły naszą demokrację i kulturę? Oto nadchodzi TikTok.

**17 Zasady społeczności**
AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Monopol na sprawy ważne dla całych społeczeństw ma dziś kilka prywatnych firm. A one znalazły się właśnie w punkcie zwrotnym – nie wiemy tylko, czy na lepsze, czy na gorsze.

**FELIETONY**

**41** WOJCIECH BONOWICZ
**58** HANNA KRALL
**76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
**82** STANISŁAW MANCEWICZ
**82** BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: ANDRZEJ WIETESZKA DLA „TP”
Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

**48 Myślę, że zawiedliśmy**
PATRYCJA BUKALSKA
*Kolejna fala epidemii rozwiewa w Szwecji ostatnie złudzenia*

**50 Czeski bunt**
ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI:
*W Czechach mało kogo ruszają jeszcze słupki zakażeń. Ludzie chcą na narty. I chcą pracować*

**HISTORIA**

**54 Do Kanady i z powrotem**
KRZYSZTOF TARKA: *60 lat temu zza Atlantyku do Polski wróciła ostatnia, największa część skarbów wawelskich*

**NAUKA**

**60 Stare drzewa i ich związki**
MARTA ALICJA TRZECIAK

**KULTURA**

**64 Wszystkie papugi pana Barnesa**
DOROTA KOZIŃSKA:
*Gdy debiutował, sam sobie napisał i opublikował miażdżącą recenzję*

**68 Wracaj częściej**
DARIUSZ KOSIŃSKI
*o najnowszym przedstawieniu Katarzyny Kalwat „Powrót do Reims”*

**71 Apel poległych**
JAKUB MAJMUREK

**74 Nowy Babilon Berlin**
ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Berlin Alexanderplatz” Burhana Qurbaniego*

**76 Klasyk z Buczacza**
LEKTOR *o książce Szmuela Josefa Agnona „Przysięga wierności”*

**ZMYSŁY**

**78 Kryl jest jeden**
MIKOŁAJ GOLACHOWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

**Sztuka Powszechnie Nieznana [Podkast Powszechny]**
*Kim był Eadwin zwany „księciem skrybów”? Kiedy w klasztorze przy katedrze w Canterbury powstały wodociągi? I jaka jest rola jeża w biblijnej Księdze Psalmów?*
– wyjaśnia **MAGDALENA ŁANUSZKA** powszech.net/podkast

**Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]**
*Byłam wychowywana jak pierworodny syn, który ma opuścić gniazdo i dowieść swojej wartości w świecie*
– mówi pisarka **JOANNA BATOR** w kolejnym odcinku cyklu **KATARZYNY KUBISIOWSKIEJ** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

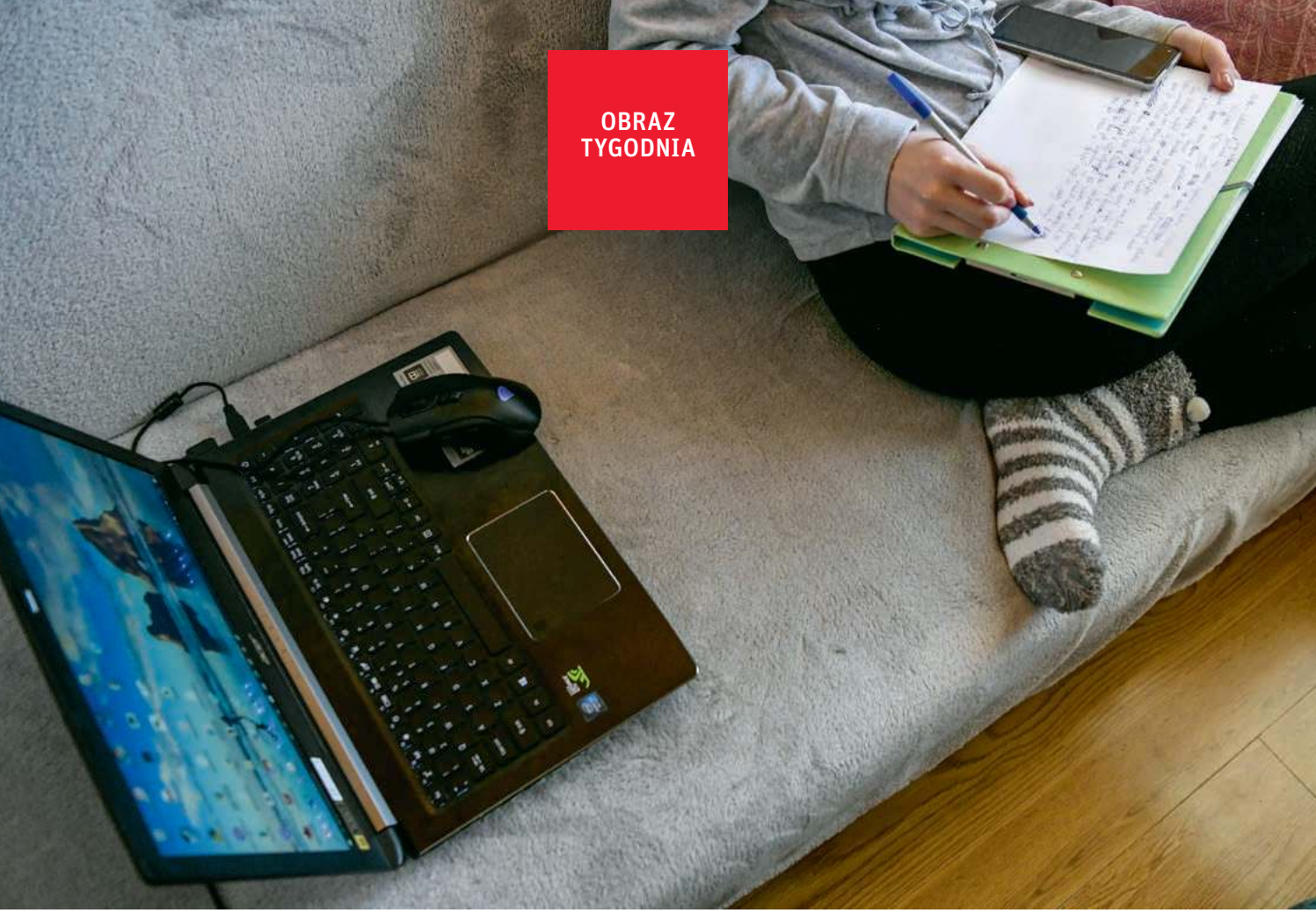

OBRAZ TYGODNIA

# CICHE OFIARY PANDEMII

Dzieci i młodzież uginają się pod presją nauki zdalnej i cierpią z powodu zerwanych więzi społecznych. W takiej sytuacji liczą się każde pieniądze na opiekę psychiatryczną.

MACIEJ MÜLLER

*Nauka zdalna w Przemyślu, styczeń 2021 r.*

Przeciwko przyznaniu 80 mln zł na psychiatrię dzieci i młodzieży zagłosowali wszyscy senatorowie PiS. Poprawkę do budżetu o takiej treści zaproponowała Lewica. Senatorowie wyjaśniali, że nie chcą wprowadzać chaosu w ustawę budżetową, że poprawka jest niepotrzebna, bo świadczenia w psychiatrii dziecięcej nie są limitowane, a poza tym główną bolączką tej dziedziny jest brak specjalistów.

Istotnie, kadry są niewielkie: psychiatrów dziecięcych pracuje w całej Polsce ok. 450. Specjalizacja jest trudna, zarobki na ogół mało atrakcyjne, a warunki pracy często fatalne.

– Te pieniądze oczywiście byłoby na co sensownie wydać i niechęć do ich przyznania bez wątpienia rozczarowuje – mówi dr hab. Maciej Pilecki, specjalista psychiatrii ogólnej oraz dzieci i młodzieży z UJ (zob. rozmowę na powszech.net/psychiatria). Zaznacza jednak, że doniesienia na temat sporu w parlamencie akcentują tylko jedną stronę zagadnienia: – Trwa reforma opieki psychiatrycznej, w całej Polsce uruchomionych zostało już kilkaset poradni środowiskowych dla dzieci i młodzieży.

Niemniej potrzeb jest mnóstwo. Chodzi np. o uruchomienie kolejnych poradni i oddziałów stacjonarnych, doposażenie istniejących oraz zachęty finansowe dla lekarzy. – Na obecnym etapie reformy istotna jest też integracja wysiłków podejmowanych przez różne instytucje – tłumaczy Pilecki. – Potrzebne jest większe zaangażowanie pediatrów i lekarzy pierwszego kontak-

tu w kwestie zaburzeń psychicznych u dzieci, programy profilaktyczne, ściślejsza współpraca między systemem opieki psychiatrycznej a systemem edukacji czy resocjalizacji. We wszystkich poradniach pedagogiczno-psychologicznych powinny działać programy terapeutyczne, w każdej szkole – pracować pedagog lub psycholog, i to w wymiarze godzin odpowiadającym liczbie uczniów.

Raport NIK z września 2020 r. wskazał, że oddziały psychiatrii dziecięcej w Polsce są rozmieszczone nierównomiernie, a w kilku województwach nie ma ich w ogóle. Tymczasem „9 proc. dzieci i młodzieży poniżej 18. roku życia, czyli ok. 630 tys., wymaga pomocy systemu lecznictwa psychiatrycznego i psychologicznego".

Czas pandemii fatalnie wpływa na stan psychiczny młodych ludzi. Oddział Kliniczny Psychiatrii Dorosłych, Dzieci i Młodzieży SU od 1 lipca do 30 listopada 2020 r. konsultował 158 dzieci po 14. roku życia w głębokim kryzysie psychicznym, wymagających natychmiastowej interwencji psychiatrycznej. W większości przypadków chodziło o próby samobójcze. Lekarze zauważyli, że liczba pacjentów wzrastała w miarę, jak zbliżał się moment powrotu do szkół. Dlaczego? – Po długim okresie zamknięcia w domu dzieciom bardzo trudno powrócić do wcześniejszego trybu funkcjonowania – mówi Maciej Pilecki. – Wiele z nich odkrywa, że czas nauki zdalnej wiązał się z pozorowaną aktywnością, i spodziewa się trudności z materiałem realizowanym w klasie. Ktoś, kto przeżywa trudności lękowe, podczas lockdownu nie konfrontował się z tym, co wzbudzało w nim niepokój. Nie musiał wychodzić z domu, spotykać się z ludźmi, czuł ukojenie związane z tą sytuacją. Powrót do normalnego życia jest w takim przypadku niezwykle trudny.

Do tego dochodzą kwestie uzależnień od komputera i środków psychoaktywnych, a także potęgujący się podczas zamknięcia problem przemocy domowej.

Medialna burza wokół głosowania w Senacie wpłynęła na zmianę stanowiska PiS. Wicemarszałek Senatu Stanisław Karczewski zapowiedział, że premier i minister zdrowia przedstawią plan wykorzystania „kwoty ponad 80 mln zł" na psychiatrię dziecięcą. ©℗

DAREK DELMANOWICZ / PAP

## Szczepienia żółwim tempem

**NIESPEŁNA 19,5 TYSIĄCA** dziennie – w takim tempie Polska szczepiła przeciw COVID-19 do minionego weekendu. – Szczepienia potrwają cztery lata! – ostrzegają domorośli epidemiolodzy.

W tym tygodniu statystyki jeszcze się prawdopodobnie pogorszą. Rząd wstrzymał szczepienia „grupy zero", ponieważ producent ogłosił kilkudniowe zmniejszenie dostaw szczepionek do Europy ze względu na modernizację linii produkcyjnej w belgijskiej fabryce. Od 25 stycznia dostawy mają wrócić do normy, ale rząd prezentuje skrajnie zachowawcze stanowisko, magazynując pełną pulę dawek na drugie szczepienie. Przykłady Włoch, Danii czy Wielkiej Brytanii, gdzie wszystkie dostępne dawki „rzuca się" na pierwsze szczepienie (o przejściu na taką strategię mówią też Niemcy), nad Wisłą nie robią wrażenia.

Oczywiście trzeba zakładać, że tempo całej operacji wkrótce wzrośnie. Ale nie dlatego, że zamiast w kilkuset miejscach w Polsce, szczepienia będą się odbywać w kilku tysiącach punktów. Dopóki do Polski nie trafią szczepionki kolejnych producentów, i to nie w śladowej ilości, jak w ubiegłym tygodniu szczepionki Moderny, tylko liczone w setkach tysięcy sztuk, nie ma szans na przełom.

W tym kontekście decyzja rządu sprzed kilku miesięcy, by nie kupować pełnej dostępnej dla Polski puli szczepionek Moderny, drugiej w kolejności dopuszczonej na rynek UE, musi uwierać. Chcąc zaoszczędzić, bo preparat Moderny jest najdroższy, zdaliśmy się na łaskę i niełaskę (a tak naprawdę na nieprzewidywalność procesu produkcji i dystrybucji) jednego producenta. I to w newralgicznym momencie pandemii, gdy nad Europą krąży widmo trzeciej fali zakażeń. © MAŁGORZATA SOLECKA

## Na sankach i u rodziny

**ZAKOŃCZONE W OSTATNIĄ NIEDZIELĘ** ferie zimowe, skumulowane w tym roku do dwóch tygodni dla wszystkich województw, zapamiętane zostaną raczej jako feeria administracyjnej hipokryzji i ludzkiego kombinowania.

Podjęta przed świętami decyzja o zamknięciu stoków narciarskich na okres do końca ferii – wydłużony do 31 stycznia – dotknęła przede wszystkim właścicieli wyciągów. Cztery miliony polskich narciarzy mniej przejęły się restrykcjami. Wielu wybrało przebranżowienie lub slalom między „niedogodnościami regulacyjnymi", jak nazwała rządowe zakazy była minister Jadwiga Emilewicz, wciągnięta razem z synami na listę dopuszczonych do korzystania z wyciągu zawodników.

Zamiast możliwych do okiełznania tłumów na stokach, mieliśmy niezdystansowaną kolejkę na Śnieżkę i inne wyprawy szturmujące najpopularniejsze polskie szlaki i szczyty, często półnago, w zgodzie z modą na morsowanie, które wynurzyło się z wody i ruszyło w góry. Trasowi narciarze masowo przerzucali się na skitury i biegówki. Były zgromadzenia pod popularnymi schroniskami, grupowe kuligi i renesans rodzinnego, często stadnego saneczkarstwa. Krótki stok pod Biskupią Kopą na Opolszczyźnie (na zdjęciu) mnogością postaci i ludzkich interakcji przywodził na myśl raczej sceny z zimowych obrazów Bruegla niż wizję malowaną w wyobraźni twórców pojęcia „narodowej kwarantanny".

BARTEK DOBROCH

Ferie sprzyjały więc bogatym, sprytnym i uprzywilejowanym. W Zakopanem czy pod schroniskiem Andrzejówka w Sudetach parkowały kampery. Na narty w Alpy można było wybrać się jedynie do Szwajcarii, gdzie wedle ścisłych reguł sanitarnych pracowała większość wyciągów oraz hoteli. W Polsce miejsce ukróconych wyjazdów służbowych zajęły pobyty „u rodziny w górach". Często tej na nowo odkrytej albo świeżo przyszytej.

W ostatnią niedzielę fala powrotów od owych rodzin zakorkowała zakopiankę. Równie skutecznie jak za czasów ferii w starej dobrej normalności. © BARTEK DOBROCH

# Pensje i Stołki

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Konflikty rozsadzają obóz władzy – wrogie frakcje zaczynają się nagrywać i otwarcie bić o pieniądze. A to znaczy, że PiS jest już tak skłócony, iż stracił zdolność do wprowadzania kontrowersyjnych reform i do wyborów będzie zajęty głównie sobą. Wybrańcy Ziobry z Krajowej Rady Sądownictwa otwarcie wzięli się za łby. To nie jest wojna o wartości, tylko o pieniądze. Okazało się, że w trakcie pandemii znacznie wzrosła liczba zdalnie organizowanych posiedzeń komisji roboczych KRS. A za to płynęły diety. Najbardziej pracowita okazała się komisja ds. danych osobowych. Kieruje nią sędzia Maciej Nawacki, który zasłynął z tego, że dostał się do KRS, bo sam sobie podpisał listę poparcia. Teraz okazało się, że jest także przedsiębiorczy – zainkasował ponad 22 tys. zł diet w niespełna pół roku.

Takich sędziów było więcej. Szef KRS Leszek Mazur wprowadził obowiązek organizowania posiedzeń komisji wyłącznie w dniach, w którym spotyka się cała rada. Ale Nawacki i jego koledzy mu nie darowali – Mazur został odwołany. Tego już się nie da skleić: wewnętrzny konflikt wśród sędziów z nadania PiS pokazuje, że KRS nie jest zdolna do wypełniania woli Jarosława Kaczyńskiego, który na nowo snuje plany wielkich zmian w sądach.

W Wałbrzychu doszło z kolei do otwartej wojny stronników szefa Kancelarii Premiera Michała Dworczyka i byłej minister edukacji Anny Zalewskiej. Zwolennicy Zalewskiej nagrali ludzi Dworczyka podczas korupcji politycznej. Dworczykowcy próbowali przeciągać na swą stronę niechętnego im działacza, szantażując go utratą pracy, którą dostał z politycznego klucza. Kaczyński rozwiązał struktury PiS w Wałbrzychu, ale wojny Zalewskiej z Dworczykiem nie jest w stanie zakończyć.

Takie mniejsze, coraz ostrzejsze konflikty nakładają się na zasadnicze podziały, w tym na ten najważniejszy: wojnę między Morawieckim a Ziobrą. Premier wypycha ludzi Ziobry z ostatniej ich biznesowej przystani – banku Pekao S.A. Niedawno odeszło dwóch wiceprezesów kojarzonych z Ziobrą, a w finale także jego brat. Morawiecki ewidentnie chce wziąć ziobrystów głodem. ©

*Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".*

## KRAJ W SKRÓCIE

**ZŁO ATAKUJE**
**„Dzisiaj odrzucenie zła jest czymś niezwykle istotnym, bo zło atakuje. Atakuje nasz kraj, ojczyznę, naród" – mówił Jarosław Kaczyński podczas transmitowanej przez TVP mszy w 8. rocznicę śmierci jego matki. Jedna z refleksji wystąpienia prezesa PiS w starachowickim kościele była poświęcona wyemitowanemu przez tę stację filmowi Sylwestra Latkowskiego o aferze Amber Gold, „może nie zawsze łatwego w odbiorze", ale „doskonale pokazującego, na czym polegał mechanizm rządzenia Polską w ciągu dziesięcioleci".**

**SMOG DUSI**
**Jeżeli o nas chodzi, odrzucilibyśmy także zło smogu: w mroźne styczniowe noce stężenie pyłów PM 10 i PM 2,5 było pięcio-sześciokrotnie, a w niektórych podwarszawskich miejscowościach nawet dziesięciokrotnie wyższe od przyjętych norm.**

JAKUB WOSIK / REPORTER

**RZĄD CHRONI**
**Rząd ma jednak pilniejsze sprawy na głowie, np. projekt ustawy o mediach społecznościowych, zgodnie z którym nie będą one mogły usuwać treści ani blokować kont użytkowników nienaruszających polskiego prawa. Ewentualne skargi internautów miałaby rozpatrywać specjalnie powołana Rada Wolności Słowa, a na wszelki wypadek publicyści „Gazety Polskiej" rozpoczęli promocję własnego serwisu społecznościowego.**

KAROLINA MISZTAL / REPORTER

**W GDAŃSKU, NA UL. DŁUGIEJ,** wysłano symboliczne światełko do nieba w drugą rocznicę śmierci prezydenta tego miasta Pawła Adamowicza. Jego następczyni, Aleksandra Dulkiewicz, zapowiedziała otwarcie specjalnego funduszu „Gdańsk dzieli się dobrem", wspierającego działania organizacji społecznych, ruchów obywatelskich oraz działających w nich wolontariuszek i wolontariuszy z całej Polski. Zabójca Pawła Adamowicza nie został jeszcze osądzony.

## Recesji nie widać na liczniku – choć jest

**CZYTAJĄC KOLEJNE DEPESZE** podsumowujące stan polskiej gospodarki w 2020 r., łatwo nabrać wrażenia, że płyną one z dwóch równoległych światów. W pierwszym – zamieszkałym przez restauratorów, właścicieli hoteli, klubów fitness czy firm eventowych – recesja osiągnęła skalę porównywalną chyba tylko z wielkim kryzysem lat 30. XX wieku. Na przeciwnym krańcu plasuje się polski przemysł, który po logistycznej zadyszce z wiosny ub. roku znów napędza polskie PKB.

Gdyby za miarę jego kondycji uznać wskaźniki zużycia energii elektrycznej, w zasadzie nie powinniśmy mówić o recesji. Z danych PGE za dwa ostatnie miesiące 2020 r. wynika, że zużycie prądu w Polsce nie tylko wróciło do poziomu z końcówki 2019 r., ale wręcz wzrosło: w grudniu konsumpcja energii sięgnęła 15,2 terawatogodzin, o 630 gigawatogodzin więcej niż rok wcześniej. Za jesienno-zimowym skokiem zapotrzebowania na energię elektryczną stoi głównie rosnąca produkcja polskiego przemysłu, rezultat powrotu koniunktury w Azji, gdzie sytuacja epidemiczna jest nieporównywalnie lepsza niż w Europie i USA.

Gospodarka pokazuje kolejny raz, że jest organizmem, który wyrywa się uproszczeniom. ©℗ MR

## Niemiecka przewidywalność

**JEŚLI COŚ DZIAŁA,** po co to zmieniać: do takiego wniosku doszła większość delegatów na zjazd niemieckiej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU), którzy w ubiegłą sobotę na nowego przewodniczącego partii wybrali Armina Lascheta. To zwolennik Angeli Merkel i kontynuator jej linii politycznej. Jego rywal Friedrich Merz zapowiadał m.in. zaostrzenie polityki migracyjnej i liberalne korekty w kursie gospodarczym; to postulaty cieszące się sporą popularnością i w CDU, i w całym społeczeństwie Niemiec.

Ale to Laschet zrozumiał, że zwłaszcza w czasie pandemii polityka ma coś cenniejszego do zaoferowania. „Najważniejsze jest zaufanie" – powtarzał w wystąpieniu do delegatów. W zdecydowanej większości Niemcy wciąż ufają swojej kanclerz. Zaufają więc też politykowi, który mówi o kontynuacji. 59-letni Laschet ma bogate polityczne doświadczenie, które przez dekady zdobywał m.in. w Bundestagu i Parlamencie Europejskim. Od blisko czterech lat pełni z sukcesami funkcję premiera w Nadrenii Północnej-Westfalii, najludniejszym landzie Niemiec. Uprawia politykę w sposób niekonfrontacyjny. W mozolnym szukaniu kompromisów przypomina Merkel. Stroni od populizmu. Jest też zaangażowanym katolikiem; podczas zjazdu przypominał delegatom, że „C" w nazwie CDU oznacza chrześcijaństwo. Ten zestaw wartości powinien być dalej kompasem dla uprawianej przez partię polityki.

Laschet ma spore szanse, że zostanie wkrótce wyznaczony na kandydata na kanclerza, i że po wrześniowych wyborach przejmie urząd po Merkel. Ta przewidywalna kontynuacja oznacza dążenie do wspólnych rozwiązań. To dobra wiadomość również dla Polski.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI z Lipska

## RŚA: azyl w polskim klasztorze

**TRZY TYSIĄCE** uciekinierów z ogarniętych walkami terenów w Republice Środkowoafrykańskiej znalazło schronienie u polskich kapucynów.

RŚA to jeden z najbiedniejszych krajów świata. Pięć lat temu misjonarz brat Benedykt Pączka utworzył w mieście Bouar szkołę muzyczną. Jak mówi dziś „Tygodnikowi", jego celem jest dać dzieciom szansę, by wybrały edukację zamiast karabinów.

27 grudnia 2020 r. w RŚA miały odbyć się wybory prezydenckie. Jednak w większości regionów zostały uniemożliwione przez grupy rebelianckie, wspierające byłego prezydenta François Bozizégo, którego kandydaturę odrzucono z powodu oskarżeń o zbrodnie wojenne. Starcia sił rządowych z rebeliantami toczą się kilka kilometrów od klasztoru, gdzie misjonarze prowadzą African Music School. – Dosłownie 30 minut temu znów była strzelanina. Właśnie obserwuję potok nadchodzących ludzi – relacjonował brat Pączka podczas naszej rozmowy w minioną niedzielę. Misjonarz pokazał wideo sprzed bramy klasztoru: kobiety wprowadzają szybko dzieci, niosąc na głowach dobytek. – Ludzie postrzegają klasztor jako spokojną przystań. Wiedzą, że ich rodziny są u nas bezpieczne. Gdyby rebelianci postanowili zaatakować, zadzwonię do stacjonujących niedaleko wojsk ONZ – mówił zakonnik.

AFRICAN MUSIC SCHOOL

Nocami jest chłodno, brakuje koców i środków higieny. – Potrzeby są ogromne. Jeszcze tydzień temu w szkole chroniło się 200 uchodźców, dziś jest ich ponad 3 tys., a ta liczba rośnie. Wyżywienie i zapewnienie warunków dla tylu ludzi to wyzwanie – mówi nam Marcin Choiński, koordynator projektu African Music School (w sieci: www.africanmusicschool.com). W szkole przebywa też czterech polskich muzyków, którzy przyjechali uczyć dzieci.

Tymczasem władze ogłosiły wyniki wyborów: zwycięzcą został urzędujący prezydent. Rebelianci zapowiadają, że ruszą teraz na stolicę. Jeśli walki się zaostrzą, do klasztoru może przybyć jeszcze więcej uchodźców.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

Wsparcie dla ludzi szukających schronienia u kapucynów można przekazać na konto: **73 1090 1782 0000 0001 4712 3186**, Fundacja AKEDA, ul. Rozrywki 24/28, Kraków 31-419, z tytułem przelewu „Pomoc azylantom".

## *Dwie Afryki*

WOJCIECH JAGIELSKI

Gdy 35 lat temu, po zwycięskiej wojnie domowej – położyła ona kres tyraniom Idiego Amina i Miltona Obotego – 41-letni komendant partyzancki Yoweri Museveni obejmował władzę w Ugandzie, głosił, że źródłem wszelkiego zła w Afryce są przywódcy, którzy przywykłszy do władzy, nie potrafią się z nią rozstać. W minionym tygodniu 76-letni dziś Museveni wygrał po raz szósty wybory i przedłużył swoje panowanie o 5, a może nawet o 10 lat. Jakiś czas temu kazał bowiem wykreślić z konstytucji zapis, że o prezydenturę nie mogą ubiegać się osoby starsze niż 75-letnie, może więc twierdzić, że skoro konstytucja została zmieniona, to dozwolone dwie kadencje liczy się od nowa.

W wyborach, w których rywale Museveniego nie mogli prowadzić kampanii – z powodu policyjnych prześladowań (w listopadzie i grudniu w rozruchach zginęło ponad 50 osób) i epidemii (w Kampali, twierdzy opozycji, nie wolno było urządzać wyborczych wieców) – urzędujący nieprzerwanie od 1986 r. prezydent zdobył oficjalnie 58 proc. głosów, a więc ponad połowę konieczną, by zapewnić sobie reelekcję już w pierwszej turze. Jego najgroźniejszy rywal, 38-letni muzyk Bobi Wine, zdobył według oficjalnych wyników 34 proc. głosów. Wine twierdzi, że jeszcze żadne wybory w liczonych od niepodległości w 1962 r. dziejach Ugandy nie zostały sfałszowane tak bezczelnie. Zapowiada protesty – w sądzie i na ulicy. Na razie jednak nie może ruszyć się z własnego domu. Nazajutrz po wyborach wojsko wystawiło wokół domostwa straż – i nikt nie może wchodzić ani wychodzić.

Ugandyjskie wybory zapowiadano jako symboliczne zderzenie dwóch Afryk: tej współczesnej, młodej (statystyczny mieszkaniec Ugandy ma 16 lat), reprezentowanej przez muzyka, i tej starzejących się przywódców, których przedstawicielem jest Museveni. Kiedyś, jeszcze na przełomie wieków, uchodził za wzór dobrego przywódcy, dziś – za przykład satrapy. ©℗

Więcej: powszech.net/strona-swiata

## KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

**MARYJNY NAPIS**
**Na pustyni Negew odkryto kamień datowany na VI wiek po Chr. z grecką inskrypcją maryjną „Błogosławiona Maryjo, któraś prowadziła nieskazitelne życie” – donosi izraelski dziennik „Haaretz”. Kamień ma średnicę 25 centymetrów i prawdopodobnie stanowił część grobowca mieszkanki tego regionu. Jest jednym ze świadectw, że wiara w to, iż Maryja jest wolna od grzechu pierworodnego, była rozpowszechniona już we wczesnym Kościele.**

DAVID PALMACH / NITZANA EDUCATIONAL CENTER

**DZIEŃ JUDAIZMU**
**„Jesteśmy – chrześcijanie i Żydzi – dziedzicami wielowiekowej, wzajemnej pogardy, która nie przyniosła nam życia, a nierzadko – śmierć” – zauważył prowincjał augustianów o. Wiesław Dawidowski podczas centralnych obchodów 24. Dnia Judaizmu na warszawskiej Pradze. Tegorocznym obchodom towarzyszyły słowa z Księgi Powtórzonego Prawa, aktualne zwłaszcza w sytuacji pandemii: „Kładę dziś przed tobą życie i szczęście, śmierć i nieszczęście”.**

**ZMIANY W LITURGII**
**W tym roku kapłan tylko raz wypowie w Środę Popielcową słowa „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię” albo „Pamiętaj, że jesteś prochem, i w proch się obrócisz”. Posypywać głowy popiołem będzie w milczeniu i w masce zasłaniającej nos i usta – zdecydowała Kongregacja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Środa Popielcowa przypada 17 lutego.**

# *Jak się ma ochrona dzieci w polskim Kościele?*

ARTUR SPORNIAK

Niedojrzałość psychoseksualna duchownych jest główną przyczyną krzywdzenia małoletnich, natomiast wewnętrzna inercja struktur kościelnych spowalnia budowanie systemu przeciwdziałania pedofilii w Kościele – to najważniejsze wnioski z konferencji zorganizowanej przez o. Adama Żaka (koordynatora episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży) i biuro delegata episkopatu ds. ochrony małoletnich.

13 stycznia przedstawiono stan prac nad prewencją w polskim Kościele, m.in. wyniki analizy danych statystycznych ujawnionych w marcu ub. roku. Wówczas udało się zebrać informacje o 382 duchownych oskarżonych o wykorzystywanie małoletnich w latach 1950–2018. Blisko połowa przypadków dotyczyła duchownych między 30. a 40. rokiem życia. Najmłodszy miał 23 lata, najstarszy 77 lat. Popełniali zarzucane im czyny średnio przez dwa i pół roku. Komentując te dane, o. Żak zauważył, że „przyczyną większości tych czynów nie jest zaburzenie preferencji seksualnej sprawców pod postacią pedofilii, ale ich wielka niedojrzałość psychoseksualna”.

Przedstawiono także działania założonej przez episkopat Fundacji Świętego Józefa. W 2020 r. wydała ona 700 tys. zł na pomoc osobom skrzywdzonym. Fundusze na projekty pomocowe otrzymało 11 diecezji, Centrum Ochrony Dziecka prowadzące szkolenia, inicjatywa „Zranieni w Kościele” prowadząca telefon zaufania i Fundacja Towarzyszenia Rodzinie w Krakowie. Został ponadto uruchomiony w Poznaniu punkt konsultacyjny dla osób pokrzywdzonych. 10 osób korzysta z dofinansowania studiów specjalistycznych, a 14 osobom fundacja opłaca terapię.

To podsumowanie nakłania do kilku dopowiedzeń. Głównym katalizatorem działań są przypadki nagłaśniane przez media (przyznał to sam o. Żak). Po drugie – postęp w prewencji zależy w dużej mierze od determinacji osób naprawdę zaangażowanych. Po trzecie – im inicjatywy są bardziej odrębne od struktur diecezjalnych, tym są sprawniejsze. I wreszcie – nie wystarczy położyć nacisk na rozwój psychoseksualny kleryków. Trzeba przemyśleć na nowo wychowanie seksualne już w szkole. ©℗

## Zaszczepić Watykan

**RUSZYŁY SZCZEPIENIA** przeciwko COVID-19 w Watykanie. W drugim ich dniu, 14 stycznia, pierwszą dawkę przyjęli papież Franciszek i papież emeryt Benedykt. Watykan zamówił 10 tys. szczepionek Pfizer BioNTech, ale dostawy będą uzupełniane o produkty innych firm, w miarę ich rejestracji na rynku europejskim. Szczepionki przechowywane są w tymczasowym ambulatorium urządzonym w hallu Auli Pawła VI, w specjalnie do tego celu zakupionej niskotemperaturowej lodówce.

Od kilku tygodni trwały zapisy chętnych, ale pierwszeństwo mają pracownicy medyczni, gwardia szwajcarska, służby porządkowe i urzędnicy obsługujący petentów. Potem o kolejności zadecyduje wiek osób zapisanych na listę. Uprawnionych jest 5 tys. pracowników i 618 mieszkańców Watykanu. W miarę możliwości na listę będą mogli zapisać się członkowie rodzin pracowników. Stolica Apostolska ma również zakupić szczepionki dla bezdomnych, którymi opiekuje się papieski jałmużnik. ©℗ EA

## Piekło w irlandzkich domach samotnej matki

**„DOMY MATKI I DZIECKA** nie ratowały życia »nieślubnym« dzieciom; w rzeczywistości, jak się wydaje, znacznie zmniejszały ich szanse na przeżycie” – głosi raport rządowej komisji, która badała funkcjonowanie 18 domów matki i dziecka prowadzonych w Irlandii przez instytucje kościelne. W latach 1922-98 przebywało w nich 56 tys. niezamężnych matek, w tym ponad 5,6 tys. w wieku od 12 do 17 lat oraz 57 tys. dzieci, z których 9 tys. zmarło. Śmiertelność w latach 1945-46 była prawie dwukrotnie wyższa od średniej krajowej. Dzieci często były odbierane matkom i oddawane do adopcji. Relacje świadków ujawniają kulturę izolacji, tajemnicy i ostracyzmu.

„Kościół był częścią tej kultury, w której ludzie byli często piętnowani, osądzani i odrzucani. Za to oraz za długotrwałe zranienie i emocjonalne cierpienie, które z tego wynikło, bez zastrzeżeń przepraszam ocalałych” – skomentował raport metropolita Armagh abp Eamon Martin. Komisja została powołana po tym, jak w 2014 r. w miejscowości Tuam w dawnym zakonnym domu opieki odkryto w nieoznakowanych grobach szczątki ok. 800 dzieci. ©℗ ASK

Więcej w sieci: powszech.net/tuam

## KULTURA W SKRÓCIE

**ATWOOD W SOPOCIE**
20 stycznia o godz. 17.45 na profilach facebookowych festiwalu Literacki Sopot (tłumaczenie na język polski i polski język migowy) oraz Goyki 3 Art Inkubator (wersja anglojęzyczna) odbędzie się spotkanie z kanadyjską pisarką, autorką „Opowieści podręcznej", Margaret Atwood. Poprowadzi je prozaiczka Sylwia Chutnik.

**ROK BACZYŃSKIEGO**
W setną rocznicę urodzin Krzysztofa Kamila Baczyńskiego Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny zaprasza na retransmisję koncertu Meli Koteluk (na zdj.) z zespołem Kwadrofonik. Autorskich kompozycji napisanych do wierszy „zakochanego w życiu mistyka" wysłuchamy 22 stycznia o godz. 20.00 na profilu Facebookowym FINA Wałbrzyska 3/5.

RAFAŁ GUZ / PAP

**PODRÓŻ W CZASIE**
„Kosmograf" to renesansowy badacz i konstruktor zafascynowany tworzeniem map. W jego pracowni znajduje się maszyna czasu – nieskończona, brakuje kilku ważnych elementów. Aby zadziałała, należy zdobyć niezbędne do jej uruchomienia narzędzia. Powrót do naszych czasów wymaga dobrej znajomości historii. Gra ma kilka poziomów zaawansowania, odsłaniających i przybliżających różne epoki historyczne. Można ją pobrać bezpłatnie poprzez stronę: wawel.krakow.pl.

SEVEN SUMMIT TREKS / AFP / EAST NEWS

**16 STYCZNIA 2021 ROKU** o godzinie siedemnastej, kilkanaście minut przed zachodem słońca, na wysokości 8611 m domknęła się historia zimowego zdobywania gór najwyższych. Dziesięcioosobowa grupa Nepalczyków – Nirmal Purja, Mingma Gyalje, Mingma David, Gelje, Mingma Tenzi, Peem Chhiri, Dawa Temba, Kili Pemba, Dawa Tenjing, Sona (na zdj. na szczycie) – weszła na K2, ostatni z niezdobytych dotąd zimą ośmiotysięczników. O udanym ataku szczytowym Szerpów pisze w sieci Bartek Dobroch.
Czytaj: powszech.net/k2 ©℗

## *To tylko biznes*

ŁUKASZ KWIATEK

O TYM, ŻE MAŁPY POTRAFIĄ NAUCZYĆ SIĘ PRZYPISYWAĆ wartość neutralnym przedmiotom, a potem używać ich w interakcjach społecznych przypominających handel, wiedzieliśmy dzięki badaniom laboratoryjnym. W serii eksperymentów przeprowadzonych przed laty przez Sarę Brosnan i Fransa de Waala szympansy i kapucynki otrzymywały dostęp do dwóch rodzajów żetonów, które mogły następnie oddać badaczom w zamian za konkretny rodzaj pożywienia: wysokiej lub niskiej jakości. Postawione przed wyborem, zwierzęta chętniej sięgały po żetony wymienialne na lepsze jedzenie – i nimi handlowały.

Jak donoszą Jean-Baptiste Leca i współpracownicy, tego rodzaju interakcje zdarzają się także w warunkach naturalnych. Grupa makaków żyjących w pobliżu świątyni Uluwati na wyspie Bali wyspecjalizowała się w okradaniu ludzi z różnych rzeczy (np. pustych torebek, kapeluszy, butów, smartfonów, porfteli) i oferowaniu zwrotu w zamian za pożywienie. Zjawisko jest częste: statystycznie każdej godziny dochodzi do blisko 8 kradzieży i ponad 3 wymian; zachowanie zaobserwowano u przeszło jednej trzeciej osobników w różnym wieku.

W tym złodziejskim procederze kluczową rolę odgrywa doświadczenie. Okazuje się bowiem, że starsze małpy najchętniej polują na smartfony i portfele – ponieważ to za nie ludzie spontanicznie oferują najlepszej jakości jedzenie. ©℗

## Raport o stanie świata

**TRWA „APOKALIPSA OWADÓW"**, które giną od „tysięcy ran" – alarmują autorzy specjalnego wydania czasopisma „PNAS". Wiele z tych ran zadaje ludzkość, ale z publikacji wyłania się złożony obraz zjawiska. Wymieranie nie obejmuje wszystkich grup taksonomicznych. Z powodu ocieplenia klimatu część gatunków znajduje nowe siedliska. Rośnie liczebność owadów słodkowodnych, dzięki poprawie stanu rzek w zachodniej Europie i USA. Gdzieniegdzie zagrożonym taksonom pomogło wprowadzenie nowych roślin. Jednak globalny problem istnieje: co roku liczebność (i całkowita biomasa) owadów – zwierząt odgrywających kluczowe role w wielu ekosystemach – spada o 1-2 proc. Trudno temu zapobiec, bo trudno wskazać główną przyczynę. Obok zmian klimatycznych wymienia się m.in. zanieczyszczenie środowiska, deforestację, urbanizację, rozwój rolnictwa i zatrucie pestycydami. Konkretnym gatunkom zagrażają także wirusy i pasożyty. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

# CZERWONY ALGORYTM

Boicie się, że Facebook i Twitter zmieniły naszą demokrację i kulturę? Oto nadchodzi TikTok.

TEKST MONIKA OCHĘDOWSKA ▪ ILUSTRACJE ANDRZEJ WIETESZKA

Odkąd wiosną 1985 r. znalazła się na okładce magazynu „Time", pozostaje królową muzyki pop. „Madonna: czemu jest na topie (*why she's hot*)" – zastanawiała się redakcja amerykańskiego tygodnika. Jeśli zerknąć na długą listę jej piosenek, które od wczesnych lat 80. trafiały na pierwsze miejsca najważniejszych list przebojów, oraz podsumować sprzedane single i albumy, pracująca obecnie nad autobiograficznym filmem Madonna nadal jest *en vogue*. Co i rusz pojawiają się groźne konkurentki, takie jak Lady Gaga, Ariana Grande czy Billie Eilish – może jednak od ponad 30 lat w muzyce rozrywkowej niewiele się zmienia?

Kłopotów przysparza dopiero próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, kto jest aktualnym królem pop, a także: dlaczego jest hot. Gdy pod koniec 2019 r. serwis streamingowy Spotify podsumował dekadę swojej obecności w naszych komputerach i smartfonach, wskazując najchętniej słuchanych artystów, niekwestionowanym zwycięzcą zestawienia okazał się raper Drake. Uwielbienie dla młodszego o 30 lat od Madonny Kanadyjczyka przekłada się na gigantyczną popularność jego muzyki. Bliską tej, na którą królowa pracowała w czasie całej swojej kariery.

### Trzydzieści sekund

W roku, w którym Drake przyszedł na świat, piosenkarka zdążyła już zapomnieć o namaszczającym ją na ikonę popkultury numerze „Time'a" – wydawała swój trzeci album „True Blue", przez wielu uważany za najważniejszy w karierze artystki. Pełen był poruszających historii zwykłych ludzi poszukujących wyjścia z tarapatów: „Mam dla was opowieść, wyjawię wam, czego nauczyło mnie życie", obiecywała Madonna w piosence „Live to Tell". Płyta zilustrowana bladobłękitną fotografią piosenkarki zawiera dziewięć utworów, z których najdłuższy („Live to Tell") trwa prawie sześć minut, najkrótszy zaś („Jimmy, Jimmy" – o buntowniku bez powodu) niecałe cztery. Łącznie na płytę trafiło prawie 40 minut muzyki.

Wydanego latem 2018 r. albumu Drake'a „Scorpion" słucha się półtorej godziny – to aż 25 utworów, z czego kilka to kawałki ledwie dwuminutowe.

Wielbiciele Madonny zmuszeni byli kupić album, by posłuchać w domu ulubionej piosenki, a wytwórni mogło być wszystko jedno, czy kiedykolwiek włożą płytę do gramofonu. Otwierający

„True Blue" przebój „Papa Don't Preach" (trwająca 4 minuty i 27 sekund opowieść o współczesnych Romeo i Julii) rozpoczynała partia instrumentów smyczkowych z towarzyszeniem syntezatora – dopiero gdy tempo przyspiesza w okolicach 30 sekundy, padają pierwsze słowa. Dziś niewiele piosenkarek może sobie pozwolić na taką ekstrawagancję. Na szczyty listy przebojów legendarnego magazynu „Billboard", którą w 1986 r. władał „True Blue", trafia coraz więcej utworów trwających mniej niż dwie i pół minuty, refren zaś (od którego często rozpoczyna się piosenka) pojawia się w nich zwykle już w 10 sekundzie. Dziennikarze amerykańskiej prasy muzycznej na podstawie danych z wieloletnich zestawień listy obliczyli, że w trakcie ostatnich dwóch dekad długość piosenek skurczyła się o 30 sekund.

Także 30 sekund wystarczy, by zarobić na tantiemach, wstawiając piosenki na Spotify – jeśli wysłuchamy choć pół minuty utworu, artyście skapnie grosik od właściciela serwisu. Oznacza to mniej więcej tyle, że w sytuacji, gdy 80 proc. rynku muzycznego kontrolują serwisy streamingowe (a czas pandemii jeszcze zwiększy ten udział), najbardziej dochodowe jest wydawanie albumów z dużą liczbą krótkich kawałków. Idealnie, gdy format piosenki odpowiada lekkiej, niezobowiązującej przekąsce.

Wyprodukowany dokładnie wedle tej recepty „Scorpion" Drake'a był jak dotąd najczęściej w historii streamingu odtwarzanym albumem. Tylko jednego czerwcowego dnia – w momencie premiery – odsłuchano go na Spotify 132 miliony razy.

Mniej więcej 30 sekund trwają także filmy publikowane na TikToku – najczęściej instalowanej obecnie na smartfonach aplikacji rozrywkowo-społecznościowej. Ma ona 4 mln użytkowników w Polsce oraz ponad miliard na świecie, oferuje także sporą bazę piosenek (w minionym roku TikTok podpisał umowę z największymi wytwórniami, jak Sony, Universal czy Warner). Jak sprawić, by piosenka stała się sieciowym wirusem na znanej wszystkim nastolatkom platformie? Teledysk do utworu Drake'a „Toosie Slide" zawiera prosty układ choreograficzny przypominający *moonwalk* Michaela Jacksona, a słowa chwytliwego refrenu pomagają go opanować, instruując, co robić ze stopami. Gdy pojawia się nagranie, trwa już ogólnoświatowy *lockdown*, a raper tańczy w maseczce, przemieszczając się po wyłożonym marmurem, luksusowym domu. Film był odpowiedzią na rosnącą modę, którą pod koniec marca wypromowała na TikToku grupa tancerzy – raper podrzucił poniekąd viralowi ścieżkę dźwiękową.

W ciągu trzech dni choreografia Drake'a doczekała się miliarda naśladowców. Na TikTiku osobną kategorię stanowią utwory, które „najszybciej zdobyły miliard odtworzeń". Swój „Toosie Slide" nagrywali wszyscy – dzieci w Ugandzie i Robert Lewandowski. Ponieważ dziś filmów opatrzonych tagiem #toosieslide jest sześć razy więcej niż wiosną, próba ich przejrzenia przypomina zapasy z jednorękim bandytą: każdy ruch palca po ekranie wywołuje niespodziewany, podkręcający ciekawość efekt. Nie chodzi już tylko o piosenkę, która coraz bardziej wpada w ucho, ale o to, jak „Toosie Slide" udał się słynnej koszykarce, grupce sympatycznych policjantów czy brodatemu farmerowi z Ohio. *Make every second count* – mówi maksyma chińskiej aplikacji – liczy się każda sekunda. Najmłodsi użytkownicy (choć aplikację można zainstalować legalnie po ukończeniu 13. roku życia, korzystają z niej już sześciolatki) spędzają na TikToku prawie półtorej godziny dziennie. Ponad 80 proc. z nich wrzuca do sieci własne filmy. ↦

### Trzydzieści miliardów

↦ W 2013 r. wykształcony na uniwersytecie w Tiencin inżynier Zhang Yiming, dotąd pracownik Microsoftu, otwiera serwis Toutiao (Dzisiejsze Nagłówki) zbierający w jednym miejscu najpopularniejsze treści chińskiego internetu. Specjalny algorytm opracowany przez Yiminga przeczesuje sieć w poszukiwaniu wzbudzających rosnące zainteresowanie artykułów, nagrań i memów. Następnie, nieustannie analizując ruch na stronie oraz preferencje osób odwiedzających serwis, ich kliknięcia, lajki i komentarze – wybiera dla każdego indywidualną porcję najsmaczniejszych „przekąsek". Algorytm nie tylko układa gotowe treści na stronie, ale – jeśli trzeba – sam pisze chwytliwe, dobrze się klikające nagłówki. Słowem: im częściej użytkownicy zaglądają na stronę, tym lepiej Toutiato ich poznaje, coraz trafniej rekomendując dokładnie takie teksty, zdjęcia i filmy, które ich zainteresują.

To pozytywne sprzężenie zwrotne zaowocowało jedną z najbardziej uzależniających platform internetowych. A Yimingowi uczenie maszynowe służące do tworzenia i kontrolowania treści przydało się podczas olimpiady w Rio de Janeiro. Chiński „reporter" Toutiao pisał i samodzielnie publikował dziennie kilkadziesiąt krótkich artykułów podsumowujących zmagania sportowców natychmiast po ich ukończeniu. Rok później tego „sportowego dziennikarza" wyceniono na 30 mld dolarów. To wtedy właśnie właściciel Toutiao, spółka ByteDance, kupuje Musical.ly – aplikację służącą do tzw. lipsyncu (udawania, że się wykonuje znany utwór), niezwykle popularną wśród nastolatków. Z ich połączenia powstaje TikTok (w Chinach znany jako Douyin).

Próby wyjaśnienia, czym dokładnie jest TikTok, oraz tego, co w nim znajdziemy, są skomplikowane.

Twórcy jego algorytmu – wedle niektórych o wiele precyzyjniejszego niż ten, którym dysponuje np. Amazon – zależy w końcu na tym, by każdy z nas przeglądał się w nim jak w lustrze. Mam przy tym nadzieję, że mój wciąż się kalibruje, bo na razie przypomina głośny bazarek: sporo tu muzyki tanecznej, reklam proszków do prania, Januszów biznesu, kuchcików serwujących dania barowe, kontrowersyjnych publicystów, skompromitowanych polityków i szemranych coachów. Ale też relacjonujących swoje życie, często na żywo w środku nocy, nastolatków.

Aplikacja umożliwia stosunkowo łatwe tworzenie krótkich, atrakcyjnych wizualnie filmów, a użytkownikom posiadającym ponad tysiąc fanów – także live'ów (ta forma pozwala zarabiać na swojej popularności). Ze względu na połączenie z Musical.ly TikTok kojarzony był długo z nagraniami, w których dzieci – jak w popularnych programach typu „Mini Playback Show" – udawały, że śpiewają piosenki swoich ulubionych wokalistów (*lipsync*), tworząc do nich dowcipne, dynamicznie zmontowane teledyski (*transition*). Ale poza bezpłatnym dostępem do atrakcyjnego narzędzia służącego do profesjonalnej obróbki formatów wideo TikTok zaoferował coś jeszcze: podczas gdy początkującym twórcom coraz trudniej zdobyć uwagę na YouTubie, Facebooku czy Instagramie bez wsparcia subskrybentów czy ponoszenia kosztów promocji, chińska aplikacja nie sprawdza, ilu mamy fanów i nie oczekuje inwestycji. Jeśli jej algorytm uzna, że nasz filmik podoba się wybranej, testowej grupie widzów (gdy jest oglądany do końca, a nawet kilka razy pod rząd), będzie go proponować coraz szerszemu kręgowi użytkowników. Nawet jeśli dopiero zaczęliśmy swoją karierę tiktokera.

Próby wyjaśnienia, czym dokładnie jest TikTok, oraz tego, co w nim znajdziemy, są skomplikowane. Twórcy jego algorytmu zależy na tym, by **każdy przeglądał się w nim jak w lustrze.**

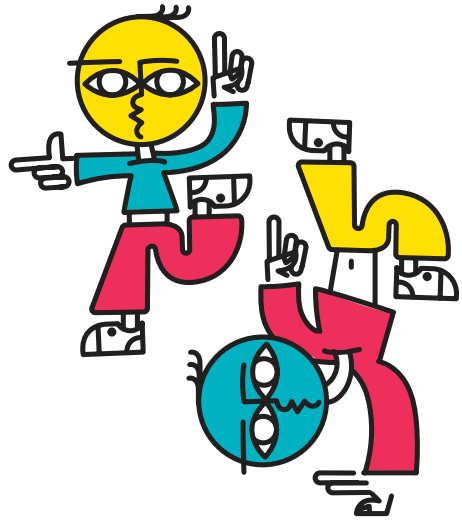

Słowem: algorytm Yiminga znany z „nagłówków" wciąż dba o to, by działało pozytywne sprzężenie zwrotne: jeśli twórca może liczyć na kilkadziesiąt tysięcy widzów swojego pierwszego filmu, daje mu to potężny zastrzyk dopaminy porównywalny z rozbiciem banku.

– Nic tak nie podnosi potencjału aplikacji w oczach reklamodawców jak zaangażowani użytkownicy – komentuje Dominik Siadak z agencji ASAP&ASAP, jednej z tych, które tworzą dziś reklamy na polskim TikToku. – Zachłysnęła się nim już duża część Europy – przyznaje. – Także w Polsce z każdym tygodniem zainteresowanie marek tym medium rośnie. Sam TikTok coraz śmielej wspiera mechanizmy sprzedażowe, oferując gotowe formaty reklamowe i rozwijając narzędzia analityczne pozwalające lepiej podążać za użytkownikiem.

Najchętniej oglądani twórcy zapewniają markom zasięgi i wiarygodność w oczach swoich rówieśników, którzy za moment będą bardzo atrakcyjnymi konsumentami z generacji Z (urodzeni w latach 1997–2012). Jej przedstawiciele – jak pokazują raporty agencji marketingowych – wykonują 60 proc. więcej ruchu w aplikacjach niż ich starsze rodzeństwo czy rodzice. Nie tylko częściej grają, korzystają z komunikatorów, czy robią zakupy online. W serwisach społecznościowych zasięgają także pierwszych informacji na temat produktów bankowych. To z tego powodu jedna z najpopularniejszych tiktokerek, szesnastoletnia tancerka Charli D'Amelio, której książka „Wszystko o Charli" ukazała się po polsku tuż przed Gwiazdką, zainwestowała pod koniec zeszłego roku 4 mln dolarów w aplikację bankową skierowaną do nastolatków.

Przywołany na początku Drake wykorzystał nowe medium do ugruntowania pozycji, którą zdobył w serwisach streamingowych. Ale wybijający się na niezależność TikTok ma, poza D'Amelio, plejadę własnych gwiazd. To m.in. amerykański raper Lil Nas X, którego singiel „Old Town Road" (czas trwania:

1:53) przez kilkanaście tygodni utrzymywał się na szczycie listy przebojów magazynu „Billboard", zdobywając następnie dwie nagrody Grammy, statuetkę MTV oraz American Music Award – wyróżnienie dla najpopularniejszego artysty przyznawane na podstawie liczby sprzedanych singli. W Polsce „Old Town Road" zyskało status diamentowej płyty (udało się to w minionym roku tylko 28 wykonawcom, choć regulamin bierze pod uwagę liczbę odsłuchań w serwisach streamingowych). W czasie pandemii Lil Nas X występował także wirtualnie w grze „Roblox", gromadząc tam wielomilionową publiczność.

Analizując rynek muzyczny latem 2019 r., pracownicy agencji badawczej Nielsen przyznali w swoim raporcie, że żadna inna aplikacja nie pomogła tak bardzo w tworzeniu przebojów jak TikTok – to dzięki niej setki milionów słuchaczy usłyszały utwory Avy Max (w Polsce jej płyta zdobyła status platynowej) czy japońskiego piosenkarza i producenta Jojiego. Z wieloma wykonawcami kontrakty podpisały największe światowe wytwórnie. Do rosnącego uzależnienia od TikToka przyznał się zresztą kilka miesięcy temu na łamach korporacyjnego bloga Denis Kooker, jeden z prezesów Sony Music Entertainment. Także Spotify stworzyło narzędzie pozwalające lepiej wykorzystać trendy rodzące się na TikToku. Pomysł powstał wkrótce po tym, jak chińskiej aplikacji udało się odświeżyć przebój „Dreams" popularnej w latach 70. rockowej grupy Fleetwood Mac, wyciągając go na pierwsze miejsca serwisów streamingowych. Tymczasem ByteDance eksperymentuje już w Indiach oraz Indonezji z własną aplikacją streamingową Resso. A to wszystko wydarzyło się, jeszcze zanim pandemia zamknęła nas w domach, uniemożliwiając udział w koncertach i festiwalach muzycznych, wizyty w kinach i teatrach.

### Chichot egzystencjalny

Gdy surowy krytyk Anton Ego odwiedza jedną z szacowniejszych paryskich restauracji celem zgrillowania jej szefa kuchni w bezlitosnej recenzji, z niedowierzaniem zerka na chłopskie danie, które stawia przed nim młodziutki kelner. Na talerzu znajduje się porcja cieniutko pokrojonych sezonowych warzyw, ratatouille. Krytyk pospiesznie robi notatki, po czym kieruje widelec z pierwszym kęsem jarskiej potrawki do ust. Nie zobaczymy, jak przeżuwa. Obraz nieoczekiwanie się rozświetla, a mizantrop Ego znów jest małym, sympatycznym Antonem, któremu matczyne dłonie podsuwają talerz aromatycznych warzyw, a potem czule przytulają.

Taka tęsknota za bliskością i smakiem najprostszych doświadczeń dzielonych z najbliższymi odezwała się pewnego sierpniowego dnia, w środku pandemii, w młodej nowojorskiej nauczycielce Emily Jacobsen, która zamieściła na TikToku swoją piosenkę o sympatycznym szczurku Remym, bohaterze disneyowskiej kreskówki „Ratatuj", z której pochodzą przywołane powyżej sceny. Na jej trop wpadł kompozytor i aranżer Daniel Mertzlufft – dla zabawy przerobił kawałek, nadając mu podniosłe, musicalowe brzmienie.

Efekt okazał się tak komiczny, a jednocześnie wpadający w ucho, że do grupy fanów „Remy'ego, szczurka ze snów" dołączali kolejni aktorzy, muzycy i wokaliści, nagrywając swoje interpretacje animowanych postaci. Ponieważ TikTok umożliwia dodawanie partii wokalnych do nagranego wcześniej dźwięku, artyści szybko zaczęli wykorzystywać tę opcję do zdalnej współpracy, a pozostali użytkownicy aplikacji, mogąc podglądać ten proces, czuli się nieustannie obecni na sali prób, co tylko podkręcało apetyt. Upichcony zdalnie w niespełna pół roku fanowski „Ratatuj" otworzył Nowy Rok na nowojorskim Broadwayu jako „Ratatouille: The TikTok musical" (*#ratatousical).* Bilety na dostęp online do czterech spektakli kupiło milion widzów, a „Los Angeles Times" zaraz po premierze obwieścił światu, że tak właśnie wygląda przyszłość spektakli muzycznych.

Cóż, jeśli podstawą dobrego ratatouille jest pieczołowita obróbka każdego ze składników z osobna – ten przepis po prostu musiał się udać. Nieco pieprzu dodaje fakt, że na liście płac TikToka znajdziemy nazwiska byłych szefów wytwórni muzycznych i filmowych. Jego prezesem był przez kilka letnich miesięcy Kevin Mayer, dyrektor wytwórni Disneya, która „nie miała nic przeciwko temu *fan fiction*". Mayer zrezygnował ze stanowiska, gdy Donald Trump zagroził Chińczykom blokadą aplikacji na terenie Stanów Zjednoczonych. Pod koniec 2020 r. zarówno Departament Handlu USA, jak i sąd federalny w Pensylwanii wydały jednak orzeczenia niekorzystne dla byłego prezydenta.

Mniej więcej w tym samym czasie na Netfliksie zadebiutował program „Everything's fine" amerykańskiej komiczki Sarah Cooper, imitujący poranne wydanie programu telewizji informacyjnej. Donalda Trumpa jest tu niewiele, ale to właśnie z jego powodu Cooper stała się sławna. Wykorzystując modę na *lipsync* wybierała najbardziej absurdalne wypowiedzi byłego prezydenta i synchronizując ruch swoich warg z głosem Trumpa, nagrywała kilkunastosekundowe filmy na TikToku. Zdania z wywiadów czy wyrwane z kontekstu wiecu wyborczego fragmenty przemów wypadały absurdalnie, pomógł także talent aktorski Cooper, próbującej naśladować sposób bycia prezydenta, jego gesty, bezczelność.

Ale Cooper to tylko jedna z rzeszy komików, stand-uperów, publicystów i komentatorów życia publicznego, którym sławę przyniósł TikTok. Aktor i producent Kareem Rahma dokumentujący na swoim koncie zeszłoroczne zamieszki w Minneapolis po śmierci George'a Floyda, ilustrując je piosenką Childish Gambino „This Is America", stał się symbolem młodych Amerykanów (choć internet pamięta, że w ciągu kilku pierwszych dni po śmierci Floyda strony #GeorgeFloyd oraz #BlackLivesMatter nie miały oficjalnie na TikToku żadnych wyświetleń z powodu „usterki technicznej"). To także użytkownikom tej aplikacji przypisuje się przyczyny kiepskiej frekwencji na czerwcowym wiecu wyborczym w Tulsie.

Miesięcznik „The Atlantic" polecił kilka miesięcy temu swoim czytelnikom zapomnieć o programach typu „Saturday ↦

Night Live", wskazując, że najświeższa satyra polityczna rodzi się właśnie na TikToku. Na czym polega ta wyjątkowość? Jeden z młodych komików Ryan Baron w rozmowie z BBC nazwał efekt, który wywołuje ten rodzaj zabawy, „egzystencjalnym chichotem" (gdyby Woody Allen miał dziś 20 lat, robiłby dokładnie to, co – bardzo skądinąd do niego podobny wizualnie i artystycznie – Ryan). Miał na myśli chichot, który pozwala poradzić sobie młodym Amerykanom z licznymi lękami, także tymi wywołanymi pandemią. Na jego kanale wiele jest treści komentujących skutki czasu przymusowej kwarantanny, w sposób wyrafinowany grających także ze sposobem działania TikToka, który poprzez włączanie nam wciąż tego samego nagrania zawiesza nas w bezczasie. Zważywszy na to – wyjaśniał Baron – jak bardzo wszyscy czuliśmy się źle, dzieciaki musiały stworzyć sobie własny, niekontrolowany przez staruszków świat, w którym mogły utrzymywać kontakt.

### Usmażeni

Podsumowując ostatni rok spędzony w internecie, Baron użył znanego wielbicielom memów określenia *deep-fried*, mając na myśli taką zabawę z nasyceniem obrazu, jego jaskrawością czy balansem kolorów, która powoduje jak największe przekształcenia pierwowzoru, co czyni go praktycznie nieczytelnym. Czyż nie tak się czuliśmy, spędzając coraz więcej czasu przed ekranami – mocno wysmażeni na tłuszczyku wirtualnej rozrywki, coraz bardziej oddaleni od dawnych nawyków, zwyczajów i potrzeb, wreszcie: zdezorientowani? Wnioski z raportu opracowanego przez analizującą rynek aplikacji mobilnych firmę App Annie potwierdzają, że liczba godzin spędzonych na wpatrywaniu się w ekran smartfonów wzrosła na całym świecie o 25 proc. Najbardziej głodni byliśmy treści wideo, zarówno tych produkowanych profesjonalnie, jak i amatorskich – TikTok (choć już wcześniej pod ręką był bardzo podobny do niego Vine) trafił w swój czas.

Dzięki produktom takim jak TikTok chińska partia posiada i pełną kontrolę nad publikowanymi na swój temat treściami, **i możliwość narzucania własnej narracji.**

Obserwując ten rosnący apetyt wielka czwórka z Doliny Krzemowej (Google, Amazon, Facebook i Apple – GAFA) rozpoczęła wyścig o naszą uwagę. Serwisy takie jak Snapchat, Instagram czy Facebook wprowadzają zmiany mające upodobnić oferowane narzędzia i usługi do tych, które proponuje ich największy chiński konkurent (firma Zuckerberga od ponad miesiąca umożliwia amerykanom pobranie bliźniaczo podobnej do TikToka aplikacji Collab). Swoją platformę mikrovlogową buduje także rosyjski holding medialny Gazprom-Media. To wszystko z kolei stara się kontrolować Google, który uczy już swoje algorytmy przeszukiwania krótkich formatów wideo – klipy z TikToka zobaczymy niebawem w wynikach wyszukiwania w mobilnych wersjach przeglądarki.

Od lat zresztą to amerykańskie firmy kopiują chińskie rozwiązania dostarczane głównie przez BAT (azjatycki odpowiednik GAFA – Baidu, Tencent i Alibabę). Kalifornijski LimeBike wprowadził system bezstacyjnego wypożyczania rowerów wzorowany na Ofo i MoBike. Firma DiDi Chuxing opracowała wymarzony dla Ubera algorytm przewidujący, kto, gdzie i kiedy może potrzebować transportu. Apple w ślad za Tencentem realizuje płatności poprzez czat, Amazon wprowadził usługę pożyczek pozabankowych podobną do tej, które proponuje Alibaba. Chwilowo w rywalizacji na innowacje z amerykańskimi firmami wygrywają azjatyckie.

– Komunistyczna Partia Chin w połowie lat 90. zostawiła sektor *high-tech* w spokoju, pozwalając mu się swobodnie rozwijać – wyjaśnia dr Michał Bogusz, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich. – Ludzie urodzeni w latach 30. czy 40., którzy wówczas rządzili Chinami, zwyczajnie nie dostrzegali rosnącego znaczenia zaawansowanych technologii oraz ich potencjału. Dopóki spółki dbały o to, by w oferowanych przez nie produktach, usługach i aplikacjach nie pojawiała się alternatywna, krytyczna wobec partii narracja, miały dużo swobody. Jednocześnie partia, blokując zagraniczną konkurencję, dawała im parasol ochronny. To nie tylko zagwarantowało Chinom ogromny wzrost gospodarczy, ale też pozwoliło rozwinąć sektor technologiczny.

### Drony, nie filmiki

Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy władzę w 2013 r. przejął obecny prezydent Xi Jinping. – Chińczycy przeszli w tym

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**MONIKA OCHĘDOWSKA** będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w czwartek 21 stycznia o godz. 15.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

czasie długą drogę od sytuacji, w której inwestowali ogromne pieniądze np. w Hollywood, by blokować niekorzystne dla siebie treści, do momentu, w którym zaczęli wymagać, by wspierane przez nich produkcje zawierały pozytywny obraz Państwa Środka – wyjaśnia Bogusz.

Kolejnym krokiem tej propagandy są produkty takie jak TikTok – dziś synonim popkultury. Dzięki nim partia posiada jednocześnie pełną kontrolę nad publikowanymi na swój temat treściami, jak i możliwość narzucania własnej narracji. Ale mimo wypracowania tak doskonałego narzędzia *soft power*, w Chinach, zdaniem Bogusza, narasta zniecierpliwienie skalą generowanej przez BAT rozrywki. Coraz silniejsza jest chęć przekierowania jego zasobów na rozwój technologii pożądanych przez państwo, a nie trwonienie ich na może i dochodowe, ale z punktu widzenia partii trywialne rzeczy. Xi chce uniezależnić Chiny od zachodnich technologii, szczególnie w sytuacji, gdy wciąż obowiązują go sankcje handlowe nałożone przez Trumpa.

Jesteśmy właśnie świadkami momentu, w którym to zniecierpliwienie przerodziło się w działanie. Na początku stycznia Agencja Reutera doniosła, że miliarder Jack Ma (założyciel firmy kontrolującej dziś niemal trzy czwarte sprzedaży internetowej w Chinach, a przy tym mentor całego sektora azjatyckich technologii, postać rangi Elona Muska) nie pokazał się publicznie od dwóch miesięcy. Dokładnie od momentu, gdy na forum w Szanghaju skrytykował państwowe banki, porównując je do lombardów i oskarżając o podduszanie sektora technologicznego (jednocześnie coraz śmielej wprowadzając na rynek usługi konkurencyjne dla produktów bankowych). Jak twierdzi Bogusz, zniknięcie Ma było tylko kwestią czasu. Frakcja, która dotąd w partii chroniła gigantów sektora nowych technologii, właśnie przestała istnieć.

– Partia najprawdopodobniej będzie chciała wykorzystać zdobycze sztucznej inteligencji do kontrolowania dyskursu społecznego i wzmocnienia technologii wojskowych – przewiduje analityk. – Musimy pamiętać, że w jej rozumieniu nie ma czegoś takiego jak technologie cywilne: każda technologia jest technologią podwójnego przeznaczenia. Oczywiście, ważniejsze niż filmiki są dla Xi np. drony bojowe, ale Wydział Propagandy Komitetu Centralnego bardzo uważnie przygląda się dziś putinowskim systemom dezinformacji. Aktualne działania partii są w tym obszarze jeszcze nieudolne, bo Chińczycy wciąż się nas uczą, ale zaczynają prześcigać już Rosję pod względem zasobów.

Do jakich działań partia mogłaby taką „fabrykę trolli" zatrudnić w pierwszej kolejności? – Widać już ogromną ofensywę antyszczepionkową, bo im dłużej będzie trwała ogólnoświatowa pandemia, tym lepiej dla chińskiej gospodarki – twierdzi Bogusz.

Skala dezinformacji, jakiej możemy za moment doświadczyć, nigdy nie byłaby możliwa, gdyby nie platformy, które przechodzą właśnie w ręce partii Xi.

Gdy Dzisiejsze Nagłówki Zhanga Yiminga z liczbą 120 mln użytkowników dziennie stały się najpopularniejszą aplikacją newsową na świecie, chiński „Dziennik Ludowy" oskarżył ich twórcę o rozpowszechnianie „niecywilizowanych treści". Partię irytowało, że algorytm zbyt dobrze filtruje materiały propagandowe, promując jedynie sport i rozrywkę. W odpowiedzi na krytykę kluczowe miejsce serwisu szybko zajęły artykuły chwalące dokonania prezydenta Xi. Dwa lata temu, wciąż naciskany przez urząd cenzury, Yiming złożył publiczne przeprosiny. „Nasz produkt poszedł złą ścieżką" – pisał , obiecując wzmocnienie współpracy z reżimowymi mediami.

Komentator „Dziennika Ludowego" po wystąpieniu założyciela TikToka wyraził nadzieję, że przyszłością świata jest „czerwony algorytm": idealne połączenie człowieka, maszyny i partii.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

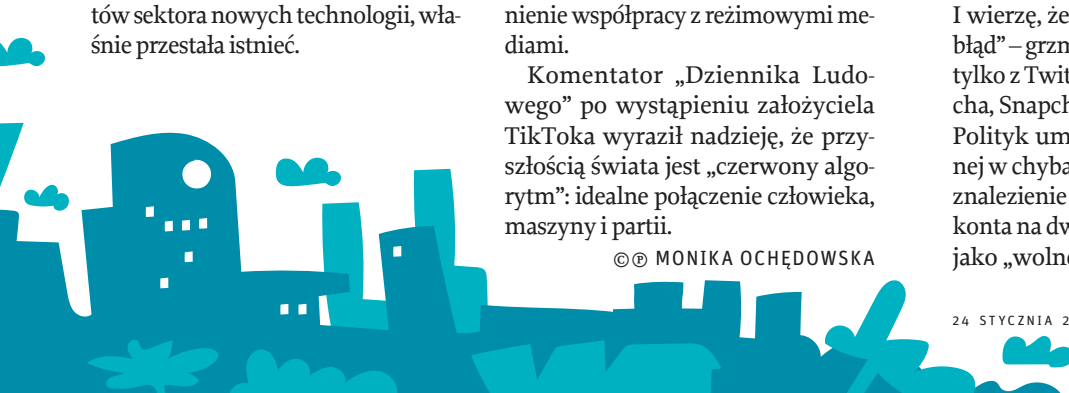

# Zasady społeczności

AGATA KAŹMIERSKA
I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

**Monopol na sprawy ważne dla całych społeczeństw ma dziś kilka prywatnych firm. A one znalazły się właśnie w punkcie zwrotnym – nie wiemy tylko, czy na lepsze, czy na gorsze.**

6 STYCZNIA HISTORIA RUSZYŁA Z KOPYTA. Najpierw sprowokowany przez urzędującego prezydenta USA atak jego zwolenników na Kapitol. Potem odcięcie mu dostępu do ponad 100 mln ludzi na wszystkich największych platformach społecznościowych. I na koniec: *impeachment*. Ale z sekwencji tych trzech wydarzeń najbardziej znamienne – choć najmniej spektakularne – może się okazać zepchnięcie Trumpa z cyfrowego piedestału.

### Gdy migrują ekstremiści

Donald Trump był jednym z najpopularniejszych użytkowników Twittera. Od debiutu w 2009 r., gdy wysłał pierwszego tweeta, by zareklamować swój występ w programie Davida Lettermana, zaćwierkał 57 tys. razy. Gdy Twitter zamykał jego konto, miał 88 mln obserwujących, co dawało mu szóste miejsce w rankingu popularności w tym serwisie, tuż za Cristianem Ronaldo i tuż przed Taylor Swift. Przez lata to przede wszystkim ta platforma była centralnym elementem jego polityki, nieważne, czy w tweetach uprawiał autopromocję, czy groził wojną jądrową. Dzięki niej wymijał tradycyjne media, ale także własny sztab – i zwracał się bezpośrednio do odbiorców.

„Wielkie firmy technologiczne robią coś strasznego w naszym kraju i z naszym krajem. I wierzę, że to będzie dla nich katastrofalny błąd" – grzmiał Trump, gdy wyrzucono go nie tylko z Twittera, ale również Facebooka, Twitcha, Snapchata, Reddita, Shopifya i TikToka. Polityk umiejący działać na scenie publicznej w chyba tylko jeden sposób, zapowiedział znalezienie alternatywy. Zarejestrował nawet konta na dwóch serwisach reklamujących się jako „wolne od cenzury". W Parlerze zdążył ↦

↦ zdobyć 13 tys. obserwujących, zanim cały serwis decyzjami prezesów Apple'a i Google'a usunięto ze sklepów z aplikacjami i – co było ostatecznym ciosem – z obsługujących go serwerów Amazona. W efekcie Parler zniknął. Gab to kolejna alternatywa Trumpa. Zrobiło się o niej głośno, gdy jeden z członków serwisu w 2018 r. dokonał masakry modlących się w synagodze w Pittsburghu. Przeważają tam treści antysemickie oraz teorie spiskowe. Teraz prezesowi serwisu, który boryka się z problemami finansowymi, doszedł nowy kłopot: grozi mu oskarżenie o podżeganie do ataku na Kapitol.

Możliwe oczywiście, że były prezydent USA zdecyduje się zbudować własną platformę do komunikacji. I jeśli to zrobi – a fundusze mógłby zebrać z łatwością – na amerykańskiej scenie może się stać wyjątkowo niebezpieczny. Usunięcie jego kont nie spowodowało wprawdzie masowej migracji jego śladem do Parlera czy Gaba i wątpliwe, by w swoim nowym medium zdobył 88-milionową publiczność. Problem tkwi gdzie indziej: z badań nad migracjami grup ekstremistycznych w internecie wynika, że jeśli zmuszone są do porzucania dotychczasowych terytoriów, przy przenosinach gubią wprawdzie wielu członków, ale ci, którzy pozostają, radykalizują się jeszcze bardziej.

### Uprzedzone do umiarkowania

„Ajatollahowie i dyktatorskie reżimy mogą mieć konta na Twitterze bez problemu, pomimo grożenia ludobójstwem całym krajom i zabijania homoseksualistów itp... Ale prezydent Stanów Zjednoczonych powinien zostać wydalony. Mao byłby dumny" – tak na Twitterze bronił ojca Donald Trump Jr. Trzeba mu przyznać rację: konta wielu polityków, którym nieobca jest mowa nienawiści, jak Jair Bolsonaro czy Narendra Modi, wciąż działają.

Bardzo trudno byłoby stwierdzić, który polityk i dokładnie kiedy „złamał zasady społeczności" i nie poniósł za to konsekwencji. Trump w ostatnich latach stał się jednak takich postaci symbolem, a moderatorzy byli wobec niego bezradni. Zapewne dlatego, że mimo zawartych w nich kłamstw czy zastraszania posty te i tweety pochodziły od bardzo ważnego światowego przywódcy. Zawsze chętnie cytowały je światowe media – im bardziej były kontrowersyjne, tym częściej. Zyskiwały obie strony.

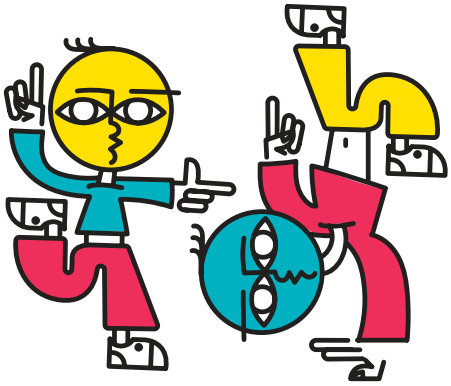

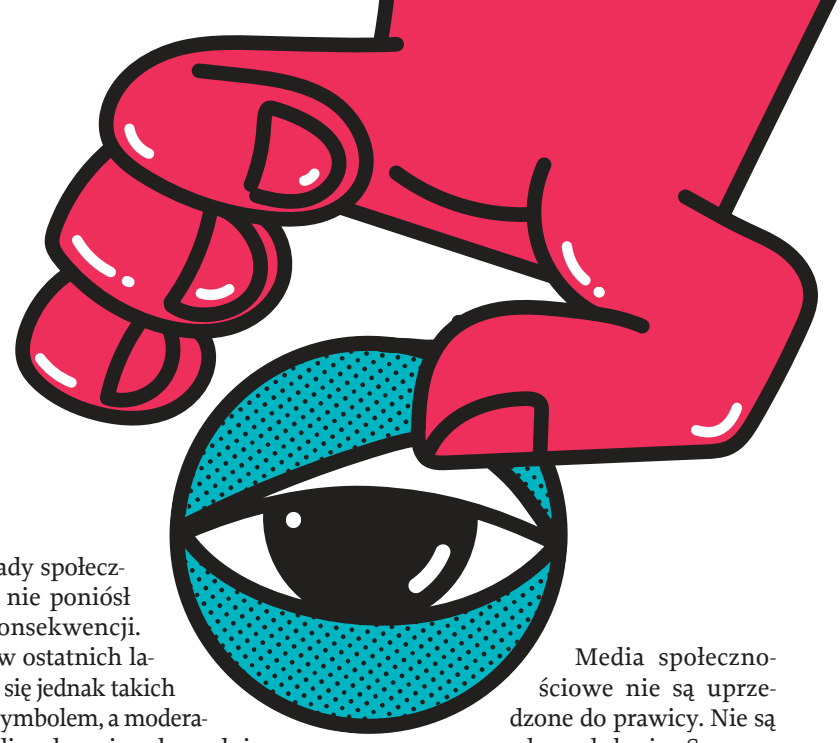

Wszystko zmieniło się wraz z wybuchem pandemii, gdy dogmat wolności wyrażania poglądów w mediach społecznościowych skruszyła troska o zdrowie publiczne. Z jednej strony coraz częściej blokowano konta siewcom fake newsów o koronawirusie, z drugiej Trump coraz mocniej w stronę takich właśnie grup ciążył. Konfrontacja stała się pewna, gdy komunikaty ważnego światowego przywódcy zaczęły dotyczyć picia wybielacza czy bezcelowości noszenia maseczek.

Później przyszła kampania i wybory w USA, ale nawyk stania po stronie prawdy chyba administratorom musiał się utrwalić, bo pod wpisami Trumpa regularnie pojawiały się komunikaty, że zawierają kłamstwa. Z czasem jego wiadomości zaczęto nawet kasować.

Nie zapobiegło to jednak atakowi i rozlewowi krwi. Zamieszki, do których doszło na Kapitolu, były szokujące, ale – łatwo to powiedzieć po fakcie – do przewidzenia. Były zwieńczeniem i kwintesencją wszystkich problemów, jakie od lat trawią internet: polaryzacji, braku realnego dialogu, rozprzestrzeniania się teorii spiskowych. Wreszcie ekstremizmu, który jest w mediach społecznościowych równie wszechobecny jak zdjęcia kotów i posty o morsowaniu. Ekstremizmu o każdym zabarwieniu.

Media społecznościowe nie są uprzedzone do prawicy. Nie są uprzedzone do lewicy. Są uprzedzone do umiarkowania. Organizacja Media Matters for America przez osiem miesięcy ubiegłego roku obserwowała, jak chętnie użytkownicy wchodzą w interakcje ze stronami o różnym zabarwieniu politycznym. Skrajnie prawicowe strony mogły liczyć średnio na 372 tys. interakcji użytkowników. Skrajnie lewicowe – na 369 tys. Tymczasem strony „umiarkowane" zbierały po 283 tys. interakcji.

Wynika to z modelu biznesowego mediów społecznościowych. Miliardy na kontach Facebooka czy Instagrama biorą się niemal wyłącznie z reklam. Firmy dostają pieniądze tylko wtedy, kiedy użytkownik reklamy ogląda. A ów ogląda tym więcej reklam, im dłużej siedzi na ich stronie. Żeby go tam przykuć, algorytmy dobierają treści wywołujące największe zaangażowanie, a żadne uczucia nie rozgrzewają ludzi tak, jak strach, złość i oburzenie. Donald Trump nie stworzył tego modelu biznesowego . On po prostu doskonale go wykorzystywał.

### Rachunek strat

Po zamknięciu kont prezydenta media społecznościowe oskarżono o cenzurę. Nawet Angela Merkel – której relacji z Trumpem nijak nie da się nazwać ciepłymi – oświadczyła, że ta decyzja jest „problematyczna". Jej rzecznik nazwał wolność słowa „podstawowym prawem o podstawowym znaczeniu". Nigdzie jednak w regulaminie żadnej z platform społecznościowych nie napisano, że mają obowiązek dawania forum każdemu. To są firmy prywatne i każdy użytkownik, zakładając konto, zgadza się na warunki

użytkowania. Donald Trump też się na to zgodził. Teoretycznie nadal cieszy się wolnością słowa: może zwołać konferencję prasową albo wypowiadać się na platformie, która zgodzi się udostępnić mu forum.

Sedno problemu tkwi jednak nie w tym, że platformy społecznościowe to prywatne firmy z własnym regulaminem, podejmujące arbitralne decyzje, lecz w tym, jak są potężne i jak wielką rolę społeczną odgrywają. Niepokoić powinno nie to, co robią wobec jakiegoś użytkownika, mniejsza o to, jak ważnego, ale to, jak są ważne dla funkcjonowania całych społeczeństw.

Otóż znaleźliśmy się w świecie, w którym olbrzymią część naszej komunikacji kontrolują zaledwie trzy korporacje: Facebook, Twitter i Alphabet (holding będący właścicielem Google'a). I trudno znaleźć realne obejście tak egzekwowanego monopolu. Edward Snowden nazwał deportację prezydenta USA z mediów społecznościowych „punktem zwrotnym w bitwie o kontrolę nad cyfrową swobodą wypowiedzi, bez względu na to, czy na lepsze, czy na gorsze".

W tej sytuacji może pocieszać, że każdy z tych gigantów musiał w zbanowanie Trumpa wkalkulować wymierne straty, które to przyniesie. I nie chodzi wyłącznie o to, że już następnego dnia po tej decyzji akcje Facebooka straciły 4 proc., a Twittera 12 proc. Media społecznościowe musiały mieć pewność, że narażą się użytkownikom sprzyjającym prezydentowi, a biorąc pod uwagę skalę polaryzacji w USA, jest ich tylko nieco mniej niż połowa. Wreszcie, musiały brać pod uwagę, że ich bezprecedensowa decyzja sprawi, iż z nową siłą wrócą pytania, czy nie należy tych firm podzielić lub ograniczyć ich wpływów regulacjami. Mimo to podjęły tę decyzję i – jak zapewniała Sheryl Sandberg, szefowa operacyjna Facebooka – żaden z gigantów nie ma zamiaru się z niej wycofywać.

> Problem nie w tym, że platformy społecznościowe to prywatne firmy podejmujące arbitralne decyzje. Lecz w tym, **jak są potężne i jak wielką rolę społeczną odgrywają.**

To ich pierwsza decyzja, na której mogły tylko stracić. Można ją też czytać jak nieśmiałą przesłankę, iż po latach zarzekania się o własnej neutralności i niewinności przyjęły do wiadomości, że nie są ani neutralne, ani niewinne, oraz że mają realny wpływ na świat. I gotowe są wziąć za to odpowiedzialność. To też zrobiły po raz pierwszy.

Szef Twittera Jack Dorsey bronił swojej decyzji jako podyktowanej troską o bezpieczeństwo publiczne. Ale przyznał, że niesie ona potencjalnie ogromne konsekwencje nie tylko dla jego serwisu. „W dłuższej perspektywie taka dynamika będzie destrukcyjna dla szlachetnych ideałów otwartego internetu", napisał w tweecie. „Ustanawia niebezpieczny precedens władzy, jaką osoba czy korporacja ma nad częścią globalnej dyskusji". „Nie zdołaliśmy wypromować zdrowego dialogu. Czas, abyśmy zastanowili się nad naszymi działaniami i otaczającym nas środowiskiem".

Jak odpowiedzą demokratyczne społeczeństwa? Wydarzenia na Kapitolu mogą stać się impulsem do stworzenia alternatywnej wizji i przebudowy mediów społecznościowych tak, by moderatorami decydującymi o wolności wypowiedzi były społeczności – dokładnie, jak się to dzieje w świecie offline i co jest fundamentem demokracji. Równie prawdopodobne jest jednak, że te same społeczeństwa tak szybko, jak się oburzyły, tak szybko wrócą do zdjęć kotków i postów z morsowania.

© AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI *są autorami książki „Strefy cyberwojny", dziennikarzami stale współpracującymi z „TP".*

Posłuchaj także rozmowy pt. „Ban dla Trumpa" w Podkaście Powszechnym: **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

**TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj:** Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
**Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
**TP Typografia:** Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
**Manager IT:** Bartłomiej Swojak
**Redaktor wydań specjalnych** Michał Okoński
**Felietony:** Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
**Adres wydawcy i redakcji:** 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
**Reklama, promocja:** tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
**Prenumerata:** tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

# Kordowicz:
## *Sprawiedliwe*

Na otwierającym Księgę Wyjścia zakręcie historii Jakubowy klan rozrasta się w nację, następuje też zmiana władzy w Egipcie. Nowy faraon wyzuty jest z wdzięczności Józefowi – niegdysiejszemu mężowi opatrznościowemu, dzięki któremu gospodarka egipska kwitnie nawet podczas „siedmiu lat chudych". Wizja Izraelitów jako piątej kolumny motywuje władcę do działania. Faraon próbuje ograniczyć liczebność ich populacji niewolniczą pracą, a gdy to nie przynosi skutku – nakazuje położnym eliminować chłopców, pozostawiając przy życiu dziewczynki. Czyżby kolejny relikt wiary w to, że płód rozwija się wyłącznie z męskiego nasienia?

„Położne hebrajskie" (1, 15) – nie wiemy, czy to Hebrajki, czy może egipskie położne odbierające porody hebrajskich kobiet. Szifra i Pua nie pojawiają się więcej na kartach Biblii, stąd chęć utożsamienia ich ze znanymi postaciami kobiecymi. Rabini w Talmudzie mówią, że to albo matka i córka, albo synowa i jej teściowa, a zatem Jochebed – matka Miriam, Aarona i Mojżesza – oraz sama Miriam bądź Eliszeba, żona Aarona.

Bóg „ustanawia domy" położnym (wers 21) – jeśli są one kapłańskie i lewickie oraz królewskie, rzeczywiście pasuje to do tych trzech kobiet (Eliszewa jest córką Aminadaba, siostrą Nachszona, który przewodzi plemieniu Judy). Ale Miriam ma podczas tych wydarzeń pięć lat, a Aaron trzy! Przyjmijmy więc realistycznie, że położnymi są Egipcjanki, które „boją się Boga", czyli mają odwagę moralną, by przeciwstawić się złu. Szifra i Pua – sprawiedliwe wśród narodów świata – zostają wymienione z imienia. Ile innych położnych jedynie „wykonuje rozkazy"?

Bóg też „świadczy im dobro" (wers 20) – może znaczy to, że sprawia, iż faraon im wierzy i w związku z tym nie karze za niewykonanie rozkazu? W wersie 17 położne nie słuchają władcy i dają chłopcom żyć – czyż to nie jedno i to samo? Otóż nie, mówi midrasz: Szifra i Pua również opiekują się położnicami i ich potomstwem, zdobywając pożywienie dla ubogich matek. W innym midraszu proszą Boga, żeby komuś nie przyszło do głowy, że ponieważ chciały zabić dziecko, ono urodziło się z wadami. Najwyższy wysłuchuje ich modlitw i wszystkie dzieci rodzą się zdrowe.

Faraonowa córka, przeciwstawiając się ojcu, ratuje i wychowuje hebrajskie dziecko. W 1 Krn 4, 18 znajdziemy jej imię: Bitia, czyli „córka Boga". W midraszu Bóg mówi: „Mojżesz nie był twoim synem, ale nazwałaś go swoim synem – nie jesteś Moją córką, ale nazywam cię swoją córką". Aż strach pomyśleć, co stałoby się z dziećmi Izraela, gdyby nie Mojżesz...

Talmud mówi, że wybawienie z Egiptu ma miejsce dzięki zasługom sprawiedliwych kobiet w tym pokoleniu. Niewątpliwie poczesne miejsce wśród nich zajmują Bitia, Szifra i Pua. ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Trzeba się narazić*

Nie przypuszczam, żeby – jak chce Marek Ewangelista – bracia Szymon i Andrzej oraz Jakub i Jan, synowie Zebedeusza, ot tak, na skinienie ręki, porzucili dotychczasowy sposób życia i bez zastanowienia przyłączyli się do zupełnie nieznanego im człowieka. Zapewne już coś o Jezusie słyszeli, ale w ciągu tych kilku lat przebywania z Nim w dzień i w nocy Jezus będzie wciąż ich zaskakiwał i wiele razy będą musieli zmieniać swoją o Nim opinię, a więc swoje życie. Pamiętamy, jak kłócili się o to, kto z nich jest najważniejszy i jak to matka Zebedeuszów próbowała załatwiać u Jezusa intratne posadki dla swoich pociech na Jego dworze. Nikt też nie usłyszał od Jezusa ostrzejszych słów od tych, jakie usłyszał Piotr.

Patrząc wstecz, widzimy, że każde nowe pokolenie chrześcijan przechodzi podobną apostolską szkołę. Jak tylko uszykujemy sobie przy Jezusie cieplutkie gniazdeczko i dziękujemy Mu za tę tak wielką łaskę i błogosławieństwo, raczej wcześniej niż później ktoś lub coś ten święty spokój burzy. Dowód? Koronawirus. „Kiedy powiedzą: »Pokój i bezpieczeństwo«, wtedy dosięgnie ich zagłada, tak nagle jak bóle kobietę przed porodem, i na pewno się nie uratują. Wy natomiast, bracia, nie żyjecie w ciemności, aby ów dzień miał was zaskoczyć jak złodziej. Wy wszyscy przecież jesteście dziećmi światła i dziećmi dnia, a nie nocy i ciemności. Nie śpijmy więc jak inni, ale czuwajmy i bądźmy trzeźwi" – pisał Paweł Apostoł do Tesaloniczan. Nie chodzi o to, żeby bać się Boga, który znienacka na nas napadnie – to nie jest w Jego stylu. Bóg przez apostoła próbuje nas wyrwać z takiego niedobrego „snu", dlatego przypomina, że ci, którzy „sieją wiatr, zbiorą burzę".

Kard. Konrad Krajewski był kiedyś świadkiem, jak papież Franciszek mówił do księży: „Czasem jesteś najważniejszy w kancelarii. Przychodzi kobieta z dzieckiem i mówi: »Proszę księdza, chcę ochrzcić dziecko«. Ksiądz nigdy w życiu jej nie widział i zaczyna rozmawiać, wypełniając jakiś formularz. Pyta: »Imię ojca?«. A ona: »Nie wiem, kto jest ojcem«. »Jak to nie wiesz, kto jest ojcem?!«. »Nie wiem«. Bo skąd prostytutka ma wiedzieć, kto jest ojcem? (...) I właśnie tak kończy się nadzieja na chrzest. Bo synod diecezjalny, bo prawo... A przecież przyszła do ciebie błogosławiona, jeśli nie święta. Modlimy się o zachowanie życia od poczęcia do śmierci, a przecież mogła zabić. Nie zabiła, przyszła. Co by zrobił Jezus? Co by zrobił Jezus?! Trzeba było spytać: Masz pieniądze na pieluchy? Kupić ci wózek? I powiedzieć: Ochrzczę w tę niedzielę. Przyjęcie będzie na plebanii. Tak, trzeba się narazić. Ewangelia nieraz bardzo kosztuje, jest piękna jak wiosna, ale nieraz ciężka jak krzyż". ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Dramat w czterech słowach*

*Serce bez poznania*
*nie postąpi naprzód,*
*jak i drzewo*
*nie zakwitnie bez wilgoci.*

**EWAGRIUSZ Z PONTU**

*Wszystko można*
*znaleźć wszędzie.*

**SZAJCH ARIF REWGARI**

Wybrał PIOTR SIKORA

Wszyscy synoptycy opisują uzdrowienie trędowatego przez Jezusa (Mk 1, 40-45; Mt 8, 2-4; Łk 5, 12-15). Wersja Markowa – której niedawno słuchaliśmy – jest najdłuższa i najbardziej „detaliczna". Marek starannie dobiera słowa, których nie odnajdujemy w pozostałych redakcjach.

„Przyszedł do Jezusa trędowaty i (...) prosił Go: Jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić". „Prosił" – Marek używa tutaj słowa: *parakaléo*, to znaczy „przywoływał". „Przyszedł", ale nie odważył się podejść „blisko". Wie, że mu nie wolno. Jako trędowaty ma obowiązek zachować odległość bezpieczną dla swojego Rozmówcy. Nie ma w nim żadnej zuchwałości ani natarczywości; jest pokorny i całkowicie otwarty na wolę Pana. To piękne i rzadkie. Również w naszych postawach.

Słowo drugie: „Jezus, zdjęty litością, wyciągnął rękę, dotknął go". „Zdjęty litością" – *splagchnizomai* – św. Hieronim tłumaczył: „poruszony miłosierdziem" – dosłownie znaczy „dotknięty do samych wnętrzności (*splagchna*)". Jezus – zgodnie z pragnieniem chorego – skraca dystans. Wcale nie do odległości na „wyciągnięcie ręki". Wpuszcza go do swojego wnętrza! Do swojego „łona" (*rehem*) – co jeszcze lepiej oddaje myślenie hebrajskie. Z Jezusowego miłosierdzia ma nie tylko być uzdrowiony, ale narodzić się na nowo.

Na tym jednak nie koniec. Pojawia się słowo trzecie: „Jezus zaraz go odprawił (...) na świadectwo dla nich". Tu pada słowo *ekbállo* – dosłownie: „wyrzucić" (!), „wypędzić". Może znaczyć również „posłać", ale właśnie z jakąś gwałtownością wynikającą np. z rozeznania sytuacji czy potrzeby. Tak użyte jest w sławnym zdaniu Jezusa: „Proście Pana żniwa, aby posłał (*hopos ekbale*) robotników na swoje żniwo". Co można przeczytać i tak, że robotnicy „są", ale „nie chce się im ruszyć" – trzeba ich „wygnać".

„Zaraz go wygnał" – zdaje się kłócić z poprzednią serdecznością i bliskością. A może jednak chodzi o przekonanie nas do misyjnej dyscypliny naszej wiary. Spotkanie i uzdrowienie nie jest do kultywowania narcystycznego „ciepełka".

I tu pojawia się słowo czwarte: „On jednak zaczął wiele opowiadać i rozgłaszać (...) tak, że Jezus nie mógł już jawnie wejść do miasta". „Jednak" – greckie *dè* – brzmi wręcz szokująco. Posłany na „świadectwo" (z zakazem „mówienia" o tym, co się stało), wychodzi i „gada". Marek używa tu niezwykle ważnego słowa *kerysso* (ogłaszać – stąd słowo: kerygmat). Jakby chciał nam powiedzieć: „Uważajcie!". Można nawet kerygmat sprowadzić do gadaniny, która działa wbrew Jezusowi. Zamiast Mu otwierać przestrzenie do działania – zamyka. W tym miejscu to nie Jezus, lecz uzdrowiony przezeń człowiek zdumiewa. Jak to możliwe, że – będąc trędowaty – miał w sobie tak piękne poddanie się woli Bożej, a będąc uzdrowiony zaczyna kierować się swoją własną? Wiara i niewiara; pokora i nieposłuszeństwo; pewność siebie i poczucie grzechu są w nas tak blisko siebie. ©

### CZYTANIA LITURGICZNE (24 – 31 I)

**3. niedziela zwykła:** Jon 3, 1-5. 10; Ps 25; 1 Kor 7, 29-31; Mk 1, 14-20;
**Poniedziałek:** Dz 22, 3-16 albo Dz 9, 1-22; Ps 117; Mk 16, 15-18;
**Wtorek:** Hbr 10, 1-10; Ps 40; Mk 3, 31-35;
**Środa:** Hbr 10, 11-18; Ps 110; Mk 4, 1-20;
**Czwartek:** Hbr 10, 19-25; Ps 24; Mk 4, 21-25;
**Piątek:** Hbr 10, 32-39; Ps 37; Mk 4, 26-34;
**Sobota:** Hbr 11, 1-2. 8-19; Ps: Łk 1, 69-75; Mk 4, 35-41;
**4. niedziela zwykła:** Pwt 18, 15-20; Ps 95; 1 Kor 7, 32-35; Mk 1, 21-28.

# NIKT Z TEGO NIE WYJDZIE SAM

**ANDRZEJ RYŚ, DYREKTOR DS. SYSTEMÓW OPIEKI ZDROWOTNEJ W KOMISJI EUROPEJSKIEJ:**

Szczepienie to odpowiedzialność za własne zdrowie, ale również za przebieg pandemii.

**MAŁGORZATA SOLECKA: Jeszcze przed wydaniem przez Europejską Agencję ds. Leków (EMA) opinii o dopuszczeniu pierwszej szczepionki na rynek nasze Ministerstwo Zdrowia przyznawało, że część dawek – nawet kilka milionów – zostanie zmarnowana. Można założyć, że w jakimś stopniu to jest wliczone w koszty operacji na masową skalę. Ale gdzie jest granica?**

**ANDRZEJ RYŚ:** Szczepionki są produkowane w fiolkach pięcio- lub dziesięciodawkowych i choćby z tego powodu pewna ilość preparatu może się zmarnować. Oczywiście tak należy zaplanować szczepienia, aby te straty ograniczyć do minimum.

**Ale kraje członkowskie, w tym również Polska, realizują szczepienia pozyskując sześć dawek z fiolki. I EMA też przygotowuje zmianę w dokumentach rejestracyjnych, by to zalegalizować. Mówimy tu jednak bardziej o maksymalizacji wykorzystania preparatu w sytuacji, gdy szczepionek w stosunku do potrzeb jest ciągle mało.**

Dlatego tak ważne jest dobre, optymalne wręcz przygotowanie całego systemu szczepień przez kraje członkowskie. Ale nie jest zadaniem Komisji Europejskiej ocena tego, jak poszczególne państwa radzą sobie z tym wyzwaniem. Nie bez przyczyny w wielu krajach członkowskich grupą priorytetową w dostępie do szczepionki są pracownicy ochrony zdrowia. Oni są, po pierwsze, rzeczywiście najbardziej narażeni na kontakt z wirusem. Ale przemawiają też za takim wyborem względy czysto logistyczne: to grupa dobrze zlokalizowana, możliwa do szybkiego wyszczepienia w miejscu pracy lub mająca do punktu szczepień prosty dostęp...

**...i, przynajmniej w teorii, chętna do szczepienia.**

Jeśli nie oni, to kto? Kto ma nie tylko wierzyć, ale wiedzieć, że szczepionka nie powstała w ciągu kilku miesięcy, ale jest rezultatem wieloletnich prac i badań. Że technologia mRNA jest wielką nadzieją medycyny, ale jej historia ma już prawie dwadzieścia lat? Że owszem, sam preparat, który wędruje samolotami i ciężarówkami po Europie, po Stanach Zjednoczonych, został wyprodukowany stosunkowo niedawno, ale trzeba go oceniać w kontekście wszystkich etapów, które zostały przeprowadzone i ocenione wcześniej. Jest to olbrzymi sukces naukowców, ale także europejska innowacja wsparta grantami z programów badawczych UE i pożyczką z Europejskiego Banku Inwestycyjnego.

**W Polsce pod koniec grudnia odsetek uprawnionych do szczepienia na etapie zero, którzy się zgłosili, to niespełna 40 proc. A jednym z argumentów najczęściej używanych przez niechętnych szczepieniu, również medyków, była właśnie „świeża metryka" szczepionki Pfizera i BioNTech.**

Niewątpliwie COVID-19 wręcz wymusił przyspieszenie prac. Ale w żadnym razie nie można mówić, że zostały złamane czy nawet naruszone wymogi stawiane przez regulatorów takich jak EMA czy amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA). To kwestia dopięcia procesu decyzyjnego zarówno po stronie naukowców, przemysłu farmaceutycznego, jak i państw oraz ich instytucji. Na pewno nie jest tak, że Unia czy Stany dyktowały producentom, w jakim tempie mają opracowywać szczepionki. To firmy podejmowały decyzje, jak zorganizować badania kliniczne, jak je przeprowadzić, jak zgromadzić i dostarczyć dowody na skuteczność swoich produktów regulatorom, którzy je oceniali.

W praktyce już od maja w ramach koalicji instytucji, które decydują o dopuszczeniu leków na rynek – FDA w USA, EMA w UE, MHRA (Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych i Wyrobów Medycznych) w Wielkiej Brytanii, ale też agencje lekowe z Japonii i Kanady – trwały dyskusje na temat regulacyjnej części procesu wprowadzania szczepionek przeciw COVID-19 na rynek. Wszyscy pracowaliśmy przez ponad pół roku dla osiągnięcia tego samego celu: jak najszybszego rozpoczęcia szczepień bezpiecznymi i skutecznie działającymi preparatami.

Nie można też zapominać, że od wiosny na całym świecie zainwestowano w badania naukowe nad SARS-CoV-2 potężne środki finansowe, by rozpracować mechanizm jego działania. Inwestowała UE, rządy na całym świecie, fundacje i firmy. Marzeniem jest to, byśmy mieli skuteczne szczepionki, ale też leki dla tych, którzy mimo wszystko zachorują. Na razie mamy jeden nowy zarejestrowany lek antywirusowy i pierwsze szczepionki. Tylko albo aż.

**Mamy dwie szczepionki, bo 6 stycznia EMA wydała opinię w sprawie bezpieczeństwa i skuteczności preparatu firmy Moderna. Kilka godzin później decyzję o dopuszczeniu na rynek podjęła Komisja Europejska. Na horyzoncie jest też zaakceptowana w Wielkiej Brytanii trzecia szczepionka, tzw. oksfordzka. Pytanie, czy będziemy chcieli się szczepić? Czy KE ma jakieś dane dotyczące gotowości do szczepień covidowych w poszczególnych krajach? Naukowcy mówią, że pandemia się skończy, gdy zaszczepimy 60-70 proc. populacji.**

Komisja Europejska takich badań nie zlecała, ale oczywiście były one przeprowadzane przez organizacje i instytucje, przede wszystkim w poszczególnych krajach. Widać z nich wyraźnie, że największą gotowością do zaszczepienia wykazują się mieszkańcy Chin i innych krajów Dalekiego Wschodu. Kraje europejskie nie są pod tym względem światowym liderem, mówiąc oględnie. Jeszcze niższa akceptacja dla szczepień jest w Polsce, Francji czy w Rosji. W Polsce szczepić się chce co drugi dorosły obywatel.

**Połowa Polaków na początku stycznia w ogóle dopuszczała szczepienie. Chętnych, w zależności od sondażu, było 20-25 proc. Chętnych to znaczy takich, którzy zdecydowanie chcieli i już nie mogli się tego szczepienia doczekać.**

A jaka będzie ostateczna decyzja tych ludzi – czas pokaże. Może na nią wpłynąć wiele czynników.

**W Polsce taki czynnik się już pojawił. Zaszczepienie niewielkiej grupy sławnych osób, nieuprawnionych na etapie zero, wywołało potężną burzę i – przynajmniej na krótką metę – zaowocowało, jak twierdzą szpitale, wielkim popytem na**

↦

*Szczepienia przeciwko COVID-19 priorytetowej grupy „zero" na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich. 11 stycznia 2021 r.*

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA GAZETA

**szczepienia. Wszyscy chcą tego, „co Krystyna Janda dostała spod lady". Efekt widać w sondażach: skokowo wzrósł odsetek chętnych.**

Trudno się odnieść do tej sytuacji, zwłaszcza że nadal jest wyjaśniana. W wielu krajach szczepienia rozpoczynały się różnymi problemami. Czynnikiem chyba najbardziej mobilizującym jest – niestety – narastanie kolejnej fali infekcji. Za tym mogą iść zwiększone obostrzenia, z których być może będą częściowo wyłączeni ludzie zaszczepieni. A na pewno będą pracować w poczuciu większego bezpieczeństwa – jak lekarze czy pielęgniarki.

Mamy do czynienia z bezprecedensowym, skomplikowanym procesem, w którym indywidualna decyzja jest sprzężona mocno z dobrem publicznym. Szczepienie to odpowiedzialność za własne zdrowie, zdrowie naszych najbliższych, ale również za przebieg pandemii. Za to, czy uda nam się ją w racjonalnym czasie zakończyć albo przynajmniej ograniczyć jej skutki i kontrolować sytuację. Wszyscy, którzy się na tym znają – eksperci od zdrowia publicznego, lekarze, naukowcy – mówią jednoznacznie: zakończenie pandemii będzie możliwe tylko wtedy, gdy odpowiednio duża grupa ludzi się zaszczepi. Innej drogi nie ma. Nie natrafiłem jeszcze na analizę naukową, w której ktoś postawiłby tezę, że SARS-CoV-2 samoistnie zaniknie.

**W europejskiej dyskusji mocno wybrzmiewa motyw odpowiedzialności – państw i społeczeństw, by osiągnąć odporność zbiorową. Czy na szczeblu unijnym jest możliwe wprowadzenie jakichś benefitów – albo odwrotnie, obostrzeń dla nieszczepiących się – by dodatkowo wzmocnić gotowość do szczepień? Czy będzie europejska marchewka albo kij?**

Szczepienia przeciw COVID-19 są dla Unii historycznym momentem, bo po raz pierwszy zapadła decyzja o działaniach na rzecz stworzenia wspólnego portfela szczepionek – bezpiecznych, skutecznych i możliwych do wprowadzenia do obrotu tak szybko, jak tylko się da. Ta decyzja zapadała wiosną. Potem – decyzja w sprawie wspólnego zakupu...

**...w tej chwili kontestowana albo co najmniej podważana. Również w Polsce pojawiają się głosy, że trzeba szczepionki kupować czy też dokupywać poza unijnym mechanizmem na własną rękę, bo tych z Unii jest za mało.**

Czynnikiem, który będzie mobilizował do szczepienia, **jest narastanie kolejnej fali infekcji.** Za tym mogą iść zwiększone obostrzenia, z których być może będą częściowo wyłączeni ludzie zaszczepieni.

Pojawiły się głosy krytykujące poszczególne rządy za wejście w ten mechanizm, a także Komisję, że można było to zrobić inaczej. Warto wrócić więc do nie tak odległej historii. W maju i czerwcu, gdy kraje członkowskie i Komisja podejmowały decyzję o wspólnym zakupie szczepionek, kilka krajów miało problem z zaakceptowaniem tego podejścia, ale ostatecznie się udało. To pociągnęło za sobą opracowanie przez KE wspólnej strategii dotyczącej szczepionek i szczepień oraz wspólny wybór najbardziej obiecujących projektów rozwoju szczepionek. Mówimy o czasie, gdy nie było wiadomo, czy jakikolwiek z nich skończy się sukcesem! Za tym poszły negocjacje cenowe, wspólne rezerwacje liczby szczepionek, które mają szansę być stosunkowo szybko dopuszczone do obrotu.

Założyliśmy, że będzie to sześć preparatów. I, przynajmniej na razie, wybór się potwierdza, bo szczepionki albo już są, albo – kolejne – w przeciągu kilku tygodni lub najbliższych miesięcy mogą zostać dopuszczone do obrotu. Być może wkrótce pojawi się na unijnej liście jeszcze jedna firma, bo cały czas trzymamy rękę na pulsie i obserwujemy postęp prac.

Trzecim ważnym momentem była decyzja o wspólnym dopuszczeniu do obrotu na podstawie decyzji EMA, choć każdy kraj, wzorem Wielkiej Brytanii, mógł zrobić to na własną rękę i dopuścić szczepionki w trybie nadzwyczajnym. Zwyciężyła solidarność i przesłanie, że jesteśmy w tym razem. Uzgodniono też mechanizm alokacji *pro rata*, czyli równocześnie do wszystkich krajów i proporcjonalnie do populacji, z uwzględnieniem dostępnych dostaw od producentów. Zabezpieczyliśmy kontakty na dostawy do 2 mld szczepionek produkowanych w trzech różnych technologiach i zainwestowaliśmy ponad 2 mld euro ze środków UE.

Co do kija lub marchewki związanych ze szczepieniami: na razie jest na to za wcześnie, jesteśmy na początku drogi. Na pewno można się spodziewać, że pojawią się one na poziomie komercyjnym – już są zapowiedzi linii lotniczych spoza UE, że warunkiem wejścia na pokład może być świadectwo szczepienia. Ale trudno w tej chwili mówić o decyzjach.

**Ale czy takie scenariusze są rozważane? Np. pod koniec 2021 r. okazuje się, że w Niemczech jest zaszczepionych 70 proc. populacji, w Czechach 65 proc., a w Polsce – 45. Czy to może być punkt wyjścia do decyzji, że Polacy, owszem, mogą swobodnie podróżować po krajach Unii, ale pod warunkiem, że są zaszczepieni?**

Nie wiem i chyba to nie jest jeszcze ten moment, w którym ktokolwiek by się tym zajmował. Niewątpliwie są sektory gospodarki unijnej, takie jak turystyka, które chcą jak najszybciej wrócić do normalności sprzed pandemii. Linie lotnicze, hotele – one być może będą wręcz wymagały szczepień, oczywiście w pewnym momencie, bo wiadomo, że ten proces trwa i nie wszyscy ci, którzy nawet bardzo chcą być zaszczepieni, mogą to zrobić od razu czy też nawet w najbliższym czasie. Więc pytają, dlaczego mieliby być traktowani inaczej?

W tej chwili koncentrujemy jednak uwagę na kolejnych szczepionkach, które mogą być dopuszczone do obrotu.

**Kiedy mogą pojawić się na rynku europejskim preparaty Astra Zeneca czy Johnson & Johnson?**

Trudne pytanie. Warunkiem *sine qua non* jest zakończenie badań klinicznych i zebranie wszystkich danych oraz przedstawienie kompletnego *dossier* rejestracyjnego. Mam nadzieje, że stanie to się w ciągu najbliższych tygodni.

Badania kliniczne nie podlegają skrótom ani uproszczeniom i często są prowadzone w różnych krajach, także poza UE, szczególnie tam, gdzie jest dużo zakażeń, np. w Wielkiej Brytanii, USA i Bra-

zylii. Tu muszą być dochowane wszystkie wymogi – i dlatego tak trudno przewidzieć, kiedy firmy, które badań jeszcze nie ukończyły, będą mogły ubiegać się o dopuszczenie swoich produktów do obrotu.

**To nie są dobre wiadomości dla Polski. Rząd jakiś czas temu zapowiedział, że do punktów podstawowej opieki zdrowotnej, które nie są w stanie sprostać wymogom technologicznym szczepionek Pfizera i Moderny, choćby dlatego, że nie będą w stanie szczepić minimum 180 osób tygodniowo, trafią preparaty innych producentów, zdecydowanie mniej wymagające. A na nie chyba jednak będziemy musieli jeszcze długo czekać. Czy Komisja ma jakieś szacunki, jak długo może trwać proces szczepień obywateli Unii?**

Wszystko w rękach krajów członkowskich, wydolności systemów ochrony zdrowia i motywacji obywateli.

**Chyba jednak nie wszystko, bo dostawy są w rękach producentów, a decyzje o dopuszczeniu do obrotu – w rękach Komisji Europejskiej.**

Zrobiliśmy wspólnie wiele. Ale prawie wszystko jest w rękach krajów członkowskich. Zapewne mniejsze, takie jak Malta, Luksemburg czy Estonia, uporają się z tym procesem szybciej. W większych musi on trwać dłużej, to jest oczywiste, niezależnie nawet od tego, jak dobrze poszczególne państwa przygotują całą logistykę. Optymiści mówią, że lato 2021 roku będzie już bezpieczniejsze.

Ale to wersja optymistyczna. Nie można w tym kontekście pominąć bardzo istotnego wątku. Unia stoi na stanowisku, że szczepionka musi być dostępna nie tylko dla państw rozwiniętych, nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, Kanady, krajów UE i innych największych gospodarek, ale dla całego globu.

Ważnymi elementami były też odpowiedzialność i przywództwo w globalnej walce z pandemią, szczególnie w momencie wycofywania się USA ze Światowej Organizacji Zdrowia. Jesteśmy tak bezpieczni w UE, jak są bezpieczni nasi sąsiedzi i cały świat. Na początku maja przewodnicząca KE zorganizowała globalną konferencję, której celem było stworzenie wspólnego światowego mechanizmu (COVAX) wsparcia rozwoju, produkcji i dostępu do szczepionek, leków i testów na COVID-19 oraz zgromadzenie niezbędnych funduszy.

ARCHIWUM PRYWATNE

**DR ANDRZEJ RYŚ** jest lekarzem, od 2006 r. pracuje w Komisji Europejskiej jako dyrektor w Dyrekcji Generalnej Zdrowia Publicznego i Ochrony Konsumentów. W latach 1999–2002 był wiceministrem zdrowia w rządzie Jerzego Buzka, zajmował się m.in. integracją Polski z Unią Europejską. Od 2005 do 2006 r. był dyrektorem zarządzającym Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Prywatnej Służby Zdrowia. Wcześniej m.in. sprawował funkcję dyrektora Szkoły Zdrowia Publicznego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Unia nigdy nie była wobec WHO bezkrytyczna, ale niewątpliwie, zwłaszcza w czasie pandemii, po prostu nie ma innej organizacji, która mogłaby koordynować światowe wysiłki uporania się z tym problemem.

**Od mniej więcej dwóch, trzech lat mówi się, że jak przez lata obowiązywała doktryna spójności w infrastrukturze, tak teraz potrzebą chwili jest spójność w obszarze zdrowia. Pandemia i wspólne działania UE w jej zwalczaniu będą dodatkowym impulsem?**

Na pewno kryzysy wpływają na krystalizowanie się nowych polityk. W obszarze zdrowia w ostatnich piętnastu latach mieliśmy trzy takie zapalne punkty: debatę o opiece transgranicznej, będącej odpowiedzią na „kryzys" wywołany przez pacjentów, którzy skierowali pozwy do Trybunału Sprawiedliwości UE. Drugi to lata 2008-10 i krach finansowy – wtedy przekonaliśmy się, że ochrona zdrowia to poważny wydatek w budżetach krajowych, niezależnie czy odnosimy go do udziału w PKB, czy w wydatkach publicznych. Ale też dostrzegliśmy, jakie znaczenie dla gospodarki ma ten sektor – choćby dlatego, że w niektórych krajach, ale akurat nie w Polsce, co dziesiąty zatrudniony pracuje w ochronie zdrowia i usługach z nią powiązanych, zdrowi ludzie pracują dłużej i wydajniej, a sektor *life science* jest jednym z najważniejszym motorów innowacji. Równolegle mieliśmy trzecie kryzysowe doświadczenie – pandemię tzw. świńskiej grypy z 2009 r. – po którym przetarliśmy szlaki, np. w zakresie wspólnych pandemicznych zakupów czy koordynacji w ramach Komitetu Bezpieczeństwa Zdrowotnego .

Niewątpliwie pandemia A.D. 2020 będzie mieć wpływ znacząco głębszy. Zobaczyliśmy, jak mocno zdrowie jest związane ze wspólnym rynkiem. I jak bardzo kryzys zdrowotny odbija się na funkcjonowaniu gospodarki i wolności takich jak swobodny przepływ towarów czy osób. To niewątpliwie wzmocniło przekonanie, że Unia ma wiele do zrobienia – jako wspólnota państw – w zakresie ochrony zdrowia. Takie głosy mocno wybrzmiały już podczas ostatniej kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, gdy akcentowano przede wszystkim kwestię wspólnych działań w onkologii. I jest to jeden z priorytetów, którymi Komisja Europejska się zajmuje.

Ale pandemia COVID-19 stawia przed nami nowe wyzwania, i nadszedł czas, by mówić o Unii Zdrowotnej. O zwiększeniu uprawnień wspólnoty i Komisji Europejskiej w realizacji zadań związanych z ochroną zdrowia oraz dalszego poszukiwania obszarów wspólnych działań. Pierwszy pakiet inicjatyw przedstawiliśmy 11 listopada. Dotyczy nowego podejścia do zarządzania w kryzysie takim, jak obecna pandemia, oraz dodatkowych kompetencji dla EMA i ECDC (Europejskie Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób). Dwa tygodnie później przyjęliśmy strategię farmaceutyczną i zapowiedzieliśmy działania w tym zakresie w najbliższych dwóch latach. Na początku lutego przedstawimy pakiet działań w zakresie onkologii.

© Rozmawiała MAŁGORZATA SOLECKA

# Sejm to nie Kapitol

PAWEŁ MARCZEWSKI

**Porównywanie polityków PiS do Trumpa ani nie zniechęci ich wyborców, ani nie przekona umiarkowanych zwolenników opozycji czy wahających się przeciwników obozu władzy.**

Wtargnięcie zwolenników Donalda Trumpa na waszyngtoński Kapitol wywołało falę analiz w światowych mediach, nie mówiąc już o zalewie internetowych memów inspirowanych co bardziej barwnymi demonstrantami, przypominającymi raczej postacie z komiksów niż aktywistów politycznych. Polska debata publiczna też na moment przestała żyć szczepieniami poza kolejnością oraz narastającą frustracją społeczną z powodu przedłużającego się lockdownu i oddała się przelotnym rozważaniom, co właściwie oznacza dla amerykańskiej i globalnej demokracji fakt, że na mównicę w amerykańskim Kongresie wdrapał się na chwilę facet przebrany za bizona.

Wśród wielu mniej lub bardziej pogłębionych komentarzy wybiło się porównanie wtargnięcia na Kapitol do zachowania polskiej opozycji parlamentarnej w 2016 r. Przypomnijmy – część posłanek i posłów opozycji zablokowała mównicę sejmową w proteście przeciwko ograniczaniu mediom dostępu do Sejmu oraz wykluczeniu z obrad posła PO Michała Szczerby, który chciał zabrać głos, trzymając kartkę z hashtagiem #WolneMediaWSejmie. Po zarządzonej przerwie obrady, których przedmiotem była ustawa budżetowa na 2017 r., wznowiono w Sali Kolumnowej z naruszeniem szeregu procedur, a przede wszystkim przy utrudnionym przez straż marszałkowską dostępie posłów opozycji.

Poza samym faktem blokowania mównicy i przerwania obrad wydarzeń na Kapitolu i w polskim Sejmie nie łączy absolutnie nic. W Waszyngtonie do budynku Kongresu wdarli się zwolennicy prezydenta, który przegrał wybory, w Sejmie protestowali reprezentujący swoich wyborców posłowie. W USA media skrzętnie nagrały i zrelacjonowały całe wydarzenie, w Polsce przyczyną sprzeciwu było właśnie ograniczanie dostępu mediów do budynku, w którym stanowione jest prawo. Na Kapitolu wznowiono zatwierdzanie wyniku wyborów zgodnie z procedurami, kiedy sytuacja została opanowana, i nikt nawet przez moment nie pomyślał, żeby wykluczyć z obrad Republikanów, w Sejmie koalicja rządząca złamała procedury, uniemożliwiając opozycji zgodną z regułami głosowania debatę nad ustawą budżetową.

Wszystkie te rozbieżności, jak i fakt, że szturmujący Kapitol byli zwolennikami prezydenta, dla którego poparcie otwarcie deklarowali czołowi przedstawiciele obozu rządzącego, z prezydentem Dudą na czele, nie przeszkodziły jednak ani TVP Info, ani Pawłowi Szefernakerowi, sekretarzowi stanu w MSWiA, porównać ich poczynań do działań opozycji w 2016 r. Nie wierzę ani przez chwilę, że minister Szefernaker nie jest świadom, iż te wydarzenia są nieporównywalne (jeśli chodzi o osobę odpowiedzialną za twitterowe konto TVP Info, nie mam takiej pewności). Nie przeszkodziło mu to jednak zestawić ich ze sobą.

Można by powiedzieć, że to kolejny przejaw politycznego cynizmu, do którego już zdążyliśmy się przyzwyczaić, a sądząc po utrzymującym się niskim zaufaniu do polityków, wręcz z nim oswoić i zżyć. Ale fakt, że do medialnej zagrywki wykorzystano wydarzenia z USA, jest symptomem głębszego problemu.

Kiedy politycy czy publicyści manipulują lub dobierają pod tezę dane lub wydarzenia z krajowego podwórka, to przy założeniu, że żyjemy w kraju, gdzie istnieje dostęp do różnych źródeł informacji, a także przestrzenie wspólne, w których obywatele mogą wymieniać się odmiennymi doświadczeniami z funkcjonowaniem państwa, mamy jeszcze jakąś barierę ochronną przed politycznym cynizmem. Oczywiście można pesymistycznie stwierdzić, że pluralizm mediów jest od dawna fikcją, a w spolaryzowanym społeczeństwie już jakiś czas temu zniknęły przestrzenie debaty. Ale tak długo, jak ludzie będą dostrzegali te niedostatki i braki, fatalizm będzie przedwczesny.

W przypadku cynizmu opartego na manipulowaniu informacjami z zagranicy, polegającego w gruncie rzeczy na uprawianiu krajowej polityki w zagranicznych dekoracjach, może być już jednak za późno.

### Zbrodnicze rozproszenie uwagi

Wybiórcze czy manipulatorskie przywoływanie wydarzeń zagranicznych po to, by wzmocnić czy uwiarygodnić swoje działania w krajowej polityce, to oczywiście fenomen nienowy. Wystarczy przywołać fascynację niektórych zachodnioeuropejskich komunistów Związkiem Radzieckim, posunięte w przypadku części z nich aż do negowania istnienia Gułagu, albo międzywojenne zauroczenie wielu środkowoeuropejskich autokratów faszyzmem. Mniej

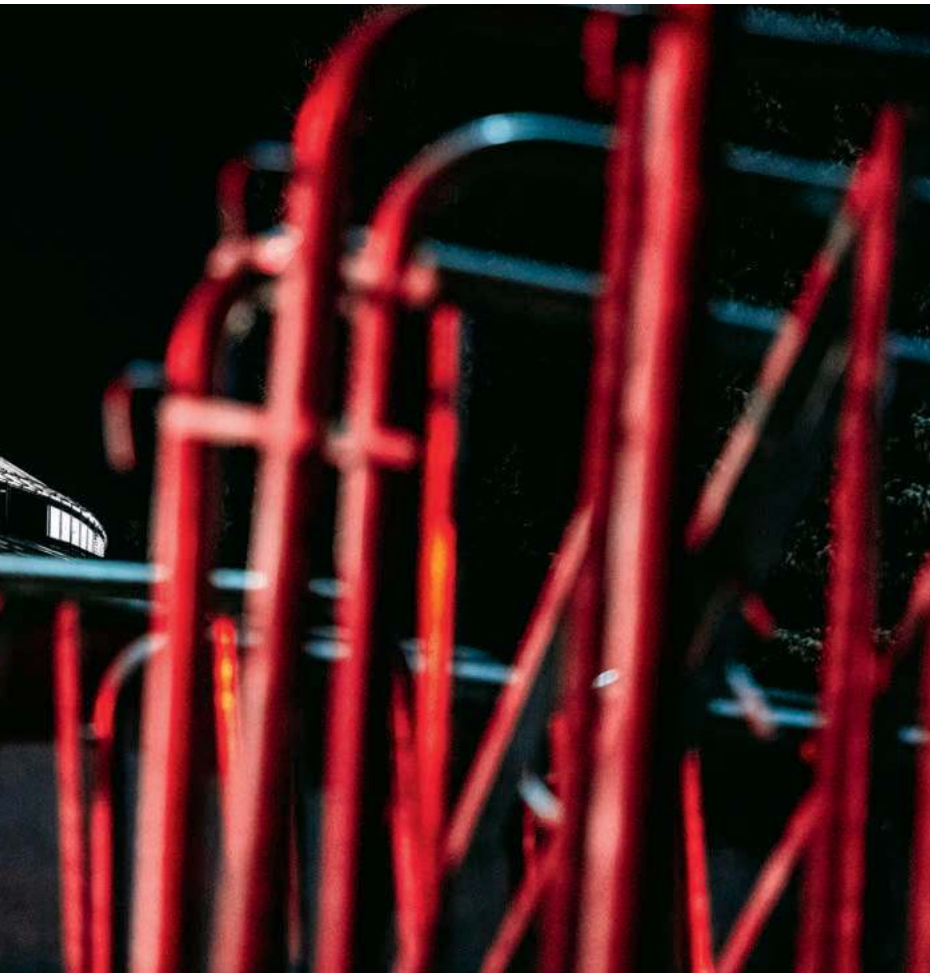

JAKUB WOSIK / REPORTER

*Pikieta przed Sejmem przeciwko brutalności policji. Warszawa, 25 listopada 2020 r.*

znanym rozdziałem tej historii jest wysławianie rządów Czerwonych Khmerów przez szwedzkich komunistów, ale jest to przypadek o tyle znamienny, że dotyczył reżimu, który funkcjonował aż do schyłku w niemal pełnej izolacji od świata. Wymyślanie i opisywanie Demokratycznej Kampuczy zgodnie z własnymi ideami i wyobrażeniami było po prostu łatwiejsze.

Dziś całkowite odcięcie kraju od globalnego obiegu informacji wydaje się właściwie niemożliwe, ale nie oznacza to, że strategie politycznego wykorzystywania zagranicznych dekoracji w krajowej grze politycznej stały się nieskuteczne. Przeciwnie, powstanie baniek informacyjnych i rozwój mediów „tożsamościowych", których celem jest nie dostarczanie informacji, lecz podtrzymywanie światopoglądu wąsko określonej grupy odbiorców, sprawiły, że strategie te stały się bardziej wyrafinowane i trudniejsze do wychwycenia.

Wyobraźmy sobie, że dziś ukazuje się odpowiednik „Archipelagu Gułag" Sołżenicyna albo książki Primo Leviego „Czy to jest człowiek", demaskujący systemowe zbrodnicze działania jakiegoś państwa, wpisane w samą logikę jego rządów. Poza znanymi i wypróbowanymi metodami dyskredytowania świadectwa autorów, które były podejmowane wobec dzieł tej wagi w przeszłości, paradoksalnie dziś, kiedy nawet niewygodne politycznie informacje są o wiele łatwiej dostępne, o wiele łatwiej jest też odwrócić od nich uwagę.

Co więcej, o ile dawne satrapie na ogół dążyły do ekonomicznej niezależności lub wręcz autarkii, dziś ich największym atutem jest sprzężenie z globalną gospodarką, które sprawia, że państwom demokratycznym trudniej jest pójść wbrew własnym interesom ekonomicznym i zdobyć się na zdecydowane potępienie ich działań. Ile świadectw Ujgurów czy Tybetańczyków doczekało się podobnej uwagi i miało oddziaływanie choćby zbliżone do tego, co świadectwa ofiar nazizmu czy sowieckiego komunizmu?

### Przekleństwo specjalizacji

Sfera publiczna podzielona na bańki, których mieszkańcy funkcjonują w gruncie rzeczy w alternatywnych rzeczywistościach, powoduje nie tylko ignorowanie alarmujących czy wręcz rozpaczliwych doniesień ze świata, ale skutkuje też sformatowaniem uwagi. Ilość łatwo dostępnych informacji znacząco się zwiększyła, co sprawia nie tylko, że umykają nam (albo mniej lub bardziej świadomie wypieramy) te istotne, ale zmieniły się same kryteria decyzji o tym, co jest dla nas istotne. Zamiast poświęcać uwagę wydarzeniom, które mają na nas faktyczny, choć nie zawsze oczywisty wpływ, przesadnie koncentrujemy się na tych, które odpowiadają temu, co już wiemy, znamy, czego doświadczamy i co pasuje do tego, jak widzimy samych siebie. Zasada tożsamości zaczyna tryumfować nad zasadą rzeczywistości.

Wyłuskiwanie zdarzeń ze świata, które wpływają również na nas, to zadanie trudne, wymagające umiejętności żmudnego selekcjonowania i łączenia faktów. Kiedyś pomocą służyły działy zagraniczne i korespondenci, dziś właściwie zanikający. Dziennikarze specjalizujący się w tematyce międzynarodowej funkcjonują obecnie przede wszystkim jako autorzy podkastów i portali tematycznych, dostarczający wyspecjalizowanych informacji osobom zainteresowanym danym krajem czy regionem. Te informacje, bardzo często świetnej jakości, nie stają się jednak częścią szerszego obiegu i debaty publicznej.

Kiedyś ustalenia zjazdów KPZR stawały się przedmiotem ożywionej dyskusji, analizowano wystąpienia pierwszych sekretarzy i członków politbiura, usiłowano wyłowić sens ukryty wśród propagandy i nowomowy. Ilu dziennikarzy na Zachodzie zadaje sobie dziś podobny trud, by zrozumieć ustalenia, jakie przedstawiono podczas dorocznych konferencji ekonomicznych Komunistycznej Partii Chin? Że ZSRR był tuż za miedzą, a Chiny leżą daleko? Kryterium geograficznej odległości w zglobalizowanym świecie nie ma aż takiego znaczenia, a niedawny zwrot Chin w celu rozbudowy rynku wewnętrznego, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo ekonomiczne w czasie wojny handlowej, będzie miał równie wielkie znaczenie i dla naszej części świata, co niektóre istotne zmiany kursu przez władze Związku Radzieckiego. ↦

↦ Przeładowanie informacjami przy braku narzędzi ich porządkowania prowadzi nie tylko do grzechu nieuwagi, ale też do przekleństwa specjalizacji. Nawet jeśli interesujemy się wydarzeniami ze świata, traktujemy je po prostu jako ciekawostki, a nie fakty, które mają wpływ na naszą rzeczywistość. Dziennikarstwo zagraniczne stało się hobby, a przestało być narzędziem rozumienia świata. Nie chodzi przy tym o to, że wszystko w dobie globalizacji łączy się ze wszystkim, ale że nie potrafimy już dostrzec związków między wydarzeniami krajowymi i zagranicznymi lub dostrzegamy je tam, gdzie ich nie ma, jak w przypadku analogii między szturmującymi Kapitol zwolennikami Trumpa a polską opozycją.

### Trump nie jest wszędzie

Odzyskanie narzędzi pozyskiwania i porządkowania wiedzy o wydarzeniach na świecie ma znaczenie nie tylko dlatego, że pomaga chronić się przed manipulacjami politycznymi. Żyjemy w świecie, który faktycznie, choć stało się to już truizmem, jest ze sobą coraz ściślej połączony. Prowadzenie polityki wyłącznie na podstawie krajowego elektoratu i wąsko pojętych interesów narodowych staje się coraz mniej skuteczne, o czym kolejno przekonują się wszyscy populistyczni politycy, którzy obiecują przywrócenie lokalnych miejsc pracy za sprawą protekcjonizmu gospodarczego.

Donald Trump mógł, owszem, krzyczeć o tysiącach miejsc pracy, jakie stworzył w Michigan. Nie zmieni to jednak faktu, że za jego kadencji w stanie, którego stolica Detroit była kiedyś motoryzacyjnym centrum świata, miejsc pracy jeszcze ubyło, a amerykańska gospodarka nie przestała się opierać w większości na usługach, a nie produkcji.

W świecie globalnych zależności realna, trwała zmiana możliwa jest tylko dzięki współpracy i negocjacjom. Ale poszukiwanie partnerów i sojuszników nie ma sensu, jeśli nie poprzedza go dobre rozumienie kontekstu politycznego i lokalnych uwarunkowań ich działania. Bez tego pozostaje się na poziomie powierzchownych podobieństw i prędzej czy później ponosi porażkę. Niewiele pozostało np. z obwoływania Biedronia polskim Macronem, po części ze względu na niższe od oczekiwań wyniki wyborcze Wiosny, a po części ze względu na to, że po konflikcie z ruchem „żółtych kamizelek" i spadku poparcia porównania do francuskiego prezydenta byłyby raczej balastem dla każdego polityka, który miałby ambicję odnawiania lewicy w swoim kraju. Stałym przykładem chybionych politycznie, powierzchownych sympatii pozostaje oczywiście wsparcie części polskiej prawicy dla eurosceptycznych, ksenofobicznych ugrupowań w Europie Zachodniej.

Tymczasem współczesne wyzwania – np. ekologia, ale też ochrona praw pracowniczych, co pokazały dobitnie unijne spory o pracowników delegowanych – wymagają międzynarodowej współpracy, a ta jest niemożliwa bez trwałych sojuszy i porozumień, opartych na realnych interesach i wartościach. Nie da się ich jednak rozpoznać, jeśli wydarzenia ze świata traktowane są przede wszystkim jako rekwizyty w krajowej walce o władzę.

Kiedy Donald Tusk po szturmie na Kapitol napisał na Twitterze, że „Donald Trump jest wszędzie", w związku z tym wszędzie (w domyśle – przede wszystkim w Polsce) należy walczyć z populizmem, to jakby zapomniał, że kandydatowi Demokratów właśnie udało się wygrać wybory i Trumpa niedługo nie będzie nie tylko wszędzie, ale przede wszystkim w Białym Domu. Samo porównanie polityków PiS do Trumpa ani nie zniechęci ich dotychczasowych wyborców, ani nie przekona umiarkowanych zwolenników opozycji czy wahających się przeciwników obozu władzy. Owszem, skrajna prawica jest wszędzie i poza napędzającymi ją lokalnymi czynnikami podobnie kanalizuje frustrację wywołaną niepewnym statusem społecznym i ekonomicznym. Źródła tej niepewności są jednak różne i nie pokona się jej demonizowaniem.

Prawdziwa lekcja Kapitolu polega na tym, jak bronić trwałości demokratycznych instytucji i jak przekonywać do siebie sceptyków. Zamiast więc wołać „Trump jest wszędzie" albo „szturmujący Kapitol są jak opozycja", przyjrzymy się uważnie, jak wygrał Biden i dlaczego przegrał Trump.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

*Autor jest szefem działu Obywatele w forumIdei, think tanku Fundacji Batorego.*

# Powstanie styczniowe

MAREK RABIJ

**Tysiące przedsiębiorców muszą wybierać między poczuciem obowiązku wobec społeczeństwa a bytem swoich rodzin.**

Kawę mam. Bardzo dobrą.

– Dzięki, ale dziś wypiłem już dwie.

– Miałem na myśli kawę ziarnistą. Do ekspresu. Z polskiej palarni, naprawdę porządna. Płaciłem prawie pięćdziesiąt złotych za kilo. Wyprzedaję po trzydzieści pięć, póki jeszcze się nadaje do picia.

– To ja poproszę kilogram.

– Jeśli weźmiesz trzy, to będzie po trzydzieści za kilo.

Siedzimy w rogu jadalni, oddzieleni szachownicą pozostałych piętnastu stolików od okna, na którym wiszą jeszcze świąteczne renifery i aniołki. Nie wytrzymał tylko plastikowy Święty Mikołaj. Leży z nosem w wacie, która miała udawać śnieg.

Podłoga restauracji pachnie detergentami po niedawnym szorowaniu. Dawid Stawarski odprowadza wzrokiem moje spojrzenie w stronę bulaja w drzwiach do kuchni, zza których dobiegają odgłosy trudnej do zidentyfikowania krzątaniny.

– W zeszłym roku w grudniu, to znaczy w grudniu 2019 – poprawia sam siebie – miałem tu trzech kucharzy na etatach, a i tak czasami ściągaliśmy w weekendy kolejnych dwóch z hotelu, który prowadzi żona, bo się ekipa nie wyrabiała. Do tego oczywiście pomocnicy na kuchni. Łącznie osiem osób do gotowania, barmanka, trzy kelnerki i pani sprzątająca. Ale wtedy nawet po trzysta obiadów dziennie nam schodziło. Dziennie! Od początku stycznia, a mamy już prawie połowę miesiąca, sprzedaliśmy łącznie 28 zestawów obiadowych. Nawet

ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

*Otwarcie restauracji Wesołe Gary w Krakowie, 13 stycznia 2021 r.*

nie próbowałem liczyć, jaki mógłby być na tym zysk. Od kwietnia zeszłego roku restauracja jedzie na stratach. Kucharz został jeden i trzy osoby do pomocy. Z pozostałymi pracownikami musiałem się pożegnać, mimo że ładujemy w ten lokal oszczędności, a czasem po prostu biorę pieniądze z kasy mojej drugiej firmy, żeby zapłacić ludziom albo zaopatrzyć kuchnię. Jesienią chciałem już nawet zamknąć to wszystko w diabły, ale wzięliśmy dotację z tarczy antykryzysowej i musiałbym zwrócić pieniądze. Plus jeszcze kara za zerwanie umowy najmu. Jak w pułapce.

Dlatego nie dziwię się ludziom, którzy otwierają lokale pomimo zakazów – dodaje Dawid Stawarski. – Wolałbym tego sam nie robić, ale prawdę mówiąc, nie widzę innego wyjścia.

To co? Dać tę kawę?

### Obiad na umowę o dzieło

– Proszę napisać, że jesteśmy bardzo liberalnymi pracodawcami – przez niski, mocny głos Karoliny Bartosik w telefonie przebijają się odgłosy restauracyjnego harmidru. – Pozwalamy nawet spożywać alkohol w trakcie pracy – kończy ze śmiechem.

Niespełna 24 godziny wcześniej ten sam głos w słuchawce brzmiał matowo, zdradzając starannie skrywane zdenerwowanie właścicielki. Prowadzona przez nią krakowska restauracja Wesołe Gary wbrew rządowym zakazom miała wkrótce ponownie otworzyć się dla klientów. Na facebookowym profilu lokalu informację o reaktywacji oznaczono hashtagiem #otwieraMY, odsyłającym ciekawych akcji na strony dziesiątków innych knajp, restauracji i siłowni w całej Polsce, których właściciele postanowili nie czekać dłużej na zielone światło od rządu. W środowisku drobnych polskich przedsiębiorców, którzy od wiosennego lockdownu głównie czapkowali politykom w Warszawie prosząc o wsparcie z budżetu, niespodziewanie zapachniało rokoszem.

Przed krakowską restauracją w oczekiwaniu na awanturę stłoczyli się dziennikarze kilku redakcji. Wewnątrz skonfundowany personel łypał krzywo to na przybyłe wcześniej panie z sanepidu, które kończyły spisywanie protokołu kontrolnego, to na mecenasa wynajętego przez właścicieli. Punktualnie o 12.00 z drzwi zniknęła tabliczka z napisem „nieczynne", przy stolikach pojawili się pierwsi klienci. Policjanci, których również zwabiła na miejsce zapowiedź z portalu społecznościowego, zdobyli wreszcie pretekst do interwencji.

– Tyle że koniec końców nie weszli nawet do środka – nie próbuje ukrywać satysfakcji Karolina Bartosik. – Myślę, że trochę ich zbiła z tropu lektura protokołu sanepidu, w którym inspektorki podkreśliły, że działamy zgodnie z wytycznymi, bo zachowujemy reżim sanitarny, a w środku są tylko pracownicy. My nie mamy przecież klientów, tylko testerów. Pożartowaliśmy z panami funkcjonariuszami, że personel ma u nas do dyspozycji ↦

↦ dużo dobrego alkoholu, i na tym się na razie skończyło – zapewnia Bartosik.

Rzekomy personel, upoważniony w Wesołych Garach do picia w pracy, zatrudniany jest na umowę o dzieło, po uprzedniej rezerwacji stolika. Płacę na oferowanym stanowisku testera potraw trudno nazwać konkurencyjną, bo restauracja płaci zaledwie 1 zł. Rekompensatą za niedogodności są – jak podkreśla w korporacyjnym narzeczu Karolina Bartosik – benefity wyszczególnione w karcie dań, z której na razie zamawiać mogą tylko testerzy.

Formalnie lokal nadal jest przecież zamknięty dla klientów z ulicy. Internetowe #otwieraMY w przypadku Wesołych Garów jest więc może wyrazem złości właścicieli pozbawionych możliwości swobodnego zarobkowania, ale raczej nie było decyzją podjętą *ad hoc* pod wpływem emocji. Trudno wręcz pozbyć się wrażenia, że właściciele postanowili na swój ostrożny sposób przyłączyć się do buntu przedsiębiorców, który zakreśla coraz większe kręgi na mapie polskiej gospodarki. Oraz – nie da się ukryć – cieszy się sporym społecznym poparciem.

– Ostatni raz takie tłumy, jakie mieliśmy wczoraj, widziałam na naszej sali w weekendy przed pandemią – zapewnia współwłaścicielka Wesołych Garów. – Ludzie są spragnieni kontaktu z innymi, rozmowy przy jedzeniu, nie tylko domowym. Odnoszę też wrażenie, że większość naszych gości, przepraszam, testerów, rozumie, że musimy półserio podejść do przepisów, które nas, przedsiębiorców, traktują całkowicie niepoważnie. Od ponad ośmiu miesięcy utrzymujemy wraz ze wspólnikami restaurację, która nie zarabia nawet na te 60 tys. zł kosztów stałych miesięcznie. Płacimy regularnie podatki i składki emerytalne. Nie zwolniliśmy ani jednej osoby. Z budżetu dostaliśmy jedynie 5 tys. zł wiosną ubiegłego roku. Coraz głębszą dziurę w kasie zasypujemy z kredytu. I nie możemy się doczekać nawet jasnej wskazówki, jak długo jeszcze mamy się tak wykrwawiać.

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

*Tomasz Kwiek, współwłaściciel otwartej pomimo ograniczeń restauracji U Trzech Braci w Cieszynie, styczeń 2021 r.*

### Stan niewyjątkowy

W restauratorskiej książce skarg i wniosków, od miesięcy uzupełnianej o kolejne pozycje przez właścicieli lokali, rząd odnalazłby nie tylko to pytanie. Systematycznie powraca tu np. wątek tysięcy ozdrowieńców, którzy mogliby stać się dla polskiego sektora usług i gastronomii rodzajem ekonomicznego bufora na czas lockdownu – gdyby rząd pozwolił osobom ze stosownym zaświadczeniem jadać i bawić się na mieście.

Karolina Bartosik chciałaby z kolei zapytać premiera, dlaczego podawanie posiłku w lokalu osobom siedzącym w odległości dwóch metrów od siebie, którym na dodatek mierzy się przy wejściu temperaturę, jest zdaniem rządu okolicznością sprzyjającą transmisji koronawirusa, ale nie jest nią już np. sprzedaż armatury sanitarnej czy elektronarzędzi w marketach budowlanych, gdzie tłum nieprzebadanych klientów, czasem z maseczkami zsuniętymi na brodę, tłoczy się w wąskich alejkach między półkami.

Czyżby na odpowiedź na to pytanie składały się dane o wielkości i strukturze sprzedaży obu branż? Ponad 76,5 tys. lokali gastronomicznych w Polsce w 2019 r. wypracowało – jak wynika z danych firmy badawczej GfK – 36,6 mld zł, z czego większość objęta była 8-procentową stawką VAT. Wartość sprzedaży materiałów i akcesoriów budowlanych, w olbrzymiej większości obciążonych 23-procentowym podatkiem VAT, w tym samym czasie przekroczyła 50 mld zł, z czego blisko 13 mld zł Polacy zostawili przy kasach dwóch największych sieci sprzedaży. Przeciętny klient bywa w takim sklepie raz w miesiącu. Do restauracji zaglądamy statystycznie raz na kwartał, trudno więc pozbyć się wrażenia, że rządowe zakazy stanowią odzwierciedlenie nie tyle wskazówek epidemiologów i lekarzy, ile życzeń ministra finansów, a być może także rozmaitych lobbystów.

Numerem jeden na tej liście pozostaje jednak pytanie o podstawy prawne dla rozporządzenia, które kazało tysiącom restauratorów, hotelarzy czy właścicieli klubów fitness wywiesić do odwołania na drzwiach kartkę z napisem „nieczynne". Pracujący dla hibernowanych przedsiębiorców prawnicy wskazują zgodnie palcem artykuł 22 konstytucji, który stanowi, że „ograniczenie wolności działalności gospodarczej jest dopuszczalne tylko w drodze ustawy i tylko ze względu na ważny interes publiczny".

– Zamiast ustawy mamy tymczasem rozporządzenia rządowe, wydawane dosłownie z dnia na dzień – sapie Dawid Stawarski powróciwszy do stolika z kuchni, w której musiał pilnie rozwiązać spór kompetencyjny kucharza z nowym *sous*

RDC POLSKIE RADIO

**MAREK RABIJ** będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 20 stycznia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

szefem. – Prawnik mówi mi, że zakaz prowadzenia działalności w formie rozporządzenia rząd może sobie wsadzić, wiesz gdzie. Lekarze mówią z kolei, że restauracje, w których goście muszą zdjąć maseczki do jedzenia, stanowią jednak miejsce, w którym wirus może się łatwo rozprzestrzenić. Najrozsądniej byłoby więc wytrzymać jeszcze kilka miesięcy, korzystając ze wsparcia rządowego. Tylko że skala tego wsparcia jest symboliczna, a ostatnio minister Gowin stwierdził nawet, że kto otworzy knajpę pomimo zakazów, ten będzie musiał zwrócić wszystkie dotacje.

W gruncie rzeczy, jak zauważa Stawarski, rząd każe więc tysiącom przedsiębiorców wybierać między poczuciem odpowiedzialności w stosunku do reszty społeczeństwa a odpowiedzialnością za własne rodziny.

– Ostatnio moja córka wkręciła się bardzo w grę na gitarze – ciągnie restaurator. – Obawiam się, że nie uspokoi jej świadomość, że jej stary jest porządnym obywatelem, kiedy powiem, że nie stać mnie na opłacanie lekcji i zakup obiecanego instrumentu.

### O lockdown za daleko

Sądząc tylko po samej liczbie internetowych deklaracji otwarcia restauracji, barów czy klubów, do podobnych konkluzji doszły setki polskich drobnych przedsiębiorców.

Krynica. Pustym deptakiem w centrum idzie marsz protestacyjny mieszkańców, pozbawionych w tym roku szans na utrzymanie rodzin z biznesu turystycznego. Na jednym z transparentów napis „Chcę zarobić na 30 tys. zł kary od sanepidu”.

Katowice. Bistro Bułkęs informuje klientów, że do odwołania wstrzymuje rezerwacje stolików online; tych już przyjętych jest rzekomo tak wiele, że nie da się ich obsłużyć z jednoczesnym zachowaniem reżimu sanitarnego w lokalu.

Legionowo. „Dłużej czekać nie będziemy. Rozmawiałem dzisiaj z właścicielami wielu restauracji w Legionowie, każdy z nas ma dosyć, każdy ma rodziny i każdy ma prawo do pracy. Mamy też pracowników, za których jesteśmy odpowiedzialni. Otwieramy się w poniedziałek” – pisze na Facebooku właściciel lokalu Q&Q Legionowo. „Mamy wsparcie prezydenta Legionowa Romana Smogorzewskiego. Zapraszamy wszystkich do restauracji nie tylko naszych, ale wszystkich w tym mieście. Wspieramy się nawzajem. Bez Was nie damy rady. A służby, które do nas przyjadą, prosimy o bycie ludźmi” –podkreśla.

**Zbuntowani przedsiębiorcy powołują się na nieprawomocny wyrok WSA** w Opolu, który stwierdził, że sanepid nie mógł ukarać fryzjera z Prudnika grzywną za otwarcie zakładu w trakcie lockdownu.

Nie wszyscy mają tyle wyrozumiałości dla policji. Właściciel opolskiej restauracji na profilu na Facebooku grozi wprost, że funkcjonariuszy, którzy pojawią się u niego z jego zdaniem bezprawną interwencją, pozwie do sądu z „art. 191 § 1 k.k., art. 231 § 1 k.k. i art. 256 § 1 k.k.”.

Drawsko Pomorskie. Pizzeria Siwy Dym zaprasza od 1 lutego – bez względu na to, czy rząd pozwoli, czy też nie. Zakaz działalności gastronomicznej zdaniem właścicieli lokalu nie ma podstaw prawnych. Podobnie jak inni zbuntowani przedsiębiorcy, powołują się na nieprawomocny na razie wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Opolu, który stwierdził niedawno, że sanepid nie mógł ukarać fryzjera z Prudnika 10 tys. zł grzywny za otwarcie zakładu w trakcie lockdownu.

Knybawa na Pomorzu. Hotel nad Wisłą&Gościeniec zapowiada, że już za kilka dni pierwsi goście będą mogli zatrzymać się tu na nocleg – w dodatku bez kazuistycznych wygibasów w rodzaju najmu powierzchni coworkingowej czy zatrudniania się w charakterze testerów pokojów. Obok hashtagu #otwieraMy życzenia wytrwałości dla innych zbuntowanych. Wśród komentarzy wpisy polityków Konfederacji snujących znaną opowieść o niszczeniu gospodarki. Dalej jacyś prawnicy polecają swoje usługi – na wszelki wypadek.

– Coś ci pokażę – Dawid sięga po telefon. – Dostałem to od znajomego, krąży od jakiegoś czasu po ludziach z branży. Nie wiem, czyje to słowa, ale trafione jak w mordę strzelił. „Jeśli chcesz wystraszyć człowieka, daj mu nadzieję, że może uniknąć najgorszego. Odbierz mu ją – gdy chcesz go jedynie rozwścieczyć”.

– Desperacja?

– Tak. Ale oprócz niej także strach. Że otworzymy restaurację, ludzie zaczną przychodzić, zaczniemy zarabiać, aż pewnego dnia przyniosę tego wirusa do domu.

©℗ MAREK RABIJ

POŻEGNANIE

Ś.†P.

## Joanna Turowicz-Piasecka

urodzona 9 sierpnia 1941 r. w Goszycach,
zmarła 14 stycznia 2021 r. w Lund.

Była osobą niezwykłą,
której nie dane było zrealizować swoich licznych talentów.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w bazylice św. Floriana
w Krakowie w środę, 20 stycznia o godz. 17.00.
(transmisja video na żywo)

Jej Bliskim składamy najserdeczniejsze wyrazy współczucia

„Tygodnik Powszechny”

WIARA

# OFIARA DOSKONAŁA

Wykorzystywanie seksualne zakonnic przez księży to wciąż temat tabu w Kościele. Choć wiele wskazuje na to, że skala problemu jest znaczna.

EDWARD AUGUSTYN

Telefon zaufania dla osób skrzywdzonych w Kościele dzwonił już blisko 300 razy. – Wiele zgłoszeń dotyczy krzywd doznanych w wieku dziecięcym i wczesnej młodości – mówi Katarzyna Sroczyńska, asystentka osób pokrzywdzonych w Inicjatywie „Zranieni w Kościele". W 2019 r. Inicjatywa uruchomiła wsparcie psychologiczne dla pokrzywdzonych. – Ale dzwoniło też kilkadziesiąt osób, które wykorzystane zostały jako dorosłe, w tym siedem telefonów dotyczyło sytuacji zakonnic lub zakonników.

Były wśród nich zakonnice w różnym wieku, ich historie dotyczyły wydarzeń niedawnych albo sprzed wielu lat. Czasem po latach spotykają ponownie sprawcę i muszą z nim pracować. – Szczegółów nie mogę podać – tłumaczy pani Katarzyna. – Telefon jest anonimowy, nie zbieramy żadnych informacji od osób, które dzwonią. Wiemy tylko tyle, ile chcą nam powiedzieć.

### Seksualne manipulacje

O tym, że problem istnieje, wiadomo od lat. W 1994 r. s. Maura O'Donohue, lekarka, przekazała do Watykanu raport na temat wykorzystywania seksualnego zakonnic przez księży. W marcu 2001 r. ujawnił go amerykański tygodnik „National Catholic Reporter". Okazało się, że takich doniesień było więcej. Rzecznik Watykanu przyznał, że potwierdziła się prawdziwość zarzutów w przypadku 23 krajów. Jan Paweł II przeprosił za grzech „nadużyć seksualnych ze strony księży, które przyniosły ofiarom wielkie cierpienie i szkody duchowe" (adhortacja „Ecclesia in Oceania" z listopada 2001 r.). Niedługo później wybuchła głośna afera pedofilska, ujawniona przez dziennik „The Boston Globe", i na wiele lat głównym tematem w mediach stało się wykorzystywanie dzieci. O krzywdzonych zakonnicach mało kto mówił.

W styczniu 2019 r. do tematu wrócił miesięcznik „Donne Chiesa Mondo", dodatek do watykańskiego „L'Osservatore Romano". Po kilku dniach papież, odpowiadając w samolocie na pytania dziennikarzy, przyznał, że problem istnieje. Dodał, że jego poprzednik zlikwidował nawet żeńskie zgromadzenie, którego członkinie były „seksualnymi niewolnicami" księży. Wszystko wskazuje na to, że Franciszek połączył dwie historie: francuskiej wspólnoty zlikwidowanej przez Benedykta XVI za nieposłuszeństwo (dochodziło w niej do wykorzystywania seksualnego sióstr przez założyciela) i zakonnic gwałconych przez księży w Afryce w czasie epidemii AIDS (duchowni tylko seks z zakonnicami uznawali za bezpieczny). Określenie „seksualne niewolnice" szybko wycofano z oficjalnej wersji papieskiej wypowiedzi – rzecznik Watykanu wyjaśnił, że Franciszek miał na myśli „manipulacje, czyli taką formę nadużycia władzy, która przejawia się także w nadużyciu seksualnym".

### Cichy głos

Lucetta Scaraffia, była redaktorka naczelna miesięcznika „Donne Chiesa Mondo", mówi mi, że jej współpraca z Watykanem skończyła się dwa miesiące po tamtej publikacji. – Nasz miesięcznik powstał, by dać głos kobietom, w tym zakonnicom, których zwykle w Kościele nie słychać. To się nie podobało. Nowy dyrektor chciał ingerować w tematy i skład redakcji. Zespół podał się do dymisji.

Mówienie o seksualnych nadużyciach wobec zakonnic to wciąż temat tabu. Jak dotąd jedyną zakonnicą w Polsce, która odważyła się wypowiedzieć na ten temat publicznie, była s. Jolanta Olech, urszulanka, sekretarka Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych. Komentując wypowiedź Franciszka, mówiła: „Problem wykorzystywania seksualnego sióstr zakonnych przez księży istnieje również w Polsce. Od bardzo dawna. Jestem w klasztorze 50 lat. Byłam 12 lat przełożoną generalną. Miałam do czynienia z kilkoma przypadkami".

Wiele osób miało do niej o to pretensje. Dziś nie chce na ten temat rozmawiać. Dotknęła rany bolesnej i wstydliwie ukrywanej.

### Skala zła

S. Olech przyznała, że skali zjawiska w naszym kraju nie zna, bo nikt go nie badał. Ankieta, którą po głośnej wypowiedzi papieża rozesłała do zakonów Kongregacja ↦

WIESŁAW M. ZIELIŃSKI / EAST NEWS

↦ ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego wraz z Międzynarodową Unią Przełożonych Generalnych, do Polski nigdy nie dotarła.

Problem zbadano za to w Stanach Zjednoczonych i to już w 1998 r. Troje psychologów z Uniwersytetu w Saint Louis (J. Chibnall, A. Wolf i P. Duckro) wybrało reprezentatywną próbkę badawczą 2,5 tys. sióstr, z których blisko połowa (1166) zgodziła się wypełnić 15-stronicową ankietę. Jedna trzecia z nich doświadczyła nadużyć seksualnych w zakonie. Chodziło przede wszystkim (81 proc.) o molestowanie słowne lub fizyczne (całowanie, przytulanie, dotykanie), ale też (19 proc.) o wykorzystanie w sensie dosłownym (dotykanie genitaliów, współżycie, gwałt). Sprawcami najpoważniejszych nadużyć byli księża (49,3 proc.), zakonnice (24,6 proc.) oraz osoby świeckie (19,2 proc). Odpowiedzi nie udzieliło 6,9 proc. ankietowanych.

Ks. Jacek Prusak, jezuita i psychoterapeuta, jest przekonany, że w Polsce to zjawisko ma większą skalę, niż można sądzić na podstawie kilku telefonów czy nawet badań z innych krajów. – Zawsze ofiar jest więcej niż oficjalnych liczb. To reguła w badaniach nad wykorzystaniem seksualnym – tłumaczy. – Poza tym wciąż u nas jest więcej duchownych i zakonnic niż w wielu krajach razem wziętych, więc tych przypadków nie może być mniej. To mówi statystyka.

### Przestępstwo, a nie słabość

Lucetta Scaraffia myśli podobnie. – Przemoc seksualna jest znacznie bardziej rozpowszechniona, niż nam się wydaje. Występuje nie tylko w Afryce czy krajach azjatyckich, ale też we Włoszech, w Niemczech, USA, Irlandii, Francji. Dlaczego nie miałoby jej być w Polsce?

Za główne przyczyny tej sytuacji uznaje władzę i pieniądze. – Księża mogą wykorzystywać zakonnice, bo czują się bezkarni. Mają nad nimi władzę, a one są od nich uzależnione ekonomicznie.

Nie wierzy, by Kościół zdominowany przez mężczyzn sam rozwiązał ten problem. – Musimy pomóc siostrom. Najskuteczniejszą drogą jest zgłaszanie przestępstw organom państwa – policji i prokuraturze. Trzeba tworzyć instytucje oferujące porady prawne i wsparcie psychologiczne. Ale przede wszystkim należy wysłuchać skarg zakonnic i poważnie je traktować. Jak na razie jedyna pomoc

PAP / ABACA

**LUCETTA SCARAFFIA:**

Księża mogą wykorzystywać zakonnice, bo czują się bezkarni. Mają nad nimi władzę, a one są od nich uzależnione ekonomicznie.

**Więcej o wykorzystywaniu seksualnym zakonnic w rozmowie z Lucettą Scaraffią na stronie powszech.net/scaraffia**

przychodzi ze strony mediów, które uniemożliwiają wyciszenie niektórych spraw.

Przestrzega, by nie bagatelizować ani nie trywializować poszczególnych przypadków: – Wiele osób zbyt łatwo uznaje, że to sprawy pomiędzy dwójką dorosłych, że dzieją się za obopólną zgodą, więc nikogo nie powinny obchodzić. Mówiąc krótko, że chodzi o zakochanie i złamanie ślubu czystości. Ludzie naprawdę nie wiedzą, jak wygląda życie zakonnic. Nie wiedzą, że są w innym świecie, podporządkowane władzy księży, podatne na manipulacje i wykorzystywanie na każdej płaszczyźnie. Więc nie chodzi tu o złamanie czystości, ale o przymus. Czyli gwałt.

### Złóż z siebie ofiarę

Marta Abramowicz, autorka książki „Zakonnice odchodzą po cichu", rozmawiała z kilkuset aktualnymi i byłymi siostrami zakonnymi. Dzięki temu udało jej się opisać życie w klasztorze dalekie od kolorowych broszurek rozdawanych w czasie powołaniowych rekolekcji. Widzimy, że już na etapie formacji młoda siostra przygotowywana jest do roli ofiary – w każdym tego słowa znaczeniu. „Zajmij zawsze grzecznie swoje miejsce i spełniaj to, czego od ciebie żądają" – to jedna z zasad „Podręcznika savoir-vivre'u siostry zakonnej".

– Od bohaterek mojej książki dowiedziałam się, że formacja zakonna sióstr nie tylko nie stawia na dojrzałość, ale wręcz utrzymuje je w niedojrzałości – mówi autorka. – Pewnie są wyjątki, ale z zebranych informacji, a mam je z co najmniej połowy zgromadzeń żeńskich, wynika, że zakonnice uczy się podporządkowania i ślepego posłuszeństwa, a oducza samostanowienia i myślenia. Dlatego mają bardzo ograniczone możliwości obrony przed agresorem, zwłaszcza jeśli to ksiądz. Zresztą w całym społeczeństwie jest z tym problem. Kobiety nie wiedzą, jak się obronić przed molestowaniem czy gwałtem, szczególnie ze strony osoby znajomej czy bliskiej. Tak są wychowane.

Abramowicz dodaje: – W trakcie formacji nikt nie rozmawia z zakonnicami o seksualności, o tym, jak sobie z nią radzić, żyjąc w czystości. Tym bardziej nie mówi się, co robić w obliczu przemocy. Słyszałam o jednym tylko przypadku, gdy przełożona rozmawiała z siostrami na te tematy. Ale skoro tak mało mówi się o nich w szkole czy w rodzinach, to trudno oczekiwać, że zakony będą w awangardzie.

### Wielki ksiądz, mała zakonnica

Wykorzystywanie seksualne nie było tematem książki Abramowicz, ale autorka z problemem się zetknęła.

– Dwie sytuacje znam z pierwszej ręki, od osób, które tego doświadczyły. Pierwsza dotyczyła niewielkiego domu zakonnego sióstr, położonego obok dużego klasztoru męskiego. Była zakonnica opowiadała mi, że i ona, i inne siostry doświadczały przemocy seksualnej. To działo się w latach 90. I nawet jeśli ci księża nie posuwali się do przemocy fizycznej, to mamy do czynienia z gwałtem, bo nie były to kontakty dobrowolne.

Druga historia pochodzi z klasztoru, w którym młode siostry wysyłano do pokoju księdza, emerytowanego profesora, przyjaciela papieża. Miały nosić mu posiłki. Bały się tam chodzić z uwagi na jego lepkie ręce. I chociaż zgłaszały problem, przełożona nadal je tam wysyłała, a nawet mówiła, że powinny być wdzięczne, że mają kontakt z tak wielkim człowiekiem.

Pokrzywdzone zakonnice rzadko szukają pomocy na zewnątrz. Być może nawet nie wiedzą, gdzie ją znaleźć. Nie mają się komu poskarżyć. Marta Abramowicz nie wierzy, by którakolwiek z nich mogła pójść do prokuratury: – To nie jest sposób rozwiązywania problemów w Kościele. Najpierw wszystko załatwia się z przełożoną, potem z matką prowincjalną czy generalną. A te zawsze mogą uznać, że zakonnica sama jest winna temu, co zaszło. Pozostaje tylko prosić o przeniesienie do innego domu zakonnego, by być daleko od gwałciciela.

Jedną z pierwszych osób informowanych o problemie jest spowiednik. Zdarza się, że molestowana przez księdza zakonnica dostaje w konfesjonale radę, by przemyślała, jaki był jej udział w całym wydarzeniu.

Autorka książki wątpi, by ktokolwiek zdobył się na skargę do organów państwowych. Nawet byłe zakonnice. – Takim sytuacjom towarzyszy mur milczenia. Nie do przebicia. Po prostu: wielki wstyd.

Najgłośniejszy dotąd przypadek szukania sprawiedliwości w sądzie powszechnym to sprawa byłej przełożonej Sióstr Misjonarek Jezusa, która w 2018 r. oskarżyła o gwałt biskupa Dźalandharu Franco Mulakkala. Było to możliwe dzięki wsparciu jej przez rodzinę i kilka sióstr zakonnych, domagających się publicznie ukarania sprawcy. Biskup został zawieszony przez Watykan, ale nie przyznaje się do winy. Z aresztu wyszedł za kaucją, a proces wciąż trwa.

### Dynamika uwodzenia

S. Mary Lembo z Togo jest pierwszą zakonnicą, która napisała doktorat o molestowaniu seksualnym sióstr. Obroniła go w ubiegłym roku na Wydziale Psychologii Papieskiego Uniwersytetu Gregorianum w Rzymie. Omówiła dziewięć przypadków wykorzystania seksualnego zakonnic i kandydatek do zakonu przez księży (gwałty, próby gwałtów, nakłonienie do współżycia, molestowanie). Analizę zaczęła od najprostszego pytania: jak to możliwe? Opisała proces uwodzenia i „dynamikę relacji": zaczyna się od uśpienia czujności ofiary, nawiązania bliższych relacji z rodziną lub przełożonymi („wciągnięcia ich w proces uwodzenia"), potem przychodzi etap przekonywania ofiary o jej wyjątkowości i specjalnym charakterze zawiązywanej relacji, towarzyszy mu proces wypaczania znaczeń słów i pojęć z etyki i życia duchowego, by przekonać ofiarę do określonych zachowań. Często występuje też uzależnienie ekonomiczne.

Psycholożka opisuje szkody poniesione przez ofiary: fizyczne (ból, ciąża, aborcja), psychiczne (zespół stresu pourazowego, depresja, myśli samobójcze, wstręt do własnego ciała, zwątpienie w wybraną drogę życiową, brak wiary w lepszą przyszłość), w życiu społecznym (nieufność, wstyd, strach przed stygmatyzacją) oraz duchowym (osłabienie wiary, żal do Boga, zaniedbanie życia zakonnego, nieumiejętność przebaczenia).

S. Lembo formułuje też rekomendacje, jak chronić zakonnice przed nadużyciami. To przede wszystkim edukacja seksualna (w rodzinach, w szkole i podczas formacji zakonnej), opracowanie zasad prewencji (wytyczenie granic, które powinny być przestrzegane przez wszystkich w życiu zakonnym i pracy duszpasterskiej), tworzenie struktur wsparcia.

### Jak pomóc

– Trzeba pamiętać, że wykorzystanie seksualne w Kościele zawsze ma charakter instytucjonalny – mówi ks. Jacek Prusak. – Bo zawsze chodzi o wykorzystanie przywileju władzy oraz stworzenie przez sprawcę takiego kontekstu, który utrudni ofierze wyjawienie tajemnicy.

Instytucjonalna powinna być też pomoc.

Katarzyna Sroczyńska opisuje proces udzielania wsparcia w Inicjatywie „Zranieni w Kościele": – Podczas dyżuru telefonicznego psychoterapeuta słucha opowieści osoby pokrzywdzonej. Wiele osób kontaktuje się z nami tylko raz, ale zdarza się też współpraca długoterminowa. Na jednym z pierwszych dyżurów, w 2019 r., zadzwoniła do nas osoba wykorzystywana przed laty. Poprosiła o pomoc psychologiczną, do której została przez nas skierowana. Po kilku miesiącach poczuła się na tyle silna, że zadzwoniła po raz kolejny i poprosiła o wsparcie prawne. Z pomocą prawnika zgłosiła sprawę do diecezji i prokuratury. Wsparliśmy ją w uzyskaniu od diecezji finansowania kolejnej terapii. Dostała od nas także ofertę skorzystania z grupy wsparcia. To przykład, jak – pozostając z nami w dłuższym kontakcie – wykorzystać różne możliwości pomocy.

### Proces uzdrowienia

Glòria Durà-Vilà, dziś uznana psychiatra i specjalistka od autyzmu, w 2013 r. obroniła doktorat na University College w Londynie. Przygotowując pracę, przeprowadziła pięć godzinnych wywiadów z hiszpańskimi zakonnicami w różnym wieku i z różnych zgromadzeń, które przeżyły traumę po wykorzystaniu ↦

POŻEGNANIE

Z żalem i smutkiem zawiadamiamy,
że 28 grudnia 2020 r. odeszła nad nas

Ś.†P.

Barbara Turała-Kalló

kochana Siostra, Żona, Mama, Babcia, Ciocia, Szwagierka, Kuzynka.

Absolwentka Wydziału Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego.
Miłośniczka gór.
Przez wiele lat mieszkała w Budapeszcie,
tam zmarła i tam zostanie – będziemy Ją wspominać.
Msza św. w intencji zmarłej zostanie odprawiona
2 marca br. o godz. 18.30 w kościele Mariackim w Krakowie.

*Niech spoczywa w spokoju!*

Rodzina z Polski i Węgier

seksualnym przez księży. Celem badań było znalezienie elementów wspólnych procesu zdrowienia – psychicznego i religijnego. Durà-Vilà wyróżniła osiem charakterystycznych i powtarzających się etapów: od szoku i zwątpienia w siebie, poprzez złość, nieufność, wycofanie w modlitwę, aż po wyjawienie tajemnicy, akceptację wspólnoty, duchową integrację, przebaczenie i posttraumatyczny wzrost. Każdy ilustrują wypowiedzi pokrzywdzonych.

„On nigdy nie uznał tego za napaść. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że spał z różnymi zakonnicami i zawsze wszystko usprawiedliwiał... Na litość Boską! Pierwsza myśl: jak on może tak robić!?".

„Matka przełożona mówi, że to niemożliwe, bo to dobry ksiądz. On wszystkiemu zaprzecza. W głębi duszy rodzą się wątpliwości... W końcu zaczynasz obwiniać siebie... Zastanawiasz się, czy to już obsesja? Bo skoro nie było do końca, to może wcale nie było wykorzystania?".

„Nigdy nie byłam tak podniecona. To uczucie, którego dotąd nie przeżyłam. Przed pójściem do klasztoru byłam zakochana, ale to on [ksiądz] sprawił, że ja, która nigdy nie doświadczyłam fizycznego podniecenia... Myślałam, że jestem odporna. Zwątpiłam w swoje powołanie".

„Powiedziałam sobie: nie będziesz płakać przed zakonnicami. Poszłam do kaplicy, modliłam się i modliłam. Ucałowałam stopy Chrystusa, mówiąc: Panie, Ty wiesz".

„Płakałam, a potem umyłam twarz. Poczułam smutek... Ale w kaplicy powiedziałam: Panie, jestem tutaj, bo Ty chcesz, żebym tu była".

„Czułam, że jestem ofiarą, jak Jezus. Poczułam solidarność z Panem: oboje przeżywaliśmy ten straszny moment. To mnie uratowało: nie tylko ja byłam ofiarą, Jezus też. Oboje przechodziliśmy przez to okropne doświadczenie".

### Jezus wykorzystany

„Uznanie Jezusa za ofiarę przemocy seksualnej może być pomocne w terapii traumy wykorzystania seksualnego u osób religijnych, w tym u sióstr zakonnych" – uważa prof. David Tombs, teolog z Uniwersytetu w Otago (Nowa Zelandia). I choć samo określenie może szokować, to przecież nietrudno znaleźć na nie dowody: w starożytności, tak jak i współcześnie, tortury więźniów były łączone z upokarzaniem i wykorzystywaniem seksualnym. Tombs cytuje fragmenty ewangelii o obnażeniu Jezusa, wyszydzeniu i nagim ukrzyżowaniu. Przekonuje, że opaska dodana w sztuce sakralnej wzięła się nie tylko z troski o wrażliwość odbiorców, czy też z seksualnego tabu w chrześcijaństwie, ale – co podkreśla – z chęci zepchnięcia problemu seksualnego wykorzystywania w Kościele poza granice świadomości. „Większość osób skrzywdzonych seksualnie, które nie utraciły wiary i identyfikują się nadal z Kościołem, twierdzi, że uznanie Jezusa za ofiarę przemocy seksualnej może zmienić podejście Kościoła do problemu i do ofiar" – pisze Tombs, który badał ofiary z katolickiego stowarzyszenia Sodalicio de Vida Cristiana w Peru (jego członkowie od ponad pół wieku wykorzystywani byli seksualnie przez założyciela wspólnoty i jej liderów).

> Zakonnice uczy się podporządkowania i ślepego posłuszeństwa, a oducza samostanowienia i myślenia. **Dlatego mają ograniczone możliwości obrony przed agresorem.**

– Wykorzystanie seksualne zawsze prowadzi do zmagań religijno-duchowych u osoby wierzącej i psychoterapeuta musi pomóc jej w ich ocenie – dodaje ks. Jacek Prusak. – Chodzi o tzw. normalizację doświadczanych sprzecznych emocji, czyli o uświadomienie, że wszystkie emocje, nie tylko pozytywne, są ważne. Ofiara ma prawo przeżywać smutek, złość, rozczarowanie czy osamotnienie. Nie musi ich tłumić. Ale powinno to być jednak dostosowane do wrażliwości kulturowej i religijnej ofiary. W Polsce, w odróżnieniu od Ameryki Łacińskiej, nie mamy tak realistycznych przedstawień pasji Jezusa jak w Peru – więc proste przeniesienie strategii prof. Tombsa może nie być aż tak pomocne. Co nie oznacza, że z definicji jest bezużyteczne.

### Czas na zmiany

Marta Abramowicz wątpi jednak, że proces „uzdrowienia" wewnątrz wspólnoty zakonnej jest u nas możliwy: – Przynajmniej nie przy takim systemie przełożeństwa, jaki mamy. Wspólnoty amerykańskie czy zachodniej Europy różnią się od polskich klasztorów mentalnością, formacją, dostępnością do profesjonalnej pomocy psychologicznej. U nas ta pomoc jest reglamentowana przez przełożoną. Często sprowadza się do rady, by sprawę „przemodlić" i nie angażować nikogo z zewnątrz, nawet terapeuty. Może w pojedynczych przypadkach takie „uzdrowienie" we wspólnocie się dokonało, ale na pewno nie jest to pomoc systemowa.

Choć nie wyklucza, że powoli to się zmienia: – Może sytuacja jest dziś lepsza, niż w czasie, gdy pisałam książkę. Odbyła się dyskusja o odchodzeniu sióstr, jesteśmy po głośnych wypowiedziach w mediach s. Jolanty Olech. Mam nadzieję, że siostry mają więcej odwagi, żeby mówić o problemie i próbować go rozwiązać.

Prof. Scaraffia sądzi jednak, że bez ingerencji z zewnątrz nic się nie zmieni. Na początek potrzebna jest odważna decyzja Rzymu, jak w przypadkach oskarżeń o pedofilię. – Papież mógłby nakazać, by wszystkie skargi, jakie trafiają do przełożonych, były automatycznie przekazywane do Watykanu.

Wydawałoby się, że można to zrobić już teraz, w oparciu o przepisy z 2019 r. nt. seksualnego wykorzystywania „osób bezbronnych". Czy jednak zakonnica jest „osobą pozbawioną wolności osobistej, z ograniczoną zdolnością rozumienia lub chcenia", jak mówi papieski dokument? Prof. Scaraffia jest przekonana, że tak – ze względu na składane śluby czy izolację od świata, choć nie słyszała, by ktoś zastosował go w praktyce. – Pewnie przed sądem kościelnym byłoby bardzo trudno tego dowieść – dodaje.

– Siostry muszą pamiętać, że są „oblubienicami Jezusa", a nie księży – podsumowuje ks. Prusak. – Relacje z księżmi, w które zostały uwikłane, opierają się na zależności i nadużyciu zaufania. To zawsze niesie negatywne skutki psychologiczne i psychospołeczne. Trzeba im pomóc w przezwyciężeniu poczucia tzw. zdrady instytucjonalnej. Nie ma takiego przykazania, jak „instytucja ponad wszystko" czy „zasady ponad wszystko". Może wtedy zaczną mówić o swoich krzywdach.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

# Perspektywa Hioba

JÓZEF MAJEWSKI

**Wiele powstało odpowiedzi na pytanie o sens cierpienia. Każda jednak pod jakimś względem kuleje, a dotyczy to również odpowiedzi chrześcijańskich.**

*Poświęcam Barbarze Zgorzelskiej*

Pod koniec ubiegłego stulecia Jerzy Nowosielski, malarz i prawosławny teolog, w pasjonującej (łac. *passio*, od którego pochodzi to słowo, znaczy „cierpienie", „męka") rozmowie z Krystyną Czerni wyznał: „Wie pani, my mamy bardzo mało pociech w tym życiu. Bo co to jest nasze życie? Życie to jest wyczekiwanie w celi śmierci, w celi tortur. Te tortury są odraczane, stopniowane, potem ich jest coraz więcej, aż przychodzi moment egzekucji".

Nowosielski zapewne zaczerpnął metaforę życia jako celi skazańca z wiersza „Tempus fugit" Tadeusza Różewicza: „W celi nr 20 / jestem najstarszym skazańcem / siedzę już 83 lata". Utwór ten był kolejną jego próbą poetyckiego uchwycenia sedna naszego życia. Wcześniej wyłożył je mniej poetycko np. w dramacie „Kartoteka", gdzie jeden z bohaterów, Chłop, mówi: „Wszyscy cierpieli, a ci, co nie cierpieli, to będą cierpieli. Muszą cierpieć. Taki, co nie cierpiał w naszych czasach, to najgorszy bydlak wszechświata. Mnie się zdaje, że nawet jakaś Kim Nowak [gwiazda Hollywood w latach 50. XX w. – red.] też musiała cierpieć... albo będzie cierpiała. To tylko w dawnych czasach szczęśliwi żyli obok nieszczęśliwych. W naszych czasach wszyscy muszą cierpieć. Wszyscy równo".

### Mroczna diagnoza

W Różewiczowskiej wykładni życia jako celi skazanego na cierpienie i śmierć, wykładni, która w naszym konsumpcyjnym kręgu kulturowym dzisiaj, w czasie pandemii, zda się bardziej przekonująca niż jeszcze nie tak dawno, wątpliwość rodzą przede wszystkim ostatnie słowa. Bo jednak cierpienie nie jest aż tak egalitarne, by można było powiedzieć, że wszyscy cierpią równo. Owszem, wszyscy cierpią lub cierpieć będą, lecz – z jednej strony – każda i każdy, jak sądzę, przeżywa swoje cierpienie na swój własny, boleśnie wyjątkowy, nie do podrobienia sposób. A z drugiej strony – w wypadku niektórych z nas cierpienie okazuje się, nie wiedzieć czemu, nadzwyczaj elitarne. Cierpienie niektórych jest niebotycznie większe niż innych, wręcz największe. Czasami nie do zniesienia.

Zapewne nie wszyscy zgodzą się z tą mroczną egzystencjalną diagnozą, może niektórych ona oburzy, raczej jednak zgodzimy się, że życie przynajmniej jakiejś części ludzi rozgrywało się albo rozgrywa jakby w celi tortur, a nad innymi cierpienie wisi niczym śnieżna lawina w górach w czas wielkiej niepogody. Staramy się jakoś żyć z bólem i cierpieniem. Usiłujemy szukać sensu naszego i innych cierpienia, a tym samym je racjonalizować. A w pytaniu o cierpienie, o jego sens, chodzi nie o jakikolwiek sens. Tu chodzi o sens szczególny, bo wyłącznie taki, który można nazwać dobrym, pozytywnym. Cierpienie można by uznać za sensowne, gdyby okazało się, że w ten czy inny sposób, pod tym ↦

↦ czy innym względem służy ono dobru człowieka cierpiącego. Że jest czymś, co nie tylko niszczy i burzy, zabija i pustoszy, kruszy i miażdży cierpiących, ale jednocześnie tworzy i buduje, pomaga i ratuje, dodaje im sił i wzmacnia ich.

Jaki jest zatem sens cierpienia? Oto kilka starych jak świat odpowiedzi na to pytanie.

### Sygnał rozsądku

Jedni przekonują, że cierpienie może być sygnałem, alarmem, bolesnym ostrzeżeniem, iż w tym czy innym obszarze naszego życia, w tym czy innym postępowaniu czy zachowaniu, zabrakło nam umiaru. Że poszliśmy za daleko, przekroczyliśmy wyznaczone lub dozwolone rozsądkiem lub moralnością miary, za którymi, jeśli nie otrzeźwiejemy, czeka nas już wyłącznie katastrofa: jeszcze większe cierpienie, męka, straszna choroba, alkoholizm, kalectwo, rozpad rodziny, bankructwo, samotność, przedwczesna śmierć, rozpacz. Bolesne oparzenie sygnalizuje, że trzeba cofnąć rękę. Cierpienie może okazać się ratunkiem przed innymi tragediami.

To prawda, że niektóre odmiany bólu i cierpienia mogą służyć dobru, mogą np. pomóc uratować życie rodzinne czy zapobiec kalectwu. Ale przecież doświadczamy i takich rodzajów cierpienia, które nie są żadnym sygnałem ani alarmem. One po prostu spadają na ludzi bardziej lub mniej niespodziewanie i nie po to, by przed czymś ostrzegać, ale by zamknąć człowieka w granicach potwornego bólu, cierpienia bez granic. Istnieją takie rodzaje cierpienia, które same w sobie są wielkim nieszczęściem i wyłącznie nieszczęściem. Niczemu nie służą. Jeśli już, to tylko multiplikacji cierpienia. Niszczą i rujnują. Zdarza się, że ludzie, których spotkało takie cierpienie, robią wszystko, co możliwe, by odkryć w nim jakieś dobro, błagają ludzi, wołają do Boga o odrobinę światła, by zajaśniał im choćby najmniejszy sens ich bólu – ale dana jest im tylko ciemność. Sami nie potrafią dostrzec w nim dobra i nikt im w tym nie potrafi pomóc.

### Droga do świętości

Cierpienie – mówią inni – może pojawić się w naszym życiu jako szczególna przeszkoda, swoista czy wyjątkowa trudność do pokonania. Może stać się czymś w rodzaju bolesnego treningu czy zaprawy, które, odważnie podjęte, w rezultacie wiodą wzwyż, uczą, jak naprawdę żyć, są pomocne w duchowym przechodzeniu kolejnych szczebli doskonałości. Niektórzy przekonują, że zmaganie się z własnym cierpieniem może prowadzić do świętości. Średniowieczny dominikanin Mistrz Eckhart nauczał: „Najszybszym zwierzęciem, jakie was może donieść do tej doskonałości, jest cierpienie, najpełniej bowiem zaznają wiekuistej słodyczy ci, którzy razem z Chrystusem pogrążają się w największej goryczy. Bo miłość rodzi cierpienie, a cierpienie miłość". Współczesny mistrz myślenia i życia duchowego, ks. Józef Tischner, pisał w podobnym chyba duchu: „Jedni budują obozy śmierci, drudzy osiągają w nich świętość".

> W pytaniu o sens nadwyżki cierpienia na tym świecie nie może chodzić o zaspokojenie ciekawości. **Pytanie to usprawiedliwia współczucie dla cierpiących.**

To prawda, że niektórzy z ludzi osiągali i osiągają świętość w cierpieniu, przez cierpienie, a może nawet – jak można usłyszeć – dzięki cierpieniu. Wierzę i wiem, że żyli kiedyś i żyją dzisiaj ludzie, którym udało się i udaje wykrzesać w cierpieniu wielką miłość, taką, która powiodła i wiedzie ich na szczyty poświęcenia i świętości. Któż jednak z nas nie zna także ludzi, których dopadł taki rodzaj cierpienia, że mimo ich najszczerszych chęci i bez ich winy nie stać ich na jakąkolwiek miłość? Egzystencja, którą wiodą, jedynie woła, i to zupełnie bezskutecznie, o zmiłowanie i miłosierdzie... Nie potrafię zgodzić się ze stwierdzeniem ks. Henryka Sławińskiego, który w mądrych rozważaniach „Ambiwalentne postawy człowieka wobec cierpienia" pisze: „Każdy rodzaj cierpienia może powodować degradację osobowości bądź sprzyjać jej rozwojowi". Są takie rodzaje cierpienia, które wyłącznie degradują...

A co do nauk o. Eckharta i ks. Tischnera – nie wątpię, że obaj ci mistrzowie duchowości wiele by dali, by w ludzkich dziejach nigdy nie wydarzyły się obozy śmierci, komory gazowe, wojny, tsunami i pandemie, choćby z góry było wiadomo, że staną się one prawdziwymi i hojnymi matecznikami czy źródłami wielkiej miłości, wielkiego poświęcenia i wielkiej świętości. W świecie istnieją takie rodzaje świętości, poświęcenia i miłości, które niechby nigdy się nie wydarzyły. Lepiej byłoby, gdyby nie musiały zaistnieć.

### Nowa łaska

Zdarzają się wśród nas i tacy, którzy potrafią przyjąć cierpienie, szczególnie to zadane przez innych ludzi, jako wyjątkową sposobność świadczenia o swojej wierności Bogu do końca. To męczennicy, którzy dla swoich współwyznawców stają się wzorami heroicznej wiary w Boga i modelami wierności Jemu. Niektórzy nie wahają się mówić tu wręcz o boskim darze – o Bożej łasce cierpienia. Czy jednak cierpienie rzeczywiście może być łaską, darem – dobrem?

Jan Paweł II w 1985 r. do chorych w belgijskim Banneux nie wahał się powiedzieć: „Cierpienie samo w sobie jest złem". Człowiek doświadcza potworności zła przede wszystkim poprzez cierpienie. Może się zdarzyć, że ktoś staje się niewrażliwy na jakąkolwiek formę zła, żyje tak, jakby dobro i zło nie istniały, ale doświadczenie cierpienia z nieubłaganą konsekwencją przypomni mu, że zło jest czymś nad wyraz realnym. Cierpienie samo w sobie ma charakter destrukcyjny: niszczy, burzy, łamie ludzkie życie. Czy zatem zło może być darem? Etyczna zasada wyboru mniejszego zła, by uniknąć zła większego, zdaje się podpowiadać, że przynajmniej niekiedy jest to możliwe. Ludzie zgadzają się na amputację chorej ręki, by zachować życie.

Tymczasem zasada wyboru mniejszego zła budziła poważne zastrzeżenia Jana Pawła II. W encyklice „Veritatis splendor" cytował Katechizm i Tomasza z Akwinu: „»Istnieją konkretne zachowania, których wybór jest zawsze błędem, ponieważ prowadzi do nieporządku woli, to znaczy do zła moralnego«. Zdarza się często (...), że człowiek działa w dobrej intencji, ale bez duchowego pożytku, ponieważ zabrakło mu prawej woli; dzieje się tak wówczas, gdy na przykład ktoś kradnie, aby nakarmić biednego: w tym przypadku, chociaż intencja jest dobra, brakuje prawości woli. W konsekwencji, nie można usprawiedliwić żadnego złego czynu dokonanego w dobrej intencji:

»A czyż mamy (...) czynić złe rzeczy, aby z nich wyszły dobre? Potępienie takich jest sprawiedliwe« (por. Rz 3, 8)" (nr 78).

### Na próbę

Chociaż nie w pełni przekonują mnie słowa Jana Pawła II, wypada jednak pamiętać o nich także w przypadku popularnego poglądu, że cierpieniem, a więc złem, Bóg może posługiwać się jako narzędziem próby, zgodnie z prastarą zasadą ascetyczną: „Kogo Bóg kocha, tego chłoszcze". Benedykt XVI w książce „Jezus z Nazaretu", przywołując porozumienie szatana z Bogiem co do wypróbowania sprawiedliwości Hioba, pisze: „Szatan ośmiesza człowieka, by ośmieszyć Boga. Człowiek, którego [Bóg] stworzył na swój obraz, jest żałosnym stworzeniem. Wszelkie dostrzegalne w nim dobro jest tylko fasadą. W rzeczywistości człowiekowi – każdemu – chodzi tylko o własne zadowolenie. Szatan chce dowieść swej tezy na przykładzie sprawiedliwego Hioba: gdy tylko zostanie mu wszystko odebrane, zaraz zniknie też jego pobożność. Bóg daje więc szatanowi pozwolenie wypróbowania go, oczywiście w określonych granicach. Bóg nie przywodzi człowieka do upadku, lecz tylko poddaje go próbie".

W papieskich rozważaniach uwagę przykuwają, ale i budzą niepokój słowa o „określonych granicach", które mają charakteryzować tę „tylko" próbę zastawioną na Hioba. Budzą niepokój, bo w wypadku „określonych granic" jesteśmy świadkami cierpienia zupełnie bezgranicznego: ogromne duchowe i cielesne męki, straszna choroba, utrata dobytku, cierpienia i wątpliwości żony, opuszczenie przez przyjaciół, a jakby tego było za mało – cierpienia córek i synów Hioba, a w końcu ich tragiczna śmierć w zawalonym domu. Przerażające! By wypróbować czyjąś wierność, można zabijać?

Próba, której Bóg z szatanem poddali Hioba, okazuje się cierpieniem, które nie ma granic. Charakterystyczne przy tym jest, że Benedykt XVI, jak wielu komentatorów Księgi Hioba, nie ma nic do powiedzenia o tym, że przy okazji bezgranicznej próby Hioba próbie bez granic została poddana cała jego rodzina, żona, córki i synowie. „Nikt nie jest samotną wyspą" (Thomas Merton) również w czasie „próby".

Gdyby Księga Hioba była kroniką rzeczywistych losów pewnego mężczyzny i jego rodziny w starożytnym Izraelu, a do tego autentyczną relacją ze spotkań szatana z Bogiem, którzy bez litości i bezdusznie przesuwają ludzi jak pionki na szachownicy życia, cierpienia i śmierci, to... jak wierzyć w takiego Boga? Szczęśliwie Księga Hioba nie jest ani kroniką rzeczywistych ludzi, ani autentyczną niebiańską relacją, tylko fikcją literacką, konkretnie zaś poematem filozoficznym, czymś w rodzaju mądrościowej bajki z morałem. Jest kolejną próbą, przejmującą i wstrząsającą, ale jednak nieudaną próbą poradzenia sobie z ciemnością cierpienia, które spada na człowieka sprawiedliwego.

### Najlepszy z możliwych

Niektórzy przekonują, że nie ma co się zżymać na zło i cierpienie, skoro – z zrządzenia Boga – żyjemy w świecie najlepszym z możliwych. Dojrzały kształt temu stanowisku jako pierwszy nadał chyba Gottfried Wilhelm Leibniz (1646–1716). Filozof ten tłumaczył, że bez cierpienia nie bylibyśmy w stanie docenić piękna oraz wartości życia i świata. Dopiero w perspektywie zła możemy docenić autentyczne dobro, a cierpienie staje się warunkiem przeżywania radości i szczęścia. Słynna jest muzykologiczna i kulinarna argumentacja niemieckiego myśliciela: „Nader często wybitni kompozytorzy z dźwiękami harmonicznymi mieszają dysonanse, aby pobudzić uwagę i niejako zaniepokoić słuchacza; dzięki temu bowiem słuchacz, jakby niespokojny o wynik ostateczny, niebawem, gdy wszystko znów wróci do porządku, tym większej dozna radości. (...) Na tej samej zasadzie nierozsądnie jest żywić się ustawicznie słodkimi pokarmami: trzeba również dodawać ostre, kwaśne, a nawet gorzkie, aby smak pobudzić. Kto nie skosztował goryczy, ten nie zasłużył na słodycz i nawet jej nie docenia".

Leibniz radził, by nie narzekać, tylko zgodzić się, że świat bez cierpienia i zła byłby gorszy od tego, w którym żyjemy. Tym samym nie należy zżymać się na Boga, wszak ofiarował ludziom krainę najlepszą z możliwych, nawet jeśli nie wszystko w niej może się podobać. Leszek Kołakowski, komentując to stanowisko, opatruje je prostym, a druzgocącym pytaniem: „a więc świat byłby gorszy, niż jest, gdyby nie było Oświęcimia ani Gułagu, a także gdybym ja się nie skaleczył w palec, krojąc pomidory?".

### Przekonująco odpowiedzieć

W historii ludzkości oczywiście powstało więcej odpowiedzi na pytanie o sens cierpienia. Niewątpliwie ta czy inna z nich pomagała ludziom żyć z nim i z nim się zmagać. Ta czy inna w tej czy innej mierze usprawiedliwia konkretne cierpienie. A jednak mam przekonanie, że każda z tych odpowiedzi cierpi na jakieś braki, pod jakimś względem kuleje, a dotyczy to również odpowiedzi chrześcijańskich. Owe braki ujawniają się w obliczu tego, co można nazwać nadwyżką, monstrualnym nadmiarem cierpienia w świecie. Tego nadmiaru nie da się zracjonalizować, znaleźć dla niej dobrego dla cierpiących wyjaśnienia. Czy można usprawiedliwić cierpienia dzieci? Jaki sens miały męczarnie milionów dziewczynek i chłopców, kobiet i mężczyzn w obozach koncentracyjnych i gułagach? Jaki sens ma cierpienie setek tysięcy ludzi, których dziesiątkują straszne choroby, katastrofy naturalne, pandemie, huragany, tornada i tsunami?

Niemniej w pytaniu o sens nadwyżki cierpienia na tym świecie nie może chodzić o zaspokojenie zwykłej ciekawości. Pytanie to jest uprawnione, gdy wypływa – przypomnę nieco dziś zapomniane słowo – z sympatii do tych, którzy cierpią (greckie *sympatheia*, czyli: *syn* – „razem", „wespół" oraz *pathos* – „czucie", „cierpienie"), z cierpienia wespół z nim. Jeśli na pytanie to nie ma zadowalających odpowiedzi, nie znaczy to, że nie możemy na nie przekonująco odpowiedzieć. Według słów Tadeusza Mazowieckiego „pytania, na które nie ma odpowiedzi, rozwiązujemy nie przez wyjaśnienie ich, ale przez postawę wobec nich". Widzę głęboką więź tych słów ze słowami francuskiego poety Paula Claudela z poematu „Droga krzyżowa":

*Patrz, grzeszniku,*
*i zobacz, co sprawił twój grzech.*
*Im bardziej bezbożna zbrodnia,*
*tym większe Chrystusa krzyżowanie.*
*Zaiste, wielka jest niedola ludzi,*
*lecz nic powiedzieć nie potrafimy,*
*Albowiem Bóg zstępuje tu teraz,*
*nie po to, by wyjaśnić, lecz wypełnić.*
*Jezus przyjmuje Krzyż, jak my*
*przyjmujemy Świętą Eucharystię.*

© JÓZEF MAJEWSKI

# Kobiety dookoła ołtarza

PIOTR SIKORA

**Papież zmienił prawo kanoniczne i od teraz kobiety mogą być ustanawiane stałymi lektorkami i akolitkami.**

PATRICIA DE MELO MOREIRA / AFP / EAST NEWS

*Dora Cruz rozpoczyna obrzędy komunii podczas niedzielnego nabożeństwa pod nieobecność księdza, parafia Campinho, Reguengos de Monsaraz, Portugalia, styczeń 2017 r.*

Sprawie warto przyjrzeć się bliżej, gdyż może mieć spore znaczenie w przemianie postaci Kościoła – przekraczające fakt, że kobiety będą mogły na równi z mężczyznami być ministrantkami i nadzwyczajnymi szafarkami Eucharystii.

Od średniowiecza do Soboru Watykańskiego II lektorat i akolitat były nazywane święceniami niższymi i uznawano je za konieczne etapy na drodze do przyjęcia sakramentu święceń. Paweł VI zmienił jednak tę praktykę, zalecił zaprzestanie używania kategorii „święceń niższych", wskazując, że nawet instytucjonalnie ustanowione „posługi" lektoratu i akolitatu mają swoje oparcie w chrzcie i bierzmowaniu i – jako takie – są właściwe ludziom świeckim. Zastrzegł jednak, że mogą je pełnić wyłącznie mężczyźni.

Paweł VI określił jednocześnie bliżej, na czym mają polegać te funkcje. Lektor „ma czytać lekcje z Pisma Świętego (nie zaś Ewangelię) we Mszy i innych świętych czynnościach; w przypadku braku psalmisty ma recytować psalm międzylekcyjny; gdzie nie ma diakona lub kantora, powinien zapowiadać intencje modlitwy powszechnej; ma prowadzić śpiew i kierować uczestnictwem Ludu wiernego; przygotowywać wiernych do godnego przyjmowania sakramentów. Może również – jeśli zachodzi potrzeba, czuwać nad przygotowaniem innych wiernych, którzy czytają Pismo Święte w czynnościach liturgicznych na podstawie tymczasowego zlecenia".

Akolita „jest powołany, aby wspierał diakona i posługiwał kapłanowi. Do niego należy troska o służbę ołtarza, pomaganie diakonowi i kapłanowi w sprawowaniu liturgii, zwłaszcza Mszy; ponadto należy do niego, jako do szafarza nadzwyczajnego, udzielanie Komunii świętej (...), można mu zlecić wystawienie Najświętszego Sakramentu Eucharystii do publicznej adoracji wiernych, a następnie schowanie, jednak bez udzielenia ludowi błogosławieństwa. Może również – o ile zachodzi potrzeba – zajmować się przygotowaniem innych wiernych, którzy na mocy czasowego upoważnienia pomagają kapłanowi lub diakonowi w czynnościach liturgicznych, nosząc mszał, krzyż, świece itd. lub wykonując inne podobne funkcje".

Dokumenty kościelne określają zatem, że lektorzy i akolici mają pełnić nie tylko ważne funkcje liturgiczne, ale w zinstytucjonalizowanej formie uczestniczyć w duszpasterstwie – przygotowując ludzi do przyjmowania sakramentów i aktywnego uczestnictwa w liturgii. Z dokumentu *motu proprio* „Spiritus Domini" wydanego przez Franciszka jednoznacznie wynika, że inspiracją do zmian były postulaty Synodu dla Amazonii dotyczące uznania i wsparcia realnej duszpasterskiej roli, jaką w tamtejszych wspólnotach pełnią kobiety. Papież podjął te postulaty i uznał, że powinny być realizowane w całym Kościele.

Z teologicznego punktu widzenia zmiana wprowadzona przez Franciszka nie jest niczym rewolucyjnym. Można wręcz powiedzieć, że likwiduje funkcjonujący w kościelnym prawie i praktyce teologiczny absurd – jakim było zastrzeżenie pewnych funkcji wynikających z chrztu i bierzmowania wyłącznie dla mężczyzn. Na teologiczną zachowawczość najnowszego papieskiego *motu proprio* wskazuje także oficjalny list skierowany z okazji wprowadzonej zmiany przez Franciszka do prefekta Kongregacji Nauki Wiary. W piśmie tym papież starannie odróżnia świeckość lektoratu i akolitatu od sakramentu święceń – a więc diakonatu, prezbiteratu i biskupstwa – i powtarza stwierdzenie Jana Pawła II, że „Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom".

Zmiana wprowadzona przez Franciszka może jednak mieć ogromne znaczenie na poziomie kościelnej praktyki, zwłaszcza w tych Kościołach lokalnych, np. w Polsce, w których kobiety nie były dopuszczane do stałej duszpasterskiej i liturgicznej odpowiedzialności. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że papież szczegółowe rozwiązania zostawił poszczególnym Konferencjom Episkopatów. Nie wiemy zatem, jak szybko zmiany wejdą w życie w Polsce i jak głębokie będą. Ważne jednak, że ogólne prawo Kościoła w tej kwestii kobiety mają po swojej stronie. ©

WOJCIECH

# Bonowicz:
## *Bajka na początek roku*

Świat na zewnątrz zasypany jest śniegiem, a wewnątrz – kocią sierścią. To zestawienie trochę na wyrost, bo o ile śnieg, nawet obfity, kiedyś stopnieje, o tyle sierści nie zabraknie przez cały rok. Kot Leon upycha jej zapasy po wszystkich kątach, filcuje w szparach pod drzwiami i nawet uparte wymiatanie i odkurzanie niewiele pomagają. Kocia sierść jest na swetrach, spodniach i w bieliźnie, układa się na schodach, unosi w powietrzu. Wynosimy ją do samochodu, oddychamy nią w maseczkach, połykamy w jedzeniu. Gdybym miał krótko przedstawić, jak wygląda nasze mieszkanie, napisałbym: mieszkamy w gnieździe z kociej sierści.

Lecz teraz kot Leon śpi, skręcony na swoim tronie w posapujący zawijas. A ja staję w oknie jego królestwa, zgasiwszy uprzednio światło, żeby łatwiej było zaprosić do środka to, co znajduje się po drugiej stronie. Wczoraj wieczorem spadł śnieg, padał również w nocy i trochę w ciągu dnia, więc późnym popołudniem parking wygląda jak blacha z pączkami hojnie posypanymi pudrem. Drzewa zrobiły się większe, a ludzie mniejsi. Światła latarń wydają się bardziej pomarańczowe, a nadciągająca ciemność mniej straszna, bo mająca moc nad nami tylko do połowy. Śnieg to bajeczka, albo raczej długa i rozległa opowieść o spełnionych obowiązkach i spokojnym śnie zmęczonego świata. O tym, że nocami przychodzą święci lub zwierzęta – te ostatnie podchodzą pod okna i zaglądają, a sierść mają jasną, jakby zstępując między ludzi, otarły się o księżyc. To także dalekie głosy kolędników, których już w mieście nie ma, ale za rogatkami ciągle jeszcze śpiewają dobrą nowinę o Bogu narodzonym wśród śniegów i o tym, że najmilsi są Mu ci, którzy porzucili swoje stada, byle tylko zobaczyć, jakie ma włosy i do kogo jest podobny.

Dlatego tak łakomie patrzę na śnieg. Dlatego piszę o nim prywatne wypracowania, których nie będę nikomu pokazywał, no, może ten jeden, jedyny raz, skoro już zacząłem. Śnieg porównywano chętnie do czystej kartki papieru, wojska, które nadciągnęło na białych koniach, albo gromady staruszków pochylających siwe głowy nad szachownicami. Ale dla mnie śnieg to raczej zdanie oznajmujące, a niebo, ta wielka maszyna do jego produkcji, jest metaforą miłosierdzia. Kiedy płatki są grube, za oknem tworzą się firanki, a na ziemi jej odlew, którego jednak nigdy nie damy rady podnieść.

Lecz najważniejsze jest co innego: śnieg, gdy spadnie, znosi wszelkie granice. Ogień i powódź robią to także, ale zbyt gwałtownie, niszcząc to, co mogłyby połączyć. Kiedy spadnie śnieg, świat na chwilę staje się jednym miejscem. I póki go nie rozjeździmy i nie rozdepczemy, jest jednością, pierzyną wielkiego łóżka, w którym wszyscy śpimy.

Tak, świat w śniegu robi się swojski, choć naturalnie tylko dlatego, że oglądamy go z ciepłego wnętrza, a nie z samego serca mrozu. Śnieg jest przyjacielem dzieci, ale nie tych, które wygnano. Kiedy uczniowie wrócą wreszcie do szkół, będą musieli opisać, jak wygląda ich codzienna droga do domu. Może któryś z nich zacznie tak: do mojego domu nie można się teraz dostać. Nie można też z niego wyjechać. Nie wiadomo, jak długo to potrwa. Na razie wokół nie ma żadnych znaków orientacyjnych, bo wszystkie zasypał śnieg. Jedyny znak, jaki mam, to światełko w moim telefonie. Ono wskazuje mi drogę, ale zupełnie gdzie indziej.

Leon budzi się i przeciąga. Z oparcia tronu spada na podłogę kłębuszek jego sierści. Nie schylam się, żeby go podnieść. Muszę poczekać, czego król będzie ode mnie chciał. Leon jest niewymagającym władcą. Właściwie nie lubi tylko jednego: kiedy w pustym mieszkaniu nie może się nikogo dowołać. To wtedy prawdopodobnie zrzuca najwięcej sierści i umiejętnie ją ukrywa. Kiedy wracamy, strzepując z butów śnieg w przedpokoju, sierść jest już w schowkach. Jest w ścianach, podłogach i wszędzie. Przechodzimy z puchu do puchu. ©

POŻEGNANIE

**9 stycznia 2021 zmarł**
**Krzysztof Reczek**

Waleczny ojciec (do dziś współczujemy wrogom z naszego podwórka).

Oddany żonie i matematyce, obie kochał, z obiema się liczył. Po mistrzowsku potrafił objaśniać świat swoim studentom, uczniom, dzieciom i wnukom. Pamiętający o innych, nigdy o sobie.

Długą i ciężką chorobę przeszedł jak gentleman - bez słowa skargi. Znając go, wiemy, że Św. Piotr od jakiegoś już czasu spoglądał na zegarek oczekując przybysza.

Piękny umysł.

Pożegnaliśmy Go 18 stycznia o godzinie (rozwiązanie *)

$x_1 : x_2$ gdzie $g(x) = x^3 - 66x^2 + 1209x - 6760$

na Cmentarzu Rakowickim.

*13:40

# TU WOŁA DONIECK

W sieci uaktywnia się rzadko.
Gdy milknie na dłużej, zaczynam się martwić.
Czasem pojawia się tylko, aby dać znać, że żyje.

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Donieck i Ługańsk to dziś białe plamy. Do powstałych prawie siedem lat temu i kontrolowanych przez Rosję separatystycznych „republik" prawie nie przyjeżdżają dziennikarze. Jedynym wolnym od rosyjskiej propagandy źródłem informacji stamtąd są ludzie, którzy czekają na powrót Ukrainy. Niektórzy nie tylko czekają, ale ryzykują życiem, żeby do świata dotarły informacje o tym, co dzieje się w ich rodzinnych miastach.

To opowieść o nich.

### Na poligonie

Profil na portalu społecznościowym ma prawie pusty. Żadnych zdjęć. Data urodzenia i nazwisko, o których wiem, że są fałszywe. Czasem wrzuca stare hity sowieckiego rocka. Wstawia też serduszka pod wpisami ukraińskich żołnierzy. Nie byłoby to dziwne, gdyby nie podane miejsce zamieszkania: Donieck.

Mówili mi o nim pochodzący z Donbasu ukraińscy żołnierze. „Nasz człowiek, pomaga nam. Sama się do niego nie odzywaj, poczekaj. Może zdecyduje się nawiązać kontakt".

Obserwowaliśmy się po cichu. Ale Witalik (imię zmienione) czasem nie może się powstrzymać. Zwłaszcza wtedy, gdy dzieli nas tylko kilka kilometrów przeciętych linią frontu. „Dziś wieczorem będzie brzydka pogoda. Może padać, zbyt wiele nie spaceruj" – pisze mi w komentarzu do zdjęcia, gdy jestem w jednej z poddonieckich miejscowości, po ukraińskiej stronie. „Nie wychylaj się za bardzo. W twoją okolicę przyjechał niedawno świetny rosyjski snajper" – pisze innym razem.

– Czy chcecie w Polsce usłyszeć głos z wnętrza śmietnika? Chciałbym, żeby w Europie wiedzieli, co się tu dzieje – odzywa się po dwóch latach znajomości na Facebooku.

Rozmawiamy. Wspieranych przez Rosję separatystów nazywa „orkami", a ich parapaństwo – „śmietnikiem". W sieci uaktywnia się rzadko. Gdy milknie na dłużej, zaczynam się martwić. Czasem pojawia się tylko, aby dać znać, że żyje.

Chętnie dzieli się opowieściami ze spacerów po donieckich ulicach. Po kilkunastu rozmowach mam już sporo zdjęć rosyjskich anten i systemów do walki radioelektronicznej.

– Mogą zagłuszać lub podsłuchiwać telefony w promieniu prawie 100 km. Ukraińscy wojskowi mówią czasem, że po rosyjskich ostrzałach nie można wezwać medyków do rannych przez krótkofalówki, bo nie działają. Ale na co dzień ten drogi sprzęt podsłuchuje cywilów. Rosja zamieniła Donieck w poligon. Testuje na nas wojskowe technologie. Czasem czuję się jak w filmie *science fiction* o totalnie inwigilowanym społeczeństwie przyszłości. Każda rozmowa czy wiadomość są śledzone – opowiada.

Mimo to zaradni proukraińscy mieszkańcy Doniecka wykorzystują luki w rosyjskich systemach, by komunikować się ze światem. Witalik: – Ratują nas informatyka i paranoja. Bo paranoja to zdrowa rzecz w naszych warunkach. Przeszliśmy przyspieszony kurs przetrwania. Widzisz człowieka na ulicy bez munduru i musisz ocenić, czy nie śmierdzi ci rosyjskimi służbami. Patrzysz na dłonie, czy nie ma śladów od strzelania. Jeśli nie nauczysz się w kilka sekund oceniać, z kim masz do czynienia, zginiesz. Jak to się skończy, będę musiał się od nowa uczyć zwykłych rzeczy. Spacerowania, niezobowiązujących rozmów, snu. Na wojnie uczysz się spać, kiedy strzelają. Na wolności uczysz się spać, kiedy nie strzelają.

### Partyzant

Umawiamy się na terminy rozmów, podczas których opowiada o sobie: – Gdy orki zatrzymają mnie na ulicy i obejrzą mój telefon, będą mieć dostęp tylko do esemesów od żony w stylu „kup śmietanę i chleb". Telefon, z którego teraz rozmawiamy, zawsze zostawiam w domu. Ale mimo to wszystkie rozmowy od razu usuwaj. Nie rozmawiaj o niczym niebezpiecznym, dopóki nie upewnisz się, że to ja ci odpowiadam. Były już sytuacje, gdy funkcjonariusze FSB prowadzili w czyimś imieniu wielogodzinne rozmowy, podczas gdy właściciel telefonu był torturowany w ich piwnicy.

Po jakimś czasie wiem, że Witalik pochodzi z mieszanej rodziny. Choć mieszkają w jednym mieście, z ojcem nie rozmawia – różnice poglądów. Matka w głębi duszy popiera Ukrainę. Żona, jak mówi, trafiła mu się jak wygrana na loterii. Gdy zorientowała się, że Witalik pomaga Ukrainie, powiedziała: „Jeśli zginiesz, to usiądę obok i umrę".

– I zaczęła mi pomagać. Ma wspaniałą pamięć. Zapamiętuje numery rosyjskich samochodów, jest w tym lepsza niż ja – śmieje się. – Razem kreśliliśmy mapy, pozycje posterunków, informacje o ich uzbrojeniu. Gdy wychodziliśmy w teren, moja cicha skromna żona robiła ostry makijaż i ubierała najlepsze sukienki. Czasem na ulicach, czasem w knajpach, gdzie orki pili z rosyjskimi wojskowymi. Z boku wyglądało, że robię żonie fotosesję. A tak naprawdę zbieraliśmy dane dla ukraińskiej armii – wspomina z dumą.

Ich syn jest bezpieczny, gdzieś poza Donbasem. Witalik: – Gdy rozmawiamy, pyta, kiedy będzie mógł wrócić do swojego pokoju i zabawek. To moja motywacja. Tu jest moja ziemia i dom, z którego wygnali moje dziecko. O, właśnie widziałem przez okno, że orki wyprowadzili działo samobieżne. Jedzie w kierunku szkoły w Makijiwce. Będą pewnie stamtąd strzelać, bo wiedzą, że Ukraińcy nie odpowiedzą ogniem w kierunku szkoły. To standard, metody terrorystów. A ty pytasz, czy ich nienawidzę.

### Bloger

Na stronie internetowej tzw. ministerstwa sprawiedliwości Donieckiej Republiki Ludowej (w skrócie DNR) można znaleźć listę materiałów uznanych za ekstremistyczne. Posiadanie czy rozpowszechnianie takich publikacji może być podstawą do zatrzymania, pokazowego procesu i wyroku. Obok śpiewnika „Wzywa nas Ukraina. Patriotyczne pieśni dla uczniów" znajdziemy tu blog o nazwie „Faszyk Doniecki".

„Jestem mieszkańcem okupowanego przez Rosję Doniecka. W moim mieście jest pełno okupantów. Kacapy mogą mówić, co chcą, ale fakt pozostaje faktem: widzimy was i czekamy na dzień, kiedy my, normalni ludzie, zapukamy do waszych drzwi i przypomnimy o wszystkim, co zrobiliście na naszej ziemi. Przy okazji chciałbym przekazać pozdrowienia służbom tzw. DNR. Ja mogę was znaleźć, a wy mnie?" – pisze o sobie autor, który sam przedstawia się jako Faszyk (to neologizm: ironiczne zdrobnienie od słowa „faszysta").

Na stronie głównej „Faszyka Donieckiego" wita nas ironiczny rysunek hajlującego kota z kreskówki „Tom i Jerry", stojącego na tle ukraińskiej flagi.

– Nazwa bloga to żart, odwołujący się do rosyjskiej propagandy, według której każdy z przedstawicieli narodów byłego Związku Sowieckiego, kto odczuwa własną tożsamość narodową, jest faszystą. ↦

NIKITA TITOW DLA „TP"

↦ Oczywiście każdy oprócz Rosjan, bo oni jako jedyni mają prawo do swojego imperialistycznego szowinizmu. W 2014 r. na każdym kroku straszono ludzi w Donbasie ukraińskimi faszystami, którzy przybędą ze Lwowa i Kijowa. Rosyjska armia wkraczała niby po to, aby ratować rosyjskojęzyczną ludność przed faszystami. No to proszę, my już tu jesteśmy – śmieje się Faszyk, gdy rozmawiamy przez Skype'a.

Wspomina, jak zaczął pisać bloga: gdy w jego rodzinnym Doniecku zaczęły się formować tzw. republiki ludowe, uznał, że ma wybór: albo biernie obserwować, albo próbować coś zmienić.

– Operacja przejęcia tych ziem była organizowana jeszcze przed wkroczeniem tzw. zielonych ludzików. Już 5 marca 2014 r. mój kolega ze szkoły pojechał do Rosji uczyć się na czołgistę, by walczyć za rosyjski Donbas. A ja usiadłem przed komputerem w moim mieszkaniu i zacząłem pisać. Broń, którą się najlepiej posługuję, to słowo – opowiada.

Mimo braku finansowania, blog „Faszyk Doniecki" (https://fashikdonetsk.com) i tworzone wokół niego sieci społecznościowe mają dziś ponad 500 tys. wyświetleń miesięcznie. Czasem statystyki sięgają miliona. Czytelnicy Faszyka pochodzą ze wszystkich krajów, po których rozsiani są Ukraińcy, ale najwięcej wyświetleń pochodzi z okupowanych części Donbasu – oraz z Rosji.

### Cena za głowę

Poza Faszykiem na stronie publikuje kilkanaście osób. Wszyscy pod pseudonimami, jak „Zły Ukrainiec z Doniecka" czy „Dobry Szubin" (szubin to według podań ludowych Donbasu duch kopalni). Prócz bloga prowadzą konta w komunikatorach i serwisach społecznościowych.

Faszyk: – Nasze konta są stale usuwane. Na Facebooku mam stały ban. Wystarczy jeden wpis, zaraz zlatują się pracownicy rosyjskich fabryk trolli i mnie zgłaszają. To pokazuje, że Zachód nie był gotowy na wojnę hybrydową. Nikt nie sądził, że po rosyjskiej agresji na Ukrainę sieci społecznościowe staną się polem bitwy. Właściciele tych serwisów siedzą w jakimś San Francisco i nie przypuszczają, że na dalekiej Ukrainie trwają regularne walki na wpisy.

Faszyk uważa, że także Rosja okazała się niegotowa na taktykę wykorzystywaną przez nich, donbaskich blogerów: – W Rosji kultywują psychologię zwycięzcy. Ich trolle są szkolone, by prowadzić zbiorowe ataki w internecie. A tu nagle okazuje się, że i nasze wpisy są ofensywne. Tego nie oczekiwali.

Większość materiałów propagandowych dotyczących Donbasu jest tworzona w Rosji lub przez rosyjskich dziennikarzy. W Doniecku nie wykształciły się struktury polityki informacyjnej. Faszyk pokazuje mi konto na YouTubie należące do szefa propagandy DNR i śmieje się szyderczo, że ma on tylko 30 subskrybentów: – Parodia, która pokazuje fasadowość separatystycznych republik.

– Mają z nami problem. Wiedzą, że pisze przeciwko nim ktoś miejscowy. Bo tylko taki może odpowiednio atakować. My jedynie rzucamy temat i on sam rozpowszechnia się w sieci. Władze tzw. republik są powszechnie znienawidzone także przez prorosyjskich mieszkańców Donbasu. Nawet oni wiedzą, że jesteśmy jedyną dostępną platformą dla krytyki władzy – opowiada.

Kiedyś górnicy z kopalni „Antracyt" pod Ługańskiem ogłosili, że będą strajkować pod ziemią, dopóki nie dostaną wypłat zaległych od miesięcy. – Świetny temat! – mówi Faszyk. – Znam te realia, dziadek był górnikiem. Ludzie z Donbasu sami zaczęli nam wysyłać relacje ze strajku. Władze DNR dostały sygnał, że miejscowi są przeciw nim. To ich przeraziło.

Służby zaczęły zagłuszać telefony komórkowe górników z pomocą sprzętu wojskowego i stawiać posterunki na wjazdach do kopalń.

Faszyk ma świadomość, iż Rosja nie wybacza swoim wrogom. Za jego głowę wyznaczano już cenę. W przeszłości funkcjonariusze DNR kilka razy zatrzymywali osoby podejrzane o to, że są Faszykiem Donieckim. Zanim zorientowali się w pomyłce, ludzie ci byli poddawani torturom, nawet tygodniami.

### Dowody na istnienie

„I ci, którzy walczą na froncie, i ci walczący w informacyjnych bitwach za nasz kraj – my, Ukraińcy, jesteśmy razem w wojnie przeciw Rosji! Przyjaciele, nie opuszczamy rąk. Tu jeszcze nie umarła Ukraina! Piję za was pod rosyjską okupacją" – pisze Sasza (imię zmienione) po rosyjsku na Facebooku. Ukraińskiego nie zna. Ale, jak mówi, to mu nie przeszkadza kochać swój kraj.

– Moje teksty na „Faszyku Donieckim" nie są wysokich lotów. To wojna zrobiła ze mnie dziennikarza. Jestem prostym człowiekiem, pół życia pracowałem jako

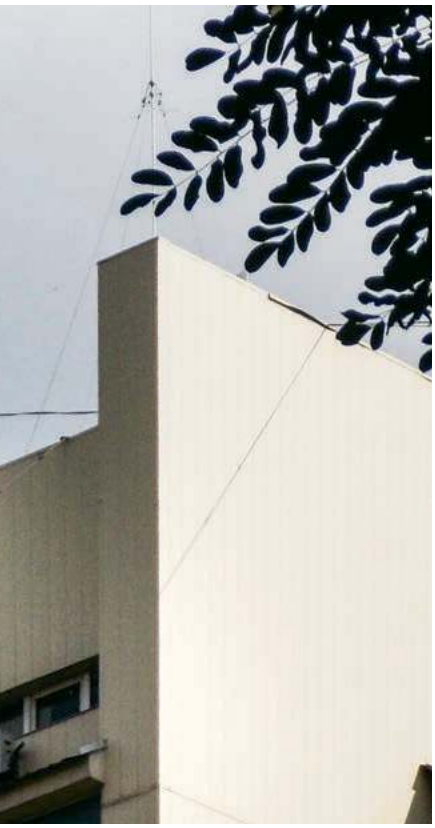

ARCHIWUM PRYWATNE BOHATERÓW REPORTAŻU

NIKITA TITOW DLA „TP" x2

*Prace ukraińskiego artysty Nikity Titowa pokazują, jak zwykli ludzie walczą o swoją wolność podczas wojny z Rosją.*

*Po lewej: w Doniecku rosyjskie systemy wojskowe do prowadzenia walki radioelektronicznej są często umieszczane na dachach cywilnych budynków.*

elektryk. Ale w ten sposób daję nadzieję tym, którzy mieszkają na wolnych terenach Ukrainy, że tutaj wciąż są ludzie czekający na jej powrót. To dowody na nasze istnienie. A dopóki tu jesteśmy, jest za co walczyć – mówi Sasza.

– Moje miasto zamieniło się w kolonię karną i muszę tu jakoś żyć. Wyjechać nie mogę, mam starych rodziców. Pisanie to forma terapii. Każdy proukraiński gest daje mi poczucie wolności. W sylwestra zamknąłem się w sypialni i słuchałem sobie cichutko ukraińskiej muzyki. To było moje prywatne święto – opowiada.

Sasza mówi, że w separatystycznych republikach kwitnie praktyka donosów. – Mogą cię skazać na więzienie za żart o Stalinie, jak za Sowietów. Jeśli sąsiadowi spodoba się twój samochód, może zgłosić władzom, że słuchasz w domu ukraińskiej muzyki.

Wszystko, co ukraińskie, jest zabronione i może być podstawą do aresztowania. Sasza wspomina, iż w kwietniu 2020 r. aresztowano 20-latka za to, że wrzucał na YouTube'a nagrania, na których śpiewał ukraińskie utwory.

Sasza: – Nikomu nie możesz ufać. Nie masz z kim szczerze porozmawiać. Podczas wojny pochowałem trzech przyjaciół, z którymi przyjaźniłem się latami, jeszcze z czasów naszej służby w armii ukraińskiej. Oni składali przysięgę, że będą służyć Ukrainie, a gdy zaczęła się wojna, poszli walczyć dla separatystów. Przy wódce opowiadali, jak rozstrzeliwali ukraińskich jeńców, a ja miałem świadomość, że mogę stać się takim jeńcem, jeśli zdradzę, co myślę. A przecież byliśmy jak bracia! Co się z nimi stało? Przed wojną spotykaliśmy się, by oglądać wspólnie mecze. Kibicowaliśmy, gdy grała Ukraina. A potem oni zginęli za Rosję. Podczas pogrzebów myślałem o tym, że stoję nad grobami morderców moich rodaków.

W 2020 r. Władimir Putin ogłosił uproszczoną procedurę uzyskania obywatelstwa dla mieszkańców Donbasu. Rosyjskie media podają, że przyjęło je dotąd 200 tys. ludzi. Sasza wrzuca do sieci zdjęcia tych, jak ich nazywa, „nowych Rosjan". Komentuje: „Blondynka w kwiecistej sukience. Urzędnik w strukturach tzw. DNR. Nauczycielka. Co was łączy? To, że jesteście zdrajcami! Bierzecie paszporty, bo boicie się, że zwolnią was z pracy? Bójcie się tego, co nastąpi, gdy wróci Ukraina! Już jesteście martwi. Sprzedaliście własne dusze!".

## Oczekiwanie

Faszyk mówi, że są trzy daty, gdy dla takich jak on życie staje się torturą: 1 maja (obchodzone w sowieckim stylu święto pracy), 9 maja (w Rosji Dzień Zwycięstwa, hucznie obchodzony także w Doniecku) i 11 maja (dzień sfałszowanego referendum i utworzenia DNR). – Maj to czas, gdy widzisz, jak sąsiad biega po mieście z flagą okupantów. Gdy nie możesz znieść, że kolega z pracy jeździ autem ukradzionym proukraińskim sąsiadom, którzy musieli uciekać. W maju widzisz, jak zacieśniają się mury twojego więzienia – mówi.

Denerwują go głosy, że jeśli okupowany teren Donbasu wróci na Ukrainę, kraj zyska 2 miliony nienawidzących Ukrainy obywateli. – A co Ukraina robi, żeby oni byli inni? Przez całe życie nie widziałem żadnego sensownego rządowego projektu, który jednoczyłby wschód i zachód Ukrainy. Nikt nie budował tożsamości narodowej. Dziś w Doniecku nie da się nawet odbierać radia ani telewizji po ukraińsku. Nasz blog nadrabia zaniedbania ukraińskiego rządu na polu informacyjnym.

Faszyk wierzy, że Donieck wróci kiedyś do Ukrainy: – Będę wśród tych, którzy pierwsi przejadą się czołgiem po wolnym Doniecku. Będę pomagać naszym wojskowym zdobywać to miasto. Mówią, że odzyskanie tych ziem może oznaczać straty wśród cywilów. Trudno. Ludność cywilna to my. Jesteśmy gotowi. Miejscowi separatyści nie boją się ukraińskiej armii. A kogo się boją? Nas, ludzi z Donbasu, którzy mają w sercach Ukrainę. Bo my wiemy, jak to się zaczęło. Wiemy, kto chodził na referendum, kto pomagał separatystom, kto donosił. Ci, którzy musieli wyjechać, wrócą do swoich domów i zapytają, gdzie są ich rozkradzione rzeczy. Powiedzą sąsiadom: sprzedaliście się za ruble! Dla nas nikt nie miał litości. I my nie będziemy jej mieć. Sami oczyścimy naszą ziemię.

On stąd nie wyjedzie: – Przeżyliśmy siedem lat cierpień, przeżyjemy i kolejnych piętnaście. Jeśli nie my, to nasze dzieci. Jesteśmy tu. Czekamy.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

# Kwestia czasu

MARTA ZDZIEBORSKA

**Jednym z pierwszych testów dla prezydentury Bidena będzie jego odpowiedź na epidemię. Koronawirus zabija już nawet 4 tys. Amerykanów dziennie.**

*Oddział covidowy St. Joseph Hospital w mieście Orange koło Los Angeles, 7 stycznia 2021 r.*

Ratownikom medycznym w Los Angeles postawiono sprawę jasno: nie przywozić do szpitala pacjentów z zawałem serca, którzy mają małe szanse przeżycia. Jeśli mimo czynności ratowniczych człowiek nie oddycha i nie można wykryć u niego pulsu, nie kwalifikuje się do hospitalizacji.

W liczącym 10 mln mieszkańców hrabstwie Los Angeles, gdzie na COVID-19 umiera średnio 230 osób dziennie (tj. jeden zgon na sześć minut), trzeba ustalać priorytety. Szpitale są przeciążone: chorzy upychani są na korytarzach, w salach konferencyjnych, na terenie szpitalnych sklepików. Karetki czekają na przyjęcie nawet po kilka godzin. Podobnie jak w szczytowym okresie epidemii w Nowym Jorku wiosną 2020 r., przepełnione są kostnice. Jest tak źle, że zmarłych przewozi się do prowizorycznych kontenerów chłodniczych, stojących na parkingu przy biurze koronera w Los Angeles.

Tylko w ciągu jednej doby, 13 stycznia, odnotowano tu 14,5 tys. nowych zakażeń. To ponad 40 proc. dobowych infekcji w całym stanie. Epidemia rozpędza się też w innych rejonach południowej Kalifornii, gdzie powstają kolejne szpitale polowe.

### Nowe epicentrum

Nagły wzrost zakażeń i zgonów nastąpił pod koniec 2020 r., gdy zmęczeni restrykcjami mieszkańcy Kalifornii spotykali się w rodzinnym gronie w Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie. Na efekty nie trzeba było długo czekać. W ciągu zaledwie miesiąca liczba covidowych zgonów w 40-milionowym stanie wzrosła z 20 tys. do 30 tys.

To bardzo duży przyrost, bo pierwszych 10 tys. zgonów odnotowano tu „dopiero" po pół roku epidemii. Koronawirus długo obchodził się z Kalifornią dość łagodnie. Niemały wpływ miała na to polityka gubernatora stanu Gavina Newsoma, który na wczesnym etapie wprowadził nakaz pozostania w domach i ostrożnie odmrażał stanową gospodarkę. Dziś o zasługach Newsoma mało kto pamięta, wielu natomiast przeklina go za to, że w niektórych częściach stanu po raz kolejny wprowadził restrykcje. Ale musiał: Kalifornia jest teraz nowym epicentrum epidemii, która w całym kraju zabiła już ponad 379 tys. Amerykanów.

Anita Sircar, lekarka chorób zakaźnych ze szpitala Providence Little Company of Mary w Torrance na przedmieściach Los Angeles, opowiada „Tygodnikowi" o sytuacji: – Od końca października nie miałam ani jednego dnia wolnego. Na oddziale spędziłam Halloween, Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i Nowy Rok. Nie mogę pójść na urlop, bo mamy za mało lekarzy. Pielęgniarkom też jest ciężko, dwoją się i troją, by zająć się nowymi pacjentami. Na oddziałach jest teraz ok. 175 chorych na COVID-19. Wielu trafiło do nas, bo prawdopodobnie zarazili się od rodziny w święta. Wiesz, że mamy nawet pacjentów z Arizony, Newady czy stanu Waszyngton? Wszyscy przylecieli do Kalifornii, by odwiedzić bliskich. No i doczekali się. Zachorowali, zanim zdążyli wsiąść w samolot powrotny.

Lekarka opowiada o pacjencie z przeszczepioną nerką, który nie zrezygnował z rodzinnych świąt, choć wiedział, że ma obniżoną odporność i w razie zakażenia ryzykuje powikłaniami. Pech chciał, że jeden z uczestników świątecznej kolacji miał koronawirusa. – Ma teraz poważne problemy z oddychaniem i potrzebuje coraz więcej tlenu. Niewykluczone, że konieczne będzie podłączenie go do respiratora – mówi Anita Sircar.

– Niestety coraz częściej trafiają do nas całe rodziny – opowiada lekarka. – Niektórzy tłoczą się w małych mieszkaniach i wówczas nietrudno o infekcję. Umierają nawet ludzie po czterdziestce. Często osieracają małe dzieci. Ostatnio miałam przypadek kobiety w 8. miesiącu ciąży, na szczęście udało ją się odratować. Przebywa jeszcze w szpitalu pod obserwacją, a noworodek jest już w domu z ojcem.

Anita pracuje po 12-14 godzin dziennie. Ma tak mało czasu wolnego, że duże zakupy spożywcze robi tylko raz na miesiąc. Każdy jej dzień to kurs samochodem z domu do szpitala i z powrotem. Zatrzymuje się zwykle tylko na stacji benzynowej, żeby zatankować: – Pytasz, jak sobie z tym wszystkim radzę. Po prostu zaciskam zęby i staram się o tym nie myśleć. Gdy jestem w szpitalu, skupiam się na danym pacjencie i robię wszystko, żeby mu pomóc.

### Trudno mi się pozbierać

Davey Smith, lekarz chorób zakaźnych ze szpitala Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego, przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem", że miewa nocne ataki paniki. Ostatnie tygodnie są dla niego szczególnie ciężkie. Do jego szpitala trafia dwa razy więcej pacjentów niż zwykle i niektórzy są lokowani w namiotach rozstawionych na parkingu.

– Na szczęście w San Diego nie jest teraz tak zimno – Davey pociesza się tym, że w nocy temperatura nie spada niżej niż do 12 stopni.

Davey mówi, że największym problemem dla lekarzy są braki kadrowe: – Nie dość, że jest nas za mało, to jeszcze wciąż ktoś łapie koronawirusa i trzeba układać grafik na nowo. Ostatnio dużo do myślenia dała mi śmierć 48-letniego pacjenta. Był młodszy ode mnie tylko o rok. Choć nie miał problemów z obniżoną odpornością, wirus pokonał go w ciągu kilku dni. Na COVID-19 zmarł też mój nauczyciel matematyki z liceum i mama mojego najlepszego kolegi. Trudno mi się po tym pozbierać – dodaje lekarz.

Koronawirus nie oszczędza Amerykanów. We wtorek 12 stycznia odnotowano najwięcej zgonów od wybuchu pandemii: w ciągu jednej doby zmarło ponad 4,3 tys. ludzi. W całym kraju szybują też statystyki nowych zakażeń: średnio ponad 200 tys. dziennie. Oprócz Kalifornii najwięcej jest ich w stanach Arizona, Oklahoma, Rhode Island i Arkansas.

### Tylko nie lockdown

Choć dane powinny niepokoić, niewiele stanów chce słyszeć o wprowadzaniu kolejnych restrykcji. Broni się przed tym nawet gubernator stanu Nowy Jork Andrew Cuomo, który wiosną 2020 r. zarządził 2,5-miesięczny lockdown. „Nie możemy pozwolić, by do czasu rozdystrybuowania szczepionek wszystko było zamknięte. W przeciwnym razie nie będzie już czego otwierać" – stwierdził na Twitterze. O restrykcjach nie chcą też słyszeć władze Arizony, które ignorują apele pracowników służby zdrowia, by wprowadzić stanowy nakaz noszenia masek, zamknąć bary i siłownie.

Gubernatorzy skupieni są teraz na dystrybucji szczepionek. A ta jak na razie idzie opornie: do połowy stycznia w całym kraju zaszczepiono tylko ponad 10 mln ludzi – znacznie mniej niż zakładano. Tylko do końca zeszłego roku pierwszą dawkę miało dostać 20 mln Amerykanów.

Jeszcze przed przekazaniem władzy Joemu Bidenowi administracja Donalda Trumpa wezwała gubernatorów do jak najszybszego zaszczepienia osób powyżej 65. roku życia. To jednak zdaniem niektórych ekspertów może wprowadzić dodatkowy chaos. Większość stanów postępowała według wcześniejszych wytycznych federalnych i skupiła się najpierw na pracownikach służby zdrowia i mieszkańcach domów seniora. Ale ostateczna decyzja, kogo szczepić, należy i tak do władz lokalnych. Przykładowo hrabstwo Los Angeles oświadczyło, że na razie nie ruszy ze szczepieniem seniorów, bo nie ma mocy przerobowych.

ARCHIWUM PRYWATNE

**ANITA SIRCAR** *pracuje po 12-14 godzin dziennie. Od końca października nie miała ani jednego dnia wolnego.*

ARCHIWUM PRYWATNE

**DAVEY SMITH** *przyznaje, że miewa nocne ataki paniki. Ostatnie tygodnie są dla niego szczególnie ciężkie.*

JAE C. HONG / AP / EAST NEWS

### Walka o szczepionkę

– To chore, że władze lokalne trzymają szczepionki w zamrażarkach, zamiast podawać je starszym ludziom! – podnosi głos w rozmowie z „Tygodnikiem" Jon Cohen, którego 91-letnia matka czeka wciąż na pierwszą dawkę. Choć Jon jest dziennikarzem naukowym i pisze na co dzień o pandemii, trudno mu odnaleźć się w gąszczu sprzecznych informacji na temat szczepień.

– Dopiero po serii telefonów do firmy ubezpieczeniowej i do kilku znajomych medyków dowiedziałem się, że o dostępności szczepionki poinformuje mnie lekarz pierwszego kontaktu. Tylko kiedy to nastąpi?! – denerwuje się Jon. – Znam pielęgniarki, które wciąż czekają na szczepienie, choć są w priorytetowej grupie. Mam tego dość, że każdy mówi, by uzbroić się w cierpliwość i czekać na swoją kolej. Tu nie chodzi o mnie, ale o moją matkę, która od miesięcy prawie nie wychodzi z domu. Ona jest po prostu samotna – dodaje Jon, który w trakcie naszej rozmowy na Skypie dzwoni przez połączenie wideo do swojej mamy. Esther mieszka w Northridge, na przedmieściach Los Angeles.

W przeciwieństwie do Jona, jego mama zdaje się zachowywać stoicki spokój. Widzę, jak z promiennym uśmiechem żartuje, że i tak nie ma zbyt wielu okazji, żeby się zakazić. Mieszka sama, a w robieniu zakupów wyręcza ją młodsza siostra.

– Oczywiście boję się koronawirusa, ale wolę zbyt dużo o tym nie myśleć – przyznaje Esther. – Odpuściłam sobie nawet oglądanie w telewizji serwisów na temat pandemii. Nie chcę też śledzić relacji z przeciążonych szpitali w Los Angeles. Teraz bardziej interesuje mnie procedura impeachmentu – mówi, nawiązując do faktu, że Izba Reprezentantów właśnie przedstawiła Trumpowi zarzut „podżegania do rebelii". Chodzi o wydarzenia z 6 stycznia, gdy tłum jego zwolenników zaatakował Kapitol – po tym, jak prezydent zagrzewał ich do walki o odkręcenie wyniku wyborów. O tym, czy Trump zostanie uznany winnym, zdecyduje Senat. Ten zbierze się jednak dopiero po zaprzysiężeniu Bidena, które odbędzie się w środę 20 stycznia.

Na razie jedno jest pewne: epidemia, która w Stanach coraz bardziej się rozpędza, będzie wymagać od nowej administracji zdecydowanych działań. To kwestia czasu. Joe Biden musi szybko dowieść, że jego wyborcze obietnice coś znaczą i potrafi stawić czoło kryzysowi. ©

# Myślę, że zawiedliśmy

PATRYCJA BUKALSKA

**Dla państw, które wcześniej nieźle radziły sobie z pandemią, kolejna jej fala okazuje się wyzwaniem. A w Szwecji rozwiewa ostatnie złudzenia.**

Był taki moment, późną wiosną 2020 r., gdy wydawało się, że jesienią będzie już po pandemii. Przynajmniej taką nadzieję wydawał się mieć Anders Tegnell, szwedzki główny epidemiolog. „Jesienią będzie druga fala. Szwecja będzie miała już wtedy wysoki poziom odporności i poziom nowych przypadków będzie prawdopodobnie bardzo niski" – mówił w maju i powtarzał to później. W listopadzie Tegnell był zmuszony przyznać, że poziom odporności społeczeństwa jest niższy, niż zakładał. Liczba nowych infekcji i zgonów była wtedy w Szwecji najwyższa od miesięcy.

Jest styczeń, a sytuacja się nie poprawia. Po dwóch tygodniach nowego roku wskaźnik zakażeń w przeliczeniu na 100 tys. Szwedów wyniósł 790 i był znacznie wyższy niż we Włoszech (379) czy Francji (329). Jeszcze większy kontrast jest między Szwecją a jej sąsiadami: Finlandią (63 zakażenia na 100 tys. ludzi) i Norwegią (158). Ponadto od początku pandemii na COVID-19 zmarło znacząco więcej Szwedów (tysiąc na milion mieszkańców) niż Finów (111 osób na milion) czy Norwegów (94 osoby na milion).

### Osobną drogą

„Myślę, że zawiedliśmy. Mamy wielką liczbę zmarłych i to jest straszne" – powiedział pod koniec ubiegłego roku Karol XVI Gustaw (już sam fakt, że szwedzki król zabrał głos, był niezwykły – zdarza się to rzadko). Potem doprecyzowano, że królowi nie chodziło o szwedzką strategię walki z epidemią, lecz o doświadczenie całego kraju i społeczeństwa.

Niemniej sposób, w jaki rząd Szwecji podchodzi do pandemii, jest coraz mocniej krytykowany – przyjęta strategia określana jest jako pasywna, defetystyczna, wynikająca z przekonania, że i tak niewiele da się zrobić. Spada też społeczna akceptacja: w grudniu poparcie dla Andersa Tegnella zmniejszyło się o 13 pkt. proc. do 59 proc. (to wciąż dużo, ale najmniej od początku epidemii). Gorzej jest z zaufaniem do władz: w grudniu wynosiło rekordowo niskie 34 proc. Również w mediach coraz częściej przebijają się głosy krytyczne.

Przypomnijmy, że gdy reszta Europy pogrążała się w kolejnych lockdownach, Szwedzi żyli swobodnie, nie musieli nosić maseczek, otwarte były restauracje czy kina. Oficjalnie odrzucano stwierdzenia, jakoby celem było osiągnięcie tzw. odporności stadnej (poprzez rozprzestrzenianie się wirusa i w efekcie przebycie choroby przez większą część populacji), jednak wątek ten nieustannie się pojawiał.

Sceptycy podważali zasadność naukową takiego podejścia (bo SARS-CoV-2 to nowy wirus i nikt nie wie, jakie długofalowe skutki może mieć choroba ani jak długo utrzymują się przeciwciała po przechorowaniu), a także jego aspekt etyczny – bo w Szwecji pandemia w szczególnie tragiczny sposób dotknęła pensjonariuszy domów opieki, którzy nie byli wystarczająco chronieni. W tej sprawie powołano komisję, która niedawno opublikowała swój krytyczny raport.

Choć Tegnell zdecydowanie odrzucał zarzuty, że po cichu stawia na odporność stadną, to jednak – jak pokazują jego maile kierowane do innych naukowców, a ujawnione w szwedzkiej prasie oraz w amerykańskim piśmie „Foreign Policy" – w jakiś sposób taki właśnie cel dopuszczał, nie wierząc najwyraźniej, że inne środki (jak testowanie i śledzenie kontaktów oraz kwarantanna) mogą być skuteczne.

### Nowy rok, nowa fala

Mimo braku przekonania do skuteczności restrykcji, pod koniec grudnia szwedzkie władze zdecydowały się jednak na wprowadzenie pewnych ograniczeń, np. limitowanie liczby osób podczas spotkań w strefie publicznej do ośmiu. Sklepy, siłownie i podobne miejsca pozostają otwarte, ale ograniczono liczbę osób w nich przebywających (jedna osoba na 10 metrów kwadratowych). Otwarte pozostają restauracje – przy stoliku może jednak siedzieć tylko czworo gości, a po godzinie 20 nie wolno sprzedawać alkoholu. W porównaniu do innych krajów są to nadal łagodne ograniczenia.

Zwolennicy strategii Sztokholmu uważają, że z oceną szwedzkiej drogi trzeba poczekać do końca epidemii. Choć do niedawna mieli nadzieję, że na koniec ostateczna liczba ofiar mogłaby być podobna w Szwecji jak w innych krajach, to teraz – biorąc pod uwagę kolosalną już różnicę między Szwecją a choćby innymi krajami skandynawskimi, o podobnych uwarunkowaniach kulturowych – jest to nadzieja mało realna.

Nie sprawdza się też argument, że odrzucając lockdown, Szwedzi ochronili gospodarkę. Dane za drugi kwartał 2020 r. – czas wiosennego lockdownu w znacznej części Europy – pokazują, że PKB Szwecji zmniejszył się wtedy o 8,6 proc., podczas gdy Finlandii jedynie o 3,2 proc. Powodem były m.in. mniejsze wpływy z turystyki. Latem i jesienią szwedzka gospodarka zaczęła się podnosić, ale potem nadeszła druga fala.

Sam Tegnell przyznał w grudniu, że jest zaskoczony skalą drugiej fali epidemii, i że w niektórych miejscach kraju sytuacja osiąga punkt krytyczny (np. w regionach Sztokholm i Skåne szpitale musiały odkładać mniej pilne operacje). Jednocześnie dodał, że „w zasadzie każdy kraj teraz się z tym zmaga".

Akurat tu trudno odmówić mu racji, bo jesienno-zimowa fala uderzyła z wielką siłą w całej Europie – także w krajach, które wcześniej postrzegano jako wzór zmagań z wirusem.

### Pomoc z Norwegii

Jeszcze do niedawna Słowacja uchodziła za państwo, które radzi sobie z epidemią bardzo dobrze. Szczególnie kontrast z jej sąsiadem, Czechami, był jesienią uderzający: gdy Czechów pogrążały szybujące statystyki zakażeń i zgonów, Słowacy postawili na masowe testowanie populacji i wydawało się, że są bliscy pełnej kontroli nad wirusem.

Teraz Słowacja straciła pozycję prymusa, a komentatorzy wskazują, jak szybko nastąpiło przejście od „daliśmy radę" do „jesteśmy najgorsi na świecie". Rzeczywiście, dane Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC) nie są dla Słowacji dobre: w pierwszych dwóch tygodniach stycznia wskaźnik nowych infekcji na 100 tys. mieszkańców wyniósł 752 (jest to więc podobna skala co w Szwecji). Rośnie też

liczba ofiar – ostatnio jest to około stu dziennie, w 5-milionowym kraju.

Słowacki premier Igor Matovič mówi teraz o kolejnym masowym testowaniu – miałoby być powtarzane do skutku, aż odsetek pozytywnych testów będzie nie większy niż pół procent. Nie wiadomo jednak, kiedy ani jak byłyby one prowadzone. Jeśli chodzi o służbę zdrowia, to według szefa resortu problemem jest nie liczba łóżek w szpitalach – tych jest dość, brakuje natomiast personelu.

W tej sytuacji słowacki europoseł Michal Šimečka poprosił o pomoc norweskich lekarzy. Okazuje się bowiem, że wielu Norwegów studiowało medycynę na Słowacji, znają tamtejsze szpitale, a niektórzy także język. Wstępnie władze norweskie i słowackie dały temu pomysłowi zielone światło, podobno zgłaszają się pierwsi chętni. „Doceniam to, że w takich chwilach polityka odchodzi na bok i razem staramy się zrobić coś dobrego" – stwierdził Šimečka, który jest też wiceprzewodniczącym opozycyjnej partii Postępowa Słowacja.

### Jak na wojnie

Kolejny europejski kraj, który po świętach musi mierzyć się z niespotykaną tam wcześniej skalą zakażeń, to Irlandia. Po pierwszej dekadzie stycznia osiągnęła ona jeden z najwyższych poziomów na świecie: według ECDC wskaźnik zakażeń na 100 tys. mieszkańców wynosi aż 1253 (gorzej w Europie jest tylko w Czechach: 1513). Okazuje się, że w ciągu kilkunastu dni, które minęły od świąt do 11 stycznia, w Irlandii zakaziło się więcej osób niż wcześniej od połowy września do świąt. Przyspieszenie w transmisji wirusa jest największym problemem – to oraz wydolność służby zdrowia, która zaczyna się uginać pod naporem tej fali infekcji.

W połowie minionego tygodnia kilkanaście szpitali w Irlandii – w tym placówka w Drogheda, główny szpital w hrabstwie Louth – raportowało, że na intensywnej terapii nie mają ani jednego wolnego łóżka. „To jak strefa wojny" – mówił jeden z lekarzy dziennikowi „The Irish Times". Natomiast szpital w Dundalk w tym samym hrabstwie był zmuszony zaprzestać przyjmowania chorych. Hrabstwo Louth jest na drugim miejscu pod względem skali zakażeń: w pierwszych dwóch tygodniach stycznia notowano tam aż 2300 przypadków na 100 tys. mieszkańców.

W szpitalach brakuje też personelu. Dlatego mają wstrzymać mniej pilne zabiegi i wypisywać szybko innych pacjentów. Wszystko po to, by zrobić miejsce dla chorych na COVID-19.

Skąd tak nagły wzrost zakażeń w Republice Irlandii, która ma niemal tyle samo obywateli co Słowacja? Wskazuje się na świąteczne rozluźnienie obostrzeń. Nie bez wpływu jest też zapewne otwarta granica z Irlandią Północną – i nowa, łatwiej się rozprzestrzeniająca odmiana wirusa, która dominuje w Wielkiej Brytanii.

### Nadzieja, choć odległa

W Irlandii, podobnie jak w innych krajach Unii oraz w Wielkiej Brytanii, trwa już akcja szczepień. Jednak zdaniem przedstawicieli irlandzkiego Zarządu Służby Zdrowia nie jest to rozwiązanie, za sprawą którego można szybko poradzić sobie z obecną falą zakażeń. Potrzeba czasu. Do końca września 2021 r. Irlandczycy chcą zaszczepić 4 mln osób – wszystkich dorosłych. Do końca lutego szczepionkę mają otrzymać wszyscy lekarze rodzinni i ich personel.

Szczepi się również w Szwecji. Co ciekawe, choć to kraj o wysokim poziomie zaufania społecznego, to jednak i tutaj jest spora grupa osób, które nie chcą się szczepić na COVID-19. Faktem natomiast jest, że nieprzekonanych ubywa: w sierpniu było ich aż 37 proc., a w listopadzie 26 proc. Na zmianę nastrojów mogła mieć wpływ druga fala pandemii i wzrost liczby ofiar śmiertelnych.

Wśród sceptyków przeważają osoby, które boją się skutków ubocznych – i być może uznają one ostatecznie, że choroby boją się jednak bardziej. Bo tylko 2 proc. szwedzkich sceptyków uważa, że wszystkie szczepionki są złe. ©℗

*Na stacji metra w Sztokholmie, 7 stycznia 2021 r.*

JESSICA GOW / TT NEWSAGENCY / FORUM

# Czeski bunt

ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI

**Kraj znów jest na szczycie światowego covidowego antyrankingu, ale w Czechach mało kogo ruszają jeszcze słupki zakażeń. Ludzie chcą na narty. I chcą pracować.**

Porzucone pod śmietnikami choinki zastąpiły puste butelki po alkoholu. Mieszkańcy Pragi wrócili do stolicy po świątecznej przerwie – strefy do parkowania ponownie zapełniły się samochodami. A z ołowianego nieba spadł wreszcie śnieg. Zmiana scenerii to dowód, że życie w pozornie wymarłym mieście toczy się mimo wszystko dalej.

Tymczasem kolejna fala epidemii uderza w Czechy jak rozpędzona lawina. Niektórzy przepowiadali ją już na początku grudnia, gdy obywatele dostali od rządu dwutygodniowy karnawał przedświątecznych zakupów, wizyt u fryzjera, masażystów i manikiurzystek, pocenia się w klubach fitness i odprężenia w saunach. Konsekwencje były do przewidzenia. Ale ich perspektywa nie skłoniła do ostrożności. Podobny scenariusz kraj przerabiał już jesienią: po letnich miesiącach bez obostrzeń słupki zakażeń poszybowały wtedy w górę.

W ślad za rosnącymi wskaźnikami epidemicznymi poszły znów decyzje władz. Już w czwartek 17 grudnia wieczorem prażanie spieszyli więc na ostatnie piwo w gospodzie. Dzień później zamknięto restauracje, a także kluby fitness. Wróciła też godzina policyjna. W sylwestra huczało od fajerwerków do przepisowej godziny 21, po czym nastała cisza. O północy strzelali tylko nieliczni – choć teoretycznie ulice powinny być puste.

### Szturm na stoki

Jednak Czesi nie chcą już siedzieć w domu. Od początku roku oblężenie przeżywają stoki narciarskie – choć formalnie pozostają zamknięte co najmniej do piątku 22 stycznia. Tego dnia ma się zakończyć stan wyjątkowy. Teoretycznie, bo prawdopodobnie zostanie przedłużony o kolejny miesiąc. Rząd miał podjąć decyzję w tej sprawie w miniony podziedziałek, już po zamknięciu tego numeru „Tygodnika".

I tak, aby wjechać do Bedřichova pod Libercem w drugą sobotę stycznia trzeba było uzbroić się w cierpliwość: na drodze stała kilometrowa kolumna aut. Parking w okolicy stoku był pełny, ludzie tłoczyli się w kolejkach przed okénkami wydającymi gorące napoje, tłumy ruszyły też na trasy biegowe. Tak było nie tylko w Bedřichovie w Górach Izerskich, gdzie w końcu policja na sześć godzin ograniczyła ruch. Minister spraw wewnętrznych Jan Hamáček przyznał, że nie wie, jak skutecznie wdrożyć restrykcje, bo poruszanie się na świeżym powietrzu w gronie rodziny nie jest przecież zabronione.

Równocześnie w środę 6 stycznia odnotowano prawie 18 tys. nowych zakażeń – w niespełna 11-milionowym kraju. To dotychczasowy pandemiczny rekord. Czechy wspięły się tym samym na szczyt światowego covidowego antyrankingu, wyprzedzając Stany Zjednoczone i Belgię (w ubiegłym tygodniu Polska figurowała na 13. miejscu na liście 30 krajów najbardziej dotkniętych pandemią).

Już pod koniec grudnia pozytywny wynik odnotowywano u co drugiej testowanej osoby. Łącznie w Czechach chorowało dotąd ponad 875 tys. ludzi, z których niemal 14 tys. zmarło. Aby zwiększyć wykrywalność wirusa, od połowy grudnia wszyscy ubezpieczeni mogą się bezpłatnie (i do tego wielokrotnie, co pięć dni) przetestować za pomocą testu antygenowego. Początkowo akcja miała trwać miesiąc, ale została przedłużona ze względu na pogarszającą się sytuację.

Wykres z epidemicznymi słupkami wciąż przypomina sinusoidę. Jedynym ratunkiem wydaje się – tak jak dla reszty świata – szczepionka.

### Największa operacja od wojny

To nie 76-letni prezydent Miloš Zeman dostał jako pierwszy swoją dawkę. Wyprzedził go o 10 lat młodszy premier Andrej Babiš – zresztą pierwszy zaszczepiony przywódca w Europie. Szczepienia ruszyły w Czechach tuż po Bożym Narodzeniu, 27 grudnia. Premier odegrał rolę królika doświadczalnego, który ma przekonać sceptyków – w mediach społecznościowych pojawiały się bowiem głosy, że „pozwolą się kłuć" dopiero po Babišu.

Ten skwitował historyczny moment zdawkowym „*Hotovo!*" (Gotowe!) na Twitterze, choć największa powojenna operacja logistyczna, jaką będzie zaszczepienie 6-7 milionów Czechów, musi się dopiero zacząć. Rokuje się, że potrwa dziewięć miesięcy. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem (którego jeszcze nie ma), wszyscy, którzy kwalifikują się do szczepionki, otrzymają ją przed październikowymi wyborami parlamentarnymi. „Jeżeli dożyjemy" – krążą czarne żarty w mediach społecznościowych.

Minister zdrowia Jan Blatný chciałby szczepić 100 tys. osób dziennie, z czego połowę w gabinetach lekarzy pierwszego kontaktu, którzy już teraz są przytłoczeni obowiązkami. Ale na razie nie ma jeszcze czym szczepić. Grudniowy harmonogram szczepień przewidywał łącznie ok. 358 tys. dawek w styczniu i 640 tys. w lutym. Kolejnych 900 tys. miałoby dotrzeć do Czech w marcu. Natomiast dostawy idące w miliony mają trafić do kraju dopiero między kwietniem a wrześniem.

### W cieniu dezinformacji

Choć szczepienia grup priorytetowych ruszyły dwa tygodnie temu, wciąż brakuje kampanii wyjaśniającej, dlaczego warto się zaszczepić i dlaczego nie ma powodów do obaw. Ministerstwo Zdrowia zamierza informować obywateli od lutego – kiedy w końcu zostanie obsadzone stanowisko dyrektora wydziału komunikacji publicznej. Ale zdaniem niektórych jest już za późno. Dominik Presl – analityk firmy Semantic Visions, zajmującej się analizą danych i oceną ryzyka – uważa, że już od jesieni w sieci krąży więcej dezinformacji, która ma zastraszyć i kreować negatywny obraz szczepionek w społeczeństwach zachodnich.

W sieciach społecznościowych codziennie przybywa antyszczepionkowych komentarzy. „Jestem stara, ale nie głupia, nie ufam szczepionce, powstała za szybko" – pisała na początku stycznia seniorka Jiřina Růžičková na Facebooku. A Hynek Kuczman stwierdzał na tym sa-

GABRIEL KUCHTA / GETTY IMAGES

*Protestując przeciw zamknięciu branży gastronomicznej, czescy restauratorzy utworzyli „ścieżkę nadziei" z kufli i kieliszków ze świeczkami w środku. „Ścieżka" prowadziła od siedziby rządu na stołeczny Rynek Starego Miasta. Praga, 3 stycznia 2021 r.*

mym portalu, że „woli umrzeć z powodu choroby zakaźnej niż szczepionki". Szczepić nie chce się nawet prezydent Zeman, bo „jako dziecko bardzo często chorował, dostawał wiele zastrzyków i od tego czasu czuje niechęć do igieł".

Już w grudniu było wiadomo, że niechęć Czechów wobec szczepionek jest znacząca. Agencja badawcza Median przeprowadziła wówczas ankietę na zlecenie czeskiego radia. Wynikało z niej, że 47 proc. respondentów nie chce słyszeć o szczepionce. Za szczepieniami opowiadało się wtedy 40 proc. ankietowanych.

Według analityka Presla kampania na rzecz szczepień powinna rozpocząć się jeszcze we wrześniu, gdy dezinformacja zaczęła się nasilać. „Teraz każdy spot Ministerstwa Zdrowia będzie miał ograniczoną skuteczność, bo ludzie byli za długo wystawieni na odbiór dezinformacji" – twierdził Presl w mediach. Fakt, że rząd znów zaspał, jest krytykowany przez opozycję. Poseł Dominik Feri mówił: „Kampania powinna ruszyć już latem. Proponowałem wówczas współpracę ministrowi zdrowia, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Widocznie nie zależy mu na współpracy z opozycją".

### Koordynator szuka porady

Tuż przed świętami premier Babiš zaprzestał poszukiwań kandydata do funkcji specjalnego komisarza ds. szczepień. Stwierdził, że sam nim zostanie. Bo to on – ze względu na bogate doświadczenie menadżerskie – miałby najlepiej nadawać się do koordynowania szczepień. Polityk i zarazem właściciel konglomeratu Agrofert liczy, że w ten sposób pokaże swą skuteczność w sytuacjach kryzysowych – tak jak na początku pandemii w marcu 2020 r., gdy działał na własną rękę, byle tylko zachować wizerunek zdecydowanego przywódcy.

Zdaniem komentatora tygodnika „Respekt" to zadanie może ostatecznie obnażyć niekompetencję premiera. Bo choć czasu na wypracowanie strategii było dość, Babiš długo nie potrafił określić, gdzie odbędą się szczepienia, jak zostaną sporządzone listy grup ryzyka itd. Wersja premiera brzmiała, że Czechy są przygotowane do szczepień, a zawiodła znów Unia Europejska, bo nie dostarczyła obiecanej liczby szczepionek. Od połowy stycznia Babiš szuka porad za granicą, m.in. w Izraelu i Wielkiej Brytanii – krajach, które swoich obywateli szczepią w wyjątkowo szybkim tempie.

W międzyczasie Czechy – mimo najgorszej sytuacji epidemiologicznej – pozostają więc ze szczepieniami w tyle w porównaniu z resztą Europy. Do połowy minionego tygodnia szczepionkę otrzymało tylko 70 tys. osób. To w przeliczeniu 0,67 zaszczepionej osoby na 100 tys. mieszkańców, gdy tydzień temu średnia w Unii wynosiła 0,76 na 100 tys. osób.

Nic dziwnego, że narasta krytyka wobec rządu. „Dysponujemy niewielką liczbą szczepionek, a wedle moich informacji nie zostały one zużyte" – mówił w telewizji szef Senatu Miloš Vystrčil. Również *hejtmani* (odpowiednicy wojewodów) zgłosili swoje zastrzeżenia odnośnie do funkcjonowania centralnego systemu rejestracji szczepień.

### Niech zdechnie pies

Szczepionkowy chaos obnaża nieudolność rządu i pogłębia niechęć Czechów wobec nakładanych restrykcji. W niedzielę 10 stycznia na praskim Rynku protest zgromadził kilka tysięcy ludzi bez maseczek. Protestujących poparł były prezydent Václav Klaus, który nie zostawił na rządzie suchej nitki. Stwierdził, że „zamrażanie gospodarki mija się ↦

↦ z celem, bo koronawirus i tak robi, co chce, bez względu na to, jak głośno szczeka PES".

Klaus nawiązał tu do systemu oceny sytuacji epidemiologicznej, w skrócie PES, który wprowadzono w listopadzie. Miał on zwiększyć przejrzystość wprowadzanych obostrzeń – każdemu z pięciu stopni ryzyka odpowiadają inne przepisy. I towarzyszy im inny wizerunek psa: od zadowolonego z wywieszonym językiem w stopniu zielonym do warczącego z nastroszonymi uszami w fazie fioletowej.

Mimo to Czesi wciąż są zdezorientowani, bo władze są niekonsekwentne. Przykładowo w pewnym momencie zabroniono sprzedaży kawy na wynos, aby zapobiec gromadzeniu się ludzi na ulicach, po czym zakaz cofnięto po czterech dniach. Oficjalne przejście z jednego stopnia PES na inny powinno następować w przypadku pogorszenia się sytuacji, które utrzymuje się przez trzy dni, bądź też polepszenia przez siedem dni z rzędu. Jednak rząd nie przestrzega tego systemu, co spotyka się z krytyką opozycji i części ekspertów. Np. wszystkie sklepy i punkty usługowe pozostały otwarte aż do samych świąt, mimo ciągłego wzrostu zakażeń i wcześniejszego zamknięcia restauracji.

**Od wielu miesięcy internet pełen jest dezinformacji,** która zastrasza i kreuje negatywny obraz szczepionek w społeczeństwach Zachodu.

Babiš, który kreuje się na obrońcę przedsiębiorców, prawdopodobnie nie chciał ich jeszcze bardziej rozjuszyć. Ale oni i tak mają już dosyć. W pierwszą niedzielę stycznia przedstawiciele branży gastronomicznej, których zrzesza inicjatywa „Chcípl PES" (Niech zdechnie pies), dali rządowi „ostatnie pokojowe ostrzeżenie": utworzyli „ścieżkę nadziei" z kufli i kieliszków ze świeczkami w środku. „Ścieżka" prowadziła od siedziby rządu na Maléj Straně na Rynek Starego Miasta. W ten sposób chcieli pokazać rządowi, że „poszkodowanych przedsiębiorców i osób prowadzących działalność gospodarczą jest znacznie więcej, niż myślą politycy. Nie chcemy się niepotrzebnie gromadzić, ale chcemy zabrać głos".

### Na froncie

Eksperci uważają, że aby poradzić sobie z pandemią i zapobiec powracaniu nowych fal zakażeń, konieczne jest zaszczepienie co najmniej 60 proc. populacji Czech. Ale jak Babiš ma zamiar przekonać sceptyków, skoro osoby publiczne pokroju byłego prezydenta otwarcie stwierdzają, że „cudowna szczepionka przecież nie istnieje" i szczepić się nie zamierzają? Na ten temat premier się nie wypowiada.

Obowiązki koordynatora szczepień najwyraźniej pochłonęły go na tyle, że nie docierają do niego nawoływania władz lokalnych o pomoc. Pracownicy ostrawskiego krematorium – jedynego w regionie – nie nadążają ze spopielaniem zmarłych. Choć „pracujemy na najwyższych obrotach", jak zaznacza właściciel Ivo Furmančík, pomieszczenia krematorium wypełnione są trumnami – 50 trumien trzeba było przetransportować do oddalonego o 200 km miasta Hustopeče pod Brnem. Według ministra spraw wewnętrznych w innych regionach niedługo też zabraknie miejsc. Minister zdrowia natomiast uważa, że nie ma powodu do obaw: miejsc wystarczy, a „ciała przewożone są między krematoriami nawet w mniej skomplikowanych czasach".

Służba zdrowia jeszcze daje sobie radę. Lekarz pierwszego kontaktu Jiří Štefánek pisze na Facebooku: „Ostatnie tygodnie były bardzo wymagające, ale wypracowaliśmy system, który działa. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale pacjenci są z niego całkiem zadowoleni". Štefánek przeszedł już COVID-19 i ma za sobą także szczepienie. Stara się promować szczepionkę, choć nie obiecuje cudów: „Spójrzmy prawdzie w oczy: SARS-CoV-2 nie zniknie nagle z powierzchni ziemi. Ale na tym etapie wystarczy, jeśli COVID-19 stanie się chorobą, która nie przeciąża szpitali i pozwoli nam normalnie funkcjonować przy zachowaniu minimalnych obostrzeń dławiących gospodarkę".

Hana Skleničková, która śledzi profil Štefánka, pyta, czy lekarz dalej zamierza nosić maseczkę. „Zakładam, że wszyscy, którzy poddadzą się szczepieniu w pierwszej kolejności, będą nadal zasłaniać usta i nos. Przynajmniej do czasu zaszczepienia grup ryzyka. Osobiście jestem temu przeciwny, ale potrafię sobie wyobrazić, że bez takiego nakazu nagle tysiące cudownie zaszczepionych obywateli paradowałoby bez maseczek".

© ULA IDZIKOWSKA

POŻEGNANIE

Z serdecznym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

## Krzysztofa Śliwińskiego

który poświęcił karierę naukową
na rzecz działalności w opozycji demokratycznej,
internowanego w stanie wojennym,
członka Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie,
dyplomaty – ambasadora w Maroku, w RPA
oraz pełnomocnika rządu RP do kontaktów z diasporą żydowską,
zamiłowanego teologa, zatroskanego o Kościół,
łącznika między ludźmi i środowiskami,
hojnego w przyjaźni i dzieleniu się swoją erudycją,
zawsze inspirującego i czarującego rozmówcy.

PRZYJACIELE I WSPÓŁPRACOWNICY ZE ZNAKU

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

Skoncentrowani na potrzebach biznesu

# S-Biznes internet symetryczny dla firm

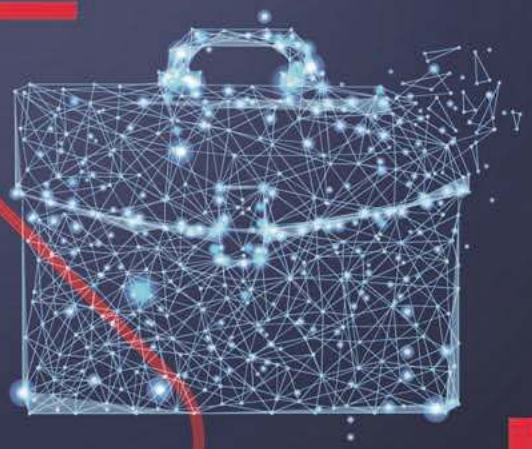

s-net.pl

## Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów

## Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu

- SLA 99,9% bezpieczeństwo sieci
- Wirtualna centrala do 25 stanowisk
- Hosting w chmurze Biznes Premium
- Techniczne wsparcie IT

S-Biznes 1000Mbps
1000/1000

S-Biznes 500Mbps
500/500

Sprawdź na s-net.pl

S-NET GRUPA TOYA +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

*Powrót arrasów na Wawel, rok 1961*

# DO KANADY I Z POWROTEM

60 lat temu zza Atlantyku do Polski wróciła ostatnia, największa część skarbów wawelskich. Ich wojenna i powojenna odyseja to scenariusz na film sensacyjny.

KRZYSZTOF TARKA

Był ostatni dzień roku 1960, gdy prof. Jerzy Szablowski, dyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu, podpisał dokument o przejęciu ponad 200 pamiątek historycznych, przechowywanych w Muzeum Prowincji w kanadyjskim Quebecu. Najcenniejszą część kolekcji stanowiły 132 arrasy wawelskie z połowy XVI w.

Kilka dni później zbiory zostały przewiezione z Kanady dwoma samochodami meblowymi do Bostonu, skąd zabrał je polski drobnicowiec „Krynica". 15 stycznia 1961 r. statek zawinął do portu w Gdyni, a cztery dni później specjalnym pociągiem skarby dotarły do Krakowa. Mimo nocnej pory i siarczystego mrozu na dworcu kolejowym zgroma-

dził się tłum mieszkańców. Historyczną chwilę podkreślało bicie dzwonu Zygmunta.

W ten sposób po ponad 20 latach na swoje miejsce wróciły bezcenne pamiątki narodowe.

### Z Wawelu do Francji

Ich odyseja zaczyna się we wrześniu 1939 r.

Gdy III Rzesza atakuje Polskę, Józef Krzywda-Polkowski – architekt pracujący na Wawelu i pełniący teraz funkcję komendanta obrony przeciwlotniczej zamku – postanawia ewakuować najcenniejsze zbiory, aby nie dostały się w ręce niemieckie. Jest zapobiegliwy, wszak granica z Niemcami jest całkiem blisko.

Architektowi pomaga kustosz dr Stanisław Świerz-Zaleski. Do dwudziestu blaszanych skrzyń i ośmiu cylindrycznych futerałów pakują arrasy Zygmunta Augusta, Szczerbiec (miecz koronacyjny, datowany na przełom XII/XIII w.), kolekcję regaliów ze skarbca królewskiego oraz broń, rzędy końskie, zbroje i kosztowności.

Wieczorem 3 września, gdy Wehrmacht zbliża się powoli do Krakowa – na zachodzie walki trwają już pod Oświęcimiem, a na południu pod Mszaną Dolną – bezcenne zbiory kultury narodowej umieszczają na galarze węglowym (barce). Mimo ogromnego ryzyka po sześciu dniach dopływają szczęśliwie do Kazimierza Dolnego. Następnie chłopskimi furmankami, a później trzema autobusami i ciężarówką, poprzez Lublin, Łuck i Zbaraż, 17 września docierają do nadgranicznych Kut nad Czeremoszem.

W nocy konwój przekracza granicę z Rumunią, a po kolejnych 10 dniach dociera do Bukaresztu. Najcenniejsze zbiory (arrasy i Szczerbiec) zostają umieszczone na terenie ambasady brytyjskiej, a pozostałe – polskiej. Po nieudanej próbie wywiezienia skarbów do Watykanu, w drugiej połowie listopada Krzywda-Polkowski i Świerz-Zaleski przewożą je pociągiem do Konstancy nad Morzem Czarnym. Stąd kilka dni później wypływają rumuńskim statkiem i przez Pireus, Maltę oraz Genuę 8 stycznia 1940 r. docierają do Marsylii, skąd koleją jadą do Aubusson w środkowej Francji, miasta znanego z wyrobu gobelinów i dywanów. Tu arrasy oczyszczają z brudu i poddają przeglądowi konserwatorskiemu.

### Przez Szkocję do Kanady

W maju 1940 r. Niemcy atakują Francję – zbiory znów są zagrożone. W połowie czerwca, gdy klęska Francuzów jest coraz bardziej realna, Krzywda-Polkowski i Świerz-Zaleski przewożą je wynajętą ciężarówką do Bordeaux, a stąd statkiem „Chorzów" docierają do Wielkiej Brytanii.

Jeszcze we Francji kolekcja powiększa się o ok. 50 pozycji inwentarzowych, takich jak modlitewnik królowej Bony i regalia z Zamku Królewskiego w Warszawie (berło, szpada koronacyjna i łańcuch Orderu Orła Białego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego). Ze zbiorów Biblioteki Narodowej pochodzą z kolei najstarsze kolekcje piśmiennictwa polskiego: „Kazania świętokrzyskie", „Psałterz floriański", „Kroniki" Galla Anonima i Kadłubka, Biblia Gutenberga oraz rękopisy polonezów Chopina.

Wielka Brytania nie jest jednak ostatnim przystankiem na wojennym szlaku skarbów. Rząd polski podejmuje decyzję o ewakuacji zbiorów do Kanady, odległej i bezpiecznej. Już na początku lipca 1940 r. zostają przewiezione pociągiem do Glasgow w Szkocji, a stąd do portu Greenock, gdzie zostają załadowane na statek „Batory". Polski liniowiec, który wiezie też złoto z Banku Anglii, płynie w konwoju eskortowanym przez brytyjskie okręty.

Choć Atlantyk patrolują niemieckie okręty podwodne, podróż przebiega bez przeszkód i 12 lipca „Batory" zawija do portu w Halifaksie. Po rozładunku zbiory, eskortowane przez policję kanadyjską, docierają do Ottawy. Władze Kanady zgadzają się na ich przechowanie, ale zastrzegają, że nie ponoszą za nie odpowiedzialności. Kolekcja zostaje umieszczona na obrzeżach Ottawy, na tzw. Farmie Eksperymentalnej – w budynku należącym do Archiwum Narodowego. Przebywa tam w dobrych warunkach aż do początku 1945 r.

Mimo ciągłych przenosin zbiory nie ulegają nawet uszkodzeniu, trzeba je tylko czyścić z kurzu i brudu. Krzywda-Polkowski kupuje też nowe skrzynie, a dla arrasów, które wraz ze Świerzem-Zaleskim podszył dla wzmocnienia płótnem, buduje specjalny stelaż, na którym leżą one nawinięte na drążki.

### Zdążyć przed komunistami

Los skarbów staje się ponownie niepewny, gdy w końcowym okresie II wojny światowej władzę w Polsce przy wsparciu Kremla zdobywają komuniści. Polscy emigranci obawiają się, że po powrocie do kraju zbiory mogłyby zostać skonfiskowane przez nowe władze w Warszawie, a nawet wywiezione do Związku Sowieckiego. Już raz, po trzecim rozbiorze Polski w 1795 r., arrasy zostały zrabowane na rozkaz władz carskich i wywiezione do Petersburga. Do Polski wróciły dopiero na mocy traktatu ryskiego w latach 20. XX w.

W tej sytuacji Krzywda-Polkowski, Świerz-Zaleski i poseł reprezentujący w Kanadzie rząd RP Wacław Babiński podejmują decyzję, aby rozdzielić zbiory na kilka grup. W marcu 1945 r. zabytkowe księgi oraz Szczerbiec i mniejsze precjoza składają w dwóch kufrach w skarbcu Bank of Montreal w Ottawie. Ze względów bezpieczeństwa depozyt zostaje zarejestrowany jako ich wspólna własność i nie może być wydany bez ich pisemnego upoważnienia. Z kolei 24 kufry z arrasami i bronią wywożą w maju z Farmy Eksperymentalnej do klasztoru redemptorystów Saint Anne de Beaupré pod miastem Quebec. Cała operacja trwa ponad tydzień, gdyż dla zatarcia śladów zbiory są przekazywane z jednej firmy przewozowej do drugiej. Natomiast dziewięć kufrów zawierających głównie militaria (zbroje, tarcze, rzędy końskie) zostaje zdeponowanych na początku czerwca – i także okrężną drogą – w klasztorze Przenajświętszej Krwi w Ottawie.

Na Farmie Doświadczalnej pozostaje tylko kilkadziesiąt przedmiotów o mniejszej wartości (gobeliny, dywany, obrazy i chorągiew wojsk Jana III Sobieskiego z bitwy z Turkami pod Parkanami). Skarby zostają więc zabezpieczone, zanim 6 lipca 1945 r. Kanada wycofuje uznanie dla rządu RP w Londynie i uznaje władze w Warszawie, zdominowane przez komunistów.

### Z Ottawy do Wilna (w Ontario)

Przybyły do Ottawy wiosną 1946 r. poseł pojałtańskiej Polski, Alfred Fiderkiewicz, zaczyna poszukiwania skarbów, aby sprowadzić je do kraju. W maju tegoż roku spotyka się z opiekunami zbiorów w nadziei, że dowie się od nich, gdzie zostały ukryte. Ci jednak odmawiają przekazania mu informacji. Z czasem Świerz-Zaleski skłania się do współpracy z wysłannikiem Warszawy. Niebawem ↦

zdradza Fiderkiewiczowi, gdzie są ukryte skarby – w zamian za co dostaje pracę w poselstwie jako kustosz, z wysoką pensją 300 dolarów miesięcznie.

Krzywda-Polkowski wraz z Babińskim przenoszą jednak wcześniej kufry z arrasami w nowe miejsce – do klasztoru Hôtel-Dieu w Quebec City. Zbiory znajdujące się w klasztorze w Ottawie deponują w kościele św. Marii, w wiosce Wilno w prowincji Ontario, 150 km na zachód od stolicy Kanady. Tamtejszy proboszcz jest znajomym Babińskiego.

W końcu sierpnia 1946 r. Świerz-Zaleski – już jako pracownik komunistycznej ambasady – przeprowadza inwentaryzację zbiorów przechowywanych w oddziale Banku Montrealskiego w Ottawie. Po zamknięciu kufrów kładzie na nich pieczęcie poselstwa. Dyrektor banku odmawia mu jednak wydania depozytu. Kilka dni później warszawska ambasada przejmuje jednak zbiory pozostawione na Farmie Doświadczalnej. We wrześniu 1948 r. zostają one wysłane statkiem do Polski i trafiają na Wawel.

Niepowodzeniem kończą się za to poszukiwania skarbów w klasztorach pod miastem Quebec i w Ottawie. Świerz-Zaleski dowiaduje się tylko, że zostały przeniesione w inne miejsca.

### Spór na wielu frontach

W listopadzie 1946 r. poseł Fiderkiewicz nagłaśnia sprawę. Na konferencji prasowej zarzuca Babińskiemu i Krzywdzie-Polkowskiemu, jakoby wykradli skarby narodowe i ukryli w nieznanym miejscu. Obarcza też rząd Kanady odpowiedzialnością za zniknięcie części zbiorów.

Jeszcze tego samego dnia poseł udaje się – wraz z kilkoma kanadyjskimi fotoreporterami – do skarbca Bank of Montreal, by zaprezentować im zawartość zdeponowanych tam kufrów. Zdjęcie posła ze Szczerbcem trafia na łamy kanadyjskiej prasy. W MSZ w Warszawie kanadyjski *chargé d'affaires* słyszy, że „rząd Kanady popiera złodziei zabytków wawelskich".

Wbrew tym zarzutom, kanadyjska policja federalna prowadzi śledztwo w celu stwierdzenia, gdzie są brakujące zbiory. Na początku 1948 r. ustala, że zostały przewiezione do klasztoru augustianek Hôtel-Dieu. O odkryciu kanadyjski Departament Spraw Zagranicznych zawiadamia poselstwo Polski Ludowej. Warszawska placówka żąda od sióstr w ultymatywnym tonie wydania skarbów, grożąc, że w razie odmowy zwróci się o pomoc do policji.

*Stanisław Świerz-Zaleski*

*Józef Krzywda-Polkowski*

DZIAŁ DOKUMENTACJI WIZUALNEJ ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU x2

Zakonnice alarmują Babińskiego, byłego posła z ramienia emigracyjnego rządu, a ten zwraca się o pomoc do premiera prowincji Quebec, Maurice'a Duplessisa. Ten gorący zwolennik niezależności Quebecu i wróg komunizmu ma dobre stosunki z Kościołem katolickim. Na polecenie Duplessisa kufry z arrasami i pozostałe zbiory zostają 25 lutego 1948 r. potajemnie wywiezione z klasztoru augustianek do Muzeum Prowincji w Quebec City. Duplessis zapowiada, że nie wyda skarbów komunistom, gdyż mogą zostać zniszczone lub ukradzione przez Stalina.

Jeśli do tej pory spór toczył się głównie między komunistycznymi władzami w Warszawie i opiekunami skarbów, którzy uznawali polskie władze na uchodźstwie, a także między rządem w Warszawie i rządem Kanady, o tyle odtąd przybiera on jeszcze jeden wymiar: politycznej rozgrywki między rządem federalnym w Ottawie a rządem prowincji Quebec. W ten sposób sprawa staje się jeszcze bardziej skomplikowana.

Władze w Warszawie próbują podnieść sprawę zwrotu skarbów w bezpośrednich rozmowach z Kanadyjczykami; oskarżają też rząd w Ottawie na forach międzynarodowych (ONZ, UNESCO) o rzekomo bezprawne przetrzymywanie polskiej własności. Do nacisku wykorzystywana jest również krajowa opinia publiczna: zwrotu arrasów żądają na wiecach studenci Uniwersytetu Warszawskiego i młodzież krakowska. Wszystko nadaremnie.

### Narodowi, nie rządowi

Sprawa nabiera przyspieszenia w końcu lat 50.: nowa sytuacja polityczna w PRL po październiku 1956 r. sprawia, że wśród emigrantów pojawiają się głosy, by skarby przekazać do kraju. Opowiadają się za tym działacze Kongresu Polonii Kanadyjskiej i polonijna prasa z Toronto („Związkowiec", „Głos Polski"). Jesienią 1958 r. koncertujący w Kanadzie pianista Witold Małcużyński – mieszkający w Szwajcarii i cieszący się zaufaniem władz PRL – urabia w tym duchu Krzywdę-Polkowskiego. Na łamach paryskiej „Kultury" o ratowanie skarbów apeluje nestor ruchu narodowego Jerzy Zdziechowski.

Na początku grudnia 1958 r. do Ottawy przybywa z Polski czteroosobowa delegacja profesorów na czele z Jerzym Szablowskim, dyrektorem Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu. W jej skład wchodzą też Marian Morelowski, przedwojenny kustosz zbiorów wawelskich i organizator rewindykacji arrasów ze Związku Sowieckiego w latach 1921-28, Bohdan Marconi z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie (konserwator zabytków o światowej renomie) oraz Zbigniew Drzewiecki, prezes Towarzystwa im. Chopina.

23 i 24 grudnia delegaci, przy udziale Krzywdy-Polkowskiego, Małcużyńskiego, przedstawicieli banku i kilku zaproszonych osób, przeprowadzają oglę-

dziny zbiorów (przy otwarciu kufrów nie ma przedstawiciela komunistycznej ambasady). Krzywda-Polkowski wspomina, że wydobywając z kufra Szczerbiec, prof. Morelowski powiedział: „Panowie, baczność! – Szczerbiec! Wszyscy z wielkim wzruszeniem spoglądali na tę świętą pamiątkę naszej wielkości i niepodległości". Eksperci stwierdzają, że zabytki wymagają natychmiastowych zabiegów konserwatorskich, a pozostawienie w obecnych warunkach pogorszyłoby tylko ich stan.

Taka opinia skłania ostatecznie Krzywdę-Polkowskiego do przekazania prof. Szablowskiemu dwóch kufrów zdeponowanych w Banku Montrealskim – pod warunkiem, że zostaną zwrócone narodowi polskiemu, a nie rządowi PRL. Stosowne pismo opiekun skarbów podpisuje 8 stycznia 1959 r. Do sfinalizowania operacji przyczynia się Małcużyński, który jest pośrednikiem między Krzywdą-Polkowskim, delegacją profesorów, poselstwem PRL i Bankiem Montrealskim.

W nocy 18 stycznia kufry ze skarbami zostają wywiezione z banku przez pracowników poselstwa PRL w opancerzonej furgonetce, której towarzyszyła kanadyjska policja. Na stacji kolejowej zostają umieszczone w wagonie-salonce, który przez Toronto i Buffalo dociera do Nowego Jorku (okrężną trasę wybrano, by ominąć prowincję Quebec i nie narażać się na problemy ze strony rządu Duplessisa). Następnie skarby płyną szwedzkim statkiem do Kopenhagi i dalej pociągiem przez Berlin do Warszawy, gdzie docierają 3 lutego 1959 r.

> Polscy emigranci długo obawiali się, że po powrocie do kraju zbiory wawelskie mogłyby zostać skonfiskowane przez nowe władze w Warszawie, a nawet wywiezione **na wschód – jak po trzecim rozbiorze Polski.**

### Do Krakowa

W Kanadzie nadal pozostaje ostatnia – i największa – część skarbów, na czele z arrasami; zdeponowana jest w Muzeum Prowincji Quebec.

Pytany przez dziennikarzy Duplessis nie zmienił swojego stanowiska. Podkreśla, że część skarbów, które są pod opieką jego rządu, pozostanie na miejscu tak długo, jak w Polsce u władzy są komuniści. Nie pomaga nawet interwencja prymasa Stefana Wyszyńskiego u arcybiskupa Quebecu Maurice'a Roya i kardynała Paula Legera z Montrealu.

Sytuacja zmienia się dopiero, gdy we wrześniu 1959 r. Duplessis umiera, a na quebeckiej scenie politycznej dochodzi do przetasowań. Po kolejnej turze rozmów między PRL i Kanadą oraz rządem Quebecu, w końcu grudnia 1960 r. za ocean ponownie podróżują profesorowie Szablowski i Marconi. 29 i 30 grudnia prowadzą inwentaryzację skarbów wawelskich, przechowywanych w Muzeum Prowincji Quebec, a następnego dnia przejmują je od dyrektora Muzeum. Tak jak wcześniej przekazanie kolekcji odbywa się w tajemnicy przed opinią publiczną.

Przeciwko wydaniu przez rząd Kanady reżimowi komunistycznemu w Warszawie arrasów i innych zabytków protestuje rząd RP na uchodźstwie w Londynie. Stanowisko władz na emigracji nie jest jednak jednolite: powołując się na prymasa Wyszyńskiego, zgodę na powrót do kraju skarbów wawelskich wyrażają polityczni konkurenci rządu RP (z Rady Trzech i Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego).

Do Krakowa ostatnia część skarbów dociera ostatecznie 19 stycznia 1961 r.

Dwa miesiące później na Zamku Wawelskim zostaje otwarta stała ekspozycja całej kolekcji.

© KRZYSZTOF TARKA

*Autor jest profesorem historii, pracuje na Uniwersytecie Opolskim. Specjalizuje się w temacie emigracji po II wojnie światowej i stosunkach polsko-litewskich. Autor książek, m.in. „»Generał Wilk« Aleksander Krzyżanowski – komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK", „Emigracyjna dyplomacja: polityka zagraniczna rządu RP na uchodźstwie 1945–1990".*

TP

**ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" DODATEK SPECJALNY:**

# Oczami dzieci

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNER:

Gdy 27 stycznia 1945 r. żołnierze sowieccy dotarli do obozu KL Auschwitz, wśród nielicznych więźniów, którzy pozostali po przeprowadzonej przez Niemców „ewakuacji", było ok. 700 dzieci i nastolatków, w tym ok. 500 dzieci poniżej 15. roku życia. Ponad połowa to były dzieci żydowskie. Tak było nie tylko w Auschwitz: podczas niemieckiej okupacji dzieci, polskie i żydowskie, były jeśli nie świadkami, to ofiarami – właściwie wszędzie.

Chcemy o nich opowiedzieć:

- o dzieciach i wojnie pisze Marek Zając, przewodniczący Rady Fundacji Auschwitz i stały autor „Tygodnika"
- Ofer Aderet portretuje żydowskie bliźniaczki, które trafiły w ręce doktora Mengele i przetrwały; dziś żyją w Izraelu
- Eliza Leszczyńska-Pieniak opowiada o narodzinach za drutami obozu
- Piotr Litka pisze o pamiętnikach żydowskich dzieci
- Błażej Torański przypomina jedyny niemiecki obóz koncentracyjny przeznaczony wyłącznie dla dzieci, który istniał w Łodzi
- Monika Sieradzka pisze o polskich dzieciach uprowadzonych do germanizacji do Rzeszy
- Małgorzata Gwóźdź pokazuje, jak młodzież zwiedzająca dziś KL Auschwitz przeżywa los swoich rówieśników

**„Tygodnik" z dodatkiem w kioskach od środy 27 stycznia**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZA PAMIĘCI

HANNA

# Krall: *Kontrakty*

Książka pod tytułem „Sublokatorka" jest o tym, że jedni ludzie są jaśni, a inni ciemni. Widać to gołym okiem. Conrad jest jasny, a w Dostojewskim sam mrok. Albo Tomasz Mann, jaki jasny. Albo mroczny Kafka i jasny Izaak Singer. Maria i Marta, siostry Łazarza. Maria – uduchowiona, uskrzydlona, cała jasna słucha Jezusa, a Marta – zrzędliwa, na obrazach zwykle brzydsza i nieco przygruba, krząta się koło kolacji.

Nie jest to podział na lepszość i gorszość. Ani na płytkość i głębię. Ani na talent. Ani na szpetotę i piękno.

Raczej na lepszy i gorszy los.

Może na przeznaczenie.

Może na lęki i przeczucia. Na sny.

Wiadomo o co chodzi, ale trudno wytłumaczyć.

Jaśni zwykle piękniej umierają. Czasem jest im dany wybór sposobu umierania. Jasny sam strzela albo mówi – strzelajcie. Nie idzie na wezwanie z tobołkiem na plac. Mówi – tu zabijcie, przy mojej maszynie do szycia.

Jasny jest wielkoduszny i okazuje pomoc, na ogół bez wahania, ciemny jest wdzięczny, na ogół bezgranicznie. Na ile sposobów potrafi tę swoją wdzięczność okazać – spojrzeniem, uśmiechem, słowem, skinieniem głowy...

Jasny jest u siebie, ciemny przychodzi z wizytą.

Ciemny to gość (niekiedy witany z niekłamaną radością).

Ciemny to jednak sublokator.

Sublokatorzy dzielą się na dobrych i złych. Jednych i drugich można przywołać do porządku, ale przyjemniej mieć do czynienia z dobrymi sublokatorami.

Dobry sublokator zna swoje obowiązki, przestrzega ich i nie robi zamieszania. Dobry sublokator. jak już chce czegoś, to o to prosi. W żadnym razie nie żąda, jak to potrafi czynić sublokator kłopotliwy.

Dobremu sublokatorowi nie przyjdzie do głowy naruszać sublokatorski kontrakt i mówić o czymś takim jak równouprawnienie. W najgorszym razie mówi o tolerancji, a jeśli wie, że posunął się za daleko, z miłym uśmiechem przeprasza.

Streściłam swoimi słowami pojęcie sublokatorstwa. Kategorię stworzoną przez antropologów i historyków kultury. Uważają, że zainspirowała ich książka. „Sublokatorka". Coś podobnego!

Rywka Profitker urodziła się w Białymstoku. Jej ojciec, siostra i brat byli krawcami, zakład krawiecki był w suterynie na ulicy Kupieckiej.

Ukończyła seminarium nauczycielskie. Na maturze pisała o miłości ojczyzny w dziełach Adama Mickiewicza. Dostała trójkę. Z innych maturalnych przedmiotów też miała trójki. Uczyła w podstawówce. Zapisała się na chemię na Uniwersytet Stefana Batorego.

Na grupowym zdjęciu siedzi z kolegami z seminarium. Są w Wieliczce. Mają zakurzone buty, są zmęczeni, chyba byli na dalekim spacerze. Sukienka Rywki jest na nią za duża, może to sukienka po siostrze, pewnie uszyta przez nią.

Wyjazd do Krakowa i Wieliczki był obowiązkowym punktem każdej wycieczki, Auschwitzu jeszcze nie było.

Rywki Profitker, jej rodziców, jej siostry i brata nie ma w rejestrach ocalonych. Nikt nie zgłosił ich śmierci i nikt ich nie szukał.

Estera Tajc urodziła się w Wilnie, mieszkała na ulicy Antokolskiej. Na Uniwersytecie Stefana Batorego studiowała rolnictwo, pewnie chciała do Palestyny jechać i nawadniać pustynię. Nie ma jej zdjęć. Nie ma jej wśród ocalonych.

O Esterze Tajc i Rywce Profitker pisze w pracy doktorskiej Natalia Judzińska. Jest to praca o porządku zajmowania miejsc na uniwersytecie wileńskim. Porządek przewidywał, że polscy studenci mają siedzieć po prawej stronie sali wykładowej (patrząc od katedry), a żydowscy po lewej. „By zachować ład i umiar, by droga wszystkim uczelnia mogła pracować w jasnej atmosferze spokoju" – wyjaśnił w stosownym rozporządzeniu rektor uczelni.

Estera Tajc i Rywka Profitker nie chciały siedzieć po lewej stronie. Uważały, że mogą usiąść, gdzie im się podoba. Rywka usiadła w cudzej ławce – na krótko, bo zaraz ją przegoniły prawowite właścicielki prawej strony. Potem, przez cały wykład z chemii analitycznej stała między ławkami.

Estera nie zajęła cudzego miejsca. Na wykładzie z fizjologii zwierząt stała w połowie sali, w przejściu, między prawą i lewą stroną.

Na komisji dyscyplinarnej Rywka uparcie powtarzała, że była w porządku. Estera zapewniła, że nie chciała przeszkadzać wykładowcy i zachowywała się grzecznie. Słowo grzecznie powtórzyła parę razy. Zabrzmiało to jak przeprosiny.

Komisja dyscyplinarna doceniła postawę Estery i ukarała ją upomnieniem. Rywkę zawieszono na rok w prawach studenta.

Obie były sublokatorkami, uważa Natalia Judzińska. Z tym, że Rywka Profitker wymówiła sublokatorski kontrakt i upomniała się o równe prawa. W przeciwieństwie do taktownej i grzecznej, dobrej sublokatorki Estery Tajc.

Mieszkanie było duże, z pięć, może sześć pokoi. Służbówka, fortepian, na którym grała pani domu, dziewięć dwadzieścia sześć trzydzieści trzy – zapamiętała ich telefon na całe życie, kompletnie nie wiadomo dlaczego.

Dyrektor banku, udane dzieci – studentka medycyny i student prawa. Jasność. I mała, czarnooka dziewczynka w mieszkaniu, szczerbata, chuda, z lekkim zezem.

Nie wymagano wiele od niej, zaledwie dwóch rzeczy: niepodchodzenia do okna przez cały dzień i niesiusiania

o piętnastej trzydzieści. Pan domu wracał z pracy o piętnastej, a po pół godzinie wchodził do łazienki.

Pan domu nie wiedział, że w mieszkaniu jest obca dziewczynka.

Nie to, że bał się.

Nie to, żeby sobie nie życzył obecności czarnookich dziewczynek.

Był po zawale. Odzwyczajał się od palenia. Nie chciano go niepotrzebnie niepokoić.

Była sublokatorką rozsądną. Wiedziała, że i okno, i piętnasta trzydzieści są dla jej dobra. Lubiła córkę gospodarzy i skrycie podkochiwała się w Wojtku, ich synu.

Kontrakt (czy okno i niesiusianie można nazwać sublokatorskim kontraktem?) został zerwany nagle i bez uprzedzenia.

Ubrano ją pośpiesznie i wyprowadzono na ulicę. Był mróz. Przyszło jej do głowy, że powinna się pożegnać chociaż z Wojtkiem. Nie ma Wojtka, powiedział czyjś głos. Wojtek wisi na balkonie.

Była to akcja ruchu oporu. Ostrzelali niemiecką ciężarówkę, zabili kilku Niemców, jeden ze strzelających został ranny. Tylko jeden. Niemcy zabrali go na Pawiak, potem powiesili razem z innymi mężczyznami, więźniami Pawiaka. Wisieli przez parę dni na spalonym domu dawnego getta, na Lesznie.

(Po latach ktoś gdzieś powie czy napisze, że Wojtka aresztowano w ulicznej łapance. Oburzy to jego siostrę. To nie była łapanka, napisze w sprostowaniu. To była akcja zbrojna polskiego ruchu oporu. Mój brat zginął z bronią w ręku. Z bronią w ręku, powtórzy w sprostowaniu kilka razy).

Pierwszej powojennej zimy pojechały do jego matki. Przywitać się. Powiedzieć, że żyją. Podziękować.

Kupiły gałązkę bzu – w powojenną zimę tylko biały bez był w budkach z kwiatami. Szczelnie owijano go papierem do pakowania, żeby nie zmarzł.

Jechały saniami, dość długo, do Śródborowa czy Otwocka. Weszły do drewnianego domu, do dużego pokoju z zimnym piecem. Zdjęły papier z bzu. Stanęły w drzwiach. Czekały.

Z przeciwległych drzwi wyszła przygarbiona kobieta owinięta czarnym swetrem.

Nie podeszła do gości.

Patrzyła na dziewczynkę – tę chudą, szczerbatą, z czarnymi oczami, z lekkim zezem.

Powiedziała: – A mojego Wojtusia nie ma.

Tak, szepnęła matka dziewczynki.

No tak.

I znowu – no tak...

Jakby się tłumaczyła z czegoś. Jakby się chciała usprawiedliwić. ©


TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

**Własny pokój**
Rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

**#DOM**
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

**Punkt zwrotny**
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

**Miesiąc w nauce**
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

**Sztuka powszechnie nieznana**
Magdaleny Łanuszko, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

**Opowieści z Izraela**
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ADOBE STOCK

NAUKA

# STARE DRZEWA I ICH ZWIĄZKI

Opieka rodzicielska, handel, systemy wczesnego ostrzegania przed zagrożeniami. Podziemne sieci leśnych połączeń odsłaniają przed nami nowy obraz życia – i jego historii.

MARTA ALICJA TRZECIAK

O istnieniu zjawiska mikoryzy, czyli współzależności pomiędzy korzeniami roślin a grzybnią, wiedzieliśmy już u schyłku XIX w. Jednak dopiero badania prowadzone w latach 90. ubiegłego wieku dostarczyły nam wskazówek na temat tego, jak bardzo złożone jest to zjawisko. Początkowo wydawało się, że mamy do czynienia z prostą symbiozą: samożywna roślina przekazuje swojemu cudzożywnemu partnerowi cukry pochodzące z fotosyntezy, a ten odwdzięcza się związkami mineralnymi (głównie fosforowymi oraz azotowymi), których roślina nie byłaby w stanie sama pobrać z gleby.

### Pod opieką matki

W biologii nic jednak nie jest „proste", a nasze rozumienie złożoności powiązań zależy w zasadzie wyłącznie od tego, jak szczegółowe analizy jesteśmy w stanie przeprowadzić. Nie inaczej było w odniesieniu do mikoryzy. Kanadyjska ekolożka Suzanne Simard jako jedna z pierwszych podejrzewała, że powiązania między korzeniami drzewa a grzybnią sięgają znacznie głębiej, niż początkowo sądzono. Aby potwierdzić swoją hipotezę, zainicjowała serię eksperymentów, w ramach których podawano drzewom radioaktywny węgiel. Pierwiastek ten różnił się od swojego najpopularniejszego izotopu występującego w powietrzu (oraz organizmach), dzięki czemu możliwe było śledzenie jego przenikania do mikoryzowej sieci – i dalej.

Simard nie myliła się – badania przeprowadzone przez jej zespół dowiodły, że cukry produkowane przez drzewa trafiają nie tylko do połączonych z nimi grzybów, ale też do okolicznych drzew. Zupełnie jakby rośliny częstowały innych swoją żywnością. Ale dlaczego? Czemu jeden organizm miałby dzielić się cennymi zasobami z innym? Jaki miałoby to sens z ewolucyjnej perspektywy? Pierwsze odpowiedzi nasunęły się dość szybko. Zasugerowano, że drzewo matka może w ten sposób wspierać swoje sadzonki. W gęstym lesie nie mają one dostępu do wystarczającej ilości światła słonecznego, dlatego – dopóki nie urosną – potrzebują matczynej pomocy. Ten wniosek wydawał się trafiony, zwłaszcza że kolejne badania wykazały, iż rośliny, które potrzebowały więcej wsparcia (np. dlatego, że rosły na bardziej zacienionym stanowisku), otrzymywały więcej cukrów od drzew matek niż te rosnące w dogodnych warunkach. Już wtedy mikoryza została uznana za niezwykle ciekawe zjawisko – a wkrótce zaczęto wręcz o niej mówić jako o „leśnym internecie".

### Leśny internet

Drzewa podłączone do sieci mikoryzowej są nie tylko okazalsze i lepiej odżywione, ale też zdrowsze. Atakowało je mniej ↦

↦ patogenów, a jeśli nawet do infekcji dochodziło, osobniki połączone mikoryzą były lepiej przygotowane na odparcie intruzów. Taki stan rzeczy nie dawał się już łatwo wyjaśnić za pomocą samej tylko teorii „częstowania cukrem". I rzeczywiście – dowiedziono, że rośliny podłączone do sieci wysyłają chemiczne ostrzeżenie za każdym razem, gdy zostaną zaatakowane przez patogen. W ten sposób inni użytkownicy połączeń mogą się skuteczniej przygotować na ewentualną inwazję – np. poprzez zmianę składu chemicznego swoich soków.

Taki system wczesnego ostrzegania umożliwia wytworzenie chemicznych substancji obronnych jeszcze zanim patogen wszedł w jakikolwiek kontakt z drzewem. Odkrycie, iż rośliny mogą czerpać z sieci tak daleko idące korzyści, doprowadziło do kolejnych pytań. Jak wiele drzew może być połączonych za pomocą mikoryzy? Jak rozbudowana jest ta sieć? Czy możliwe jest, by drzewa w całym lesie mogły łączyć się ze sobą dzięki bezpośrednim lub pośrednim połączeniom? Taka ewentualność wydawała się sensowna, ponieważ system wczesnego ostrzegania jest tym skuteczniejszy, im więcej użytkowników zaangażowanych jest w jego funkcjonowanie. Potrzebne były jednak nie tylko hipotezy, ale i dowody.

Te nadeszły wraz z postępem nauk genetycznych, który umożliwił sprawne i wydajne mapowanie dystrybucji sieci mikoryzowej pomiędzy poszczególnymi drzewami. Badania te doprowadziły do wielu zaskakujących wniosków, spośród których jeden wydawał się najważniejszy. Mianowicie okazało się, że „internet drzew" (Wood Wide Web) nie jest rozłożony równomiernie pomiędzy jego użytkownikami. Sieć opiera się przede wszystkim na „drzewach węzłowych" (*hub trees*), które mają najwięcej połączeń z innymi roślinami i mogą pośredniczyć w kontaktowaniu z sobą odległych jednostek. „Drzewa węzłowe" są najstarsze, największe, najbardziej rozłożyste. Tym samym – mają najlepszy dostęp do światła, produkują najwięcej cukrów, a do tego żyją na tyle długo, by ich sieć mikoryzowa cechowała się niesłychanie wysokim poziomem złożoności.

Chyba żadne wcześniejsze odkrycie nie uzmysłowiło naukowcom tak dobitnie, że nie da się zastąpić jednego starego drzewa kilkoma sadzonkami. Innymi słowy, sposób myślenia o gospodarowaniu lasem uległ całkowitej przemianie. Wspomniane badania dowiodły bowiem, że sadzenie nowych drzew to dobry pomysł, ale nie należy stawiać znaku równości między jednym drzewem węzłowym a kilkoma nowymi roślinami, nawet jeśli ilość chlorofilu po jednej i drugiej stronie równania byłaby taka sama.

Cukry produkowane przez drzewa trafiają nie tylko do połączonych z nimi grzybów, ale też do okolicznych drzew. **Zupełnie jakby rośliny częstowały innych swoją żywnością.**

### Partnerstwo stare jak świat

Wyniki badań dotyczących Wood Wide Web dają do myślenia tym bardziej, gdy analizuje się je w kontekście innych doniesień naukowych, które skupiają się nie tyle na samej sieci, ile na nierozerwalnym powiązaniu korzenia i grzybni. Tak ścisła współzależność dwóch organizmów skłoniła badaczy do zadania kolejnych pytań. Po pierwsze: od jak dawna rośliny i grzyby są od siebie uzależnione? Po drugie: jaką rolę grzyby odegrały w ewolucji życia na Ziemi? Odpowiedź na oba te pytania zmusza nas do nowego spojrzenia na historię naszej planety.

Chociaż rośliny i grzyby, analizowane powierzchownie i makroskopowo, mogą się wydawać do siebie podobne, w rzeczywistości różnią się znacząco i nie są ze sobą zbyt blisko spokrewnione. W systematyce biologicznej jedne i drugie stanowią osobne królestwa. Cudzożywnym grzybom bliżej do zwierząt niż do samożywnych roślin, chociaż należy podkreślić, że również nasze królestwa rozdzieliły się od siebie tak dawno temu, iż mamy ze sobą niewiele wspólnego. Jedną z umiejętności, które wyróżniają grzyby na tle innych organizmów, jest ich zdolność do przekształcania skał w glebę. Grzyby potrafią wydzielać enzymy, które trawią otaczające je podłoże, dokonując tym samym jego erozji i pozyskując „uśpione" w nim związki mineralne. Związki te stają się użyteczne biologicznie i mogą być pochłaniane przez rośliny. Ta umiejętność grzybów wykorzystywana jest w każdym współczesnym układzie mikoryzowym. Ale badania dowodzą, że jeszcze większe znaczenie miała ona w odległej przeszłości.

Grzyby są delikatne i kruche, dlatego z trudem ulegają mineralizacji – dysponujemy więc niewielką liczbą ich skamieniałości. Tym samym nie możemy z pełnym przekonaniem stwierdzić, kiedy grzyby i rośliny nawiązały swoją współpracę. Jednakże dowody, którymi dysponujemy, wskazują, iż symbioza mikorytyczna istnieje na Ziemi przynajmniej od 400 mln lat.

Czy to zatem możliwe, że grzyby były kluczowym elementem rozwoju życia na Ziemi, bez którego nie miałoby ono takiej postaci, jaką dziś znamy?

Życie istnieje na Ziemi od ok. 3,7 mld lat, ale przez większość tego czasu – z tego, co wiemy – kwitło wyłącznie w oceanach. Nawet pojawienie się samożywnych producentów, którzy wytworzyli tlen i umożliwili powstawanie bardziej złożonych organizmów (a wcześniej doprowadzili do wytrucia niemal wszystkich ówczesnych gatunków), nie zmieniło szczególnie tego trendu. Lądy były w tym czasie nieprzyjazne i większość organizmów od nich stroniła. Przyczyn takiego stanu rzeczy było wiele, ale za jedną z nich uważa się skalistą strukturę powierzchni planety. Na nieskolonizowanych przez życie lądach nie było gleby, w której mogły rosnąć rośliny. Do czasu, aż na ich powierzchni pojawiły się grzyby. To właśnie ich działalność enzymatyczna oraz mikroskopijna presja mechaniczna, jaką wywierały na skalne podłoże, sprawiła, że związki zawarte w skałach stały się dostępne dla innych organizmów, takich jak rośliny, które – jak się uważa – podążyły na ląd tuż za grzybami. Co więcej, wygląda na to, że partnerstwo to opiera się na twardych regułach.

Z badań opublikowanych przez Matthew Whiteside'a i współpracowników w „Current Biology" w 2019 r. wynika, że sieci mikoryzowe posługują się czymś na kształt ekonomii, a podejmowane w obrębie tej sieci działania przypominają relacje, jakie łączą partnerów handlowych. Jeśli roślina przekazuje grzybowi więcej cukrów, ten wydziela

jej w zamian więcej fosforu. I na odwrót. Jeśli natomiast któryś z partnerów zawiedzie i wstrzyma swoje dostawy, może zostać „ukarany" przez drugą stronę. Co więcej, każdy z partnerów może przystopować wymianę składników z danym dostawcą, jeśli tylko inna roślina lub grzyb „zaproponuje" mu lepszą ofertę. Przykładowo, grzyb powiązany z drzewem, z którym dotychczas łączyły go korzystne warunki wymiany, może anulować współpracę, jeśli okaże się, że korzenie pochodzące z innej rośliny mają więcej do zaoferowania.

Badaczom udało się nie tylko dowieść, że powyższe zależności w ogóle istnieją, ale też byli w stanie zobrazować ich przebieg. Dzięki zastosowaniu nowych metod badawczych zobrazowali w czasie rzeczywistym kierunek przepływu zawartości sieci w zależności od aktualnej sytuacji na „rynku" mikoryzowym. Ponadto, znakując substancje wytwarzane przez partnerów, badacze uchwycili dokładnie przepływ składników przekazywanych za pośrednictwem sieci.

### Skala mikro i skala makro

Aby lepiej rozumieć, jak działa „leśny internet", musimy analizować zależności pomiędzy jego użytkownikami w skali mikroskopijnej (tak jak to uczyniono w badaniach omówionych powyżej), ale nie powinniśmy zapominać o skali makro. To właśnie ona daje nam wgląd w rolę, jaką rozłożyste sieci mikoryzowe odgrywają w ekosystemach. Z dotychczasowych badań wynika, że w skali globalnej występują dwa typy leśnych sieci mikoryzowych. Pierwsze z nich tworzą się w chłodniejszych strefach klimatycznych, natomiast drugie stwierdzane są przede wszystkim w lasach tropikalnych. Różnią się nie tylko preferencjami temperaturowymi, ale też strukturą. W tropikach sieci mikoryzowe są znacznie mniej rozłożyste, tworzą mniejsze układy i składają się z innych gatunków grzybów niż te, które występują w lasach rosnących w chłodniejszym klimacie. Tam bowiem „internet drzew" wiąże znacznie większą liczbę użytkowników i nie ogranicza się do kontaktów lokalnych; może łączyć ze sobą całe lasy.

Naukowcy przypuszczają, że globalny stosunek pomiędzy jednym typem sieci a drugim może odgrywać znaczącą rolę w regulowaniu klimatu. A to dlatego, że grzyby mikoryzowe żyjące w chłodniejszych lasach mają tendencję do wychwytywania węgla z atmosfery i „zamykania" go w glebie w czasie przeprowadzania procesów dekompozycji organicznej. Natomiast procesy zachodzące w mniejszych sieciach mikoryzowych, które są typowe dla lasów tropikalnych, mają tendencję do uwalniania węgla do atmosfery. Trudno przecenić wagę tych informacji. Zachodzące obecnie zmiany klimatyczne sprawiają, że stosunek pomiędzy jednym typem sieci a drugim może ulec dramatycznemu zachwianiu, ponieważ lasy – i żyjące w nich grzyby mikoryzowe – dostosowują się do rosnącej temperatury.

**Drzewo matka może wspierać swoje sadzonki.**
W gęstym lesie mają utrudniony dostęp do światła, dlatego w okresie wzrostu potrzebują matczynej pomocy.

### Przewodnicy stada

Wspomniane doniesienia naukowe sugerują, że jeśli chcemy ratować lasy i nasz klimat, powinniśmy zwrócić większą uwagę na grzyby żyjące w podłożu. Tym bardziej że z nowszych badań zespołu Simard (opublikowanych we wrześniu 2020 r. w „Journal of Ecology") wynika, iż sieć mikoryzowa jest odpowiedzialna zarówno za siłę lasu, jak i za jego potencjalną słabość. Tak jak w stadzie słoni najstarsza samica prowadzi swoje stado i posiada największą wiedzę, tak w rozłożystych lasach stare drzewa węzłowe „dyktują" całej sieci, jaki będzie jej dalszy kierunek rozwoju. I podobnie jak w przypadku słoni – utrata tych kluczowych, najstarszych osobników jest znacznie bardziej dotkliwa dla całej społeczności niż utrata którejkolwiek innej jednostki.

Wspomniane badania były bardziej szczegółowe niż wszystkie wcześniejsze projekty – trwały 16 lat i objęły swoim zasięgiem 350 drzew. Dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że „leśny internet" nie może istnieć bez najstarszych drzew węzłowych i na odwrót – stare osobniki nie są w stanie zdrowo rosnąć bez wsparcia sieci. Stare drzewo, które prowadzi skuteczną fotosyntezę i jest zdrowe, przekazuje nawet 80 proc. swoich zasobów cukrowych do okolicznych sadzonek. Ponadto może podjąć „decyzję", by wspierać tych użytkowników sieci, którzy są aktualnie w złej kondycji i bez pomocy drzewa węzłowego umarliby.

Ale także drzewa matki nie mogą bez połączeń z całą siecią normalnie funkcjonować. Dla starej rośliny mikoryza stanowi nie tylko kanał komunikacyjno-handlowy, ale też jest rodzajem ubezpieczenia. Wiekowe drzewa potrzebują stabilnych warunków i powtarzalnych schematów środowiskowych. Jeśli z jakiegoś powodu trafią na trudne okoliczności (inwazja patogenów, wahania pogodowe, zbyt mało światła, za mało lub za dużo opadów), dzięki sieci będą w stanie zapewnić sobie przetrwanie.

Drzewa węzłowe dyktują więc kierunek wzrostu i życia całego lasu. Są niejako w stanie „zadecydować", którzy użytkownicy sieci będą wspierani w większym stopniu, a którzy w mniejszym. Jeśli drzewo matka jest w dobrym stanie, przekaże większość swoich zasobów innym członkom „mikoryzowego internetu". Sieć wybierze przy tym najpierw te drzewa, które rosną w najtrudniejszych warunkach. Jeśli zaś samo drzewo matka potrzebuje ratunku, pomoc zostanie udzielona właśnie dzięki gęstej sieci powiązań. I wreszcie – jeśli dla drzewa węzłowego nie ma już żadnej nadziei – wyrzuci ono do sieci wszystkie swoje zasoby i dopiero wtedy umrze.

Poziom złożoności „leśnego internetu" mógłby zaskoczyć twórców fantastyki, a jednocześnie sugeruje, że nasza wiedza jest dopiero w powijakach. Połączenia mikoryzowe tworzą się na Ziemi od co najmniej 400 mln lat, a my zdaliśmy sobie sprawę z ich istnienia ledwie kilka dekad temu. To pobudza wyobraźnię, ale też skłania do pokory. Z badań naukowych wynika jasno, że aby ratować naszą planetę, będziemy z całą pewnością potrzebowali i jednego, i drugiego.

© MARTA ALICJA TRZECIAK

# WSZYSTKIE PAPUGI PANA BARNESA

Gdy debiutował, sam sobie wysmażył i opublikował miażdżącą recenzję. Poprzysiągł, że jeśli krytycy zareagują podobnie, nigdy więcej nie chwyci za pióro. Nic takiego się nie wydarzyło, ale matka i tak była zgorszona.

DOROTA KOZIŃSKA

Mniej więcej w połowie XV wieku, wkrótce po powrocie z podróży na południe Europy, Rogier van der Weyden namalował tryptyk ołtarzowy dla kościoła świętej Kolumby w Kolonii. W środkowej części umieścił scenę Pokłonu Trzech Króli, która do dziś wzbudza gorące emocje, nie tylko wśród przygodnych gości Starej Pinakoteki w Monachium, dokąd ołtarz trafił prawie dwieście lat temu, za sprawą króla Ludwika I Wittelsbacha. Powodem był krucyfiks – zawieszony bezpośrednio nad głową Madonny z Dzieciątkiem, pod dziurawą powałą betlejemskiej szopy.

Anachronizm dobitnie rzuca się w oczy współczesnego odbiorcy, gotowego podejrzewać, że malarz albo się pomylił, albo świadomie spłatał figla fundatorowi dzieła. Co bardziej dociekliwi porównują obraz z „Pokłonem" autorstwa innego niderlandzkiego mistrza, a zarazem ucznia van der Weydena, przechowywanym w madryckim Prado. Sceneria prawie ta sama, może tylko Baltazar smaglejszy, a wół w stajence jakby bardziej zaskoczony niespodziewanym najściem. Krucyfiksu jednak brakuje. Inne drobiazgi – m.in. to, że w tle „Pokłonu" z kościoła świętej Kolumby rozpościera się pejzaż ówczesnej Kolonii, a Trzej Królowie mają twarze księcia Burgundii oraz króla i delfina Francji – często umykają uwadze miłośników sztuki. Tylko krucyfiks ich uwiera: nad symbolizującym dokładnie to samo, a częstszym w gotyckiej ikonografii wyobrażeniem szczygła z krwawą plamą u nasady dzioba przeszliby do porządku dziennego równie gładko, jak z resztą betlejemskiego inwentarza.

I takich właśnie odbiorców łatwo zwabić w labirynt prozy Juliana Barnesa: wejdą do środka ufnie, niczemu nie będą się dziwić i poczują się nieswojo dopiero wówczas, kiedy nad głową zawiśnie im jakiś metaforyczny krucyfiks.

Dokładnie w roku 1932 niemiecki pisarz i satyryk Erich Kästner wydał książkę dla dzieci pod tytułem „Der 35. Mai oder Konrad reitet in die Südsee", za której tłumaczenie z miejsca wzięła się Stefania Baczyńska, matka jedenastoletniego wówczas Krzysztofa Kamila. Polski przekład pod tytułem „35 Maja albo jak Konrad pojechał konno do mórz południowych", autoryzowany przez Kästnera, ukazał się cztery lata później. Po wojnie doczekał się wznowienia na fali odwilży 1956 roku, wzbogacony cudownymi ilustracjami Bohdana Butenki.

Kto nie zna, temu zdradzę, że to opowieść o chłopcu, który potrafił dobrze rachować, za to nie miał żadnej fantazji, i dlatego nauczyciel zadał mu wypracowanie o morzach południowych, nie zaś opis czteropiętrowego domu, którym unieszczęśliwił uczniów obdarzonych zbyt bujną wyobraźnią. Konrada wyratowali z opresji stryj Rabarbar oraz koń imieniem Negro Kaballo, zabierając go w błyskawiczną podróż do wspomnianych mórz.

Po pierwszej lekturze w dzieciństwie tylko jedno spędzało mi sen z powiek: dlaczego nigdzie indziej nie mogę znaleźć informacji o cyrku Sarassaniego, gdzie konie jeździły na wrotkach. Nie dziwiło mnie ani gimnazjalne wykształcenie Negro Kaballo, ani przebieg igrzysk w Zamku „Pod wielką przeszłością" – może tylko byłam ciekawa, dlaczego Scewola musiał rzucać kulę lewą ręką, a Juliusz Słowacki słabo odbijał w partii tenisa. Dzięki tym i podobnym doświadczeniom literackim wyrosłam na jednego z najskwapliwszych odbiorców twórczości Barnesa. Nie trzeba nas było zanęcać: w barnesowski labirynt weszliśmy ochoczo, z wystarczająco solidnym bagażem, by spędzić w nim jak najwięcej czasu, a najchętniej w ogóle z niego nie wychodzić.

### Piąty finał

Niewykluczone, że Julian Barnes nie umiał dobrze rachować, bo gdy skończył lat dziesięć, matka uznała, że ma za dużo fantazji. Kathleen Mabel Barnes z domu ↦

GRAHAM JEPSON / WRITER PICTURES / FORUM

*Julian Barnes*

↦ Scoltock była nauczycielką, podobnie jak jej mąż Albert Leonard. W przeciwieństwie do nauczyciela kästnerowskiego Konrada uczyła jednak francuskiego i może dlatego nie wpadła na pomysł, żeby zadać synowi opis konstrukcji domu o czterech piętrach.

Jonathan, starszy brat Juliana, urodzony w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1942 r. w Much Wenlock w hrabstwie Shropshire, przysparzał rodzinie mniej kłopotów wychowawczych. Po studiach w Oksfordzie przez ćwierć wieku wykładał na macierzystej uczelni historię filozofii starożytnej. Zajmował się głównie Arystotelesem i presokratykami; po raz pierwszy puścił wodze fantazji, przyjmując posadę na Uniwersytecie Genewskim, potem zaś na Sorbonie, co ostatecznie skończyło się przeprowadzką do Francji. Julian zawsze podkreślał, że brat jest jego skrajnym przeciwieństwem – zdyscyplinowanym, logicznie myślącym filozofem, który przyjmował jego kolejne książki garścią zdawkowych komplementów i zastrzeżeniem „wprawdzie nie mam pojęcia, co z tego jest prawdą, co zaś twoim wymysłem, ale...".

Tymczasem Julian od dziecka żył w świecie snów i wyobrażeń. Przyszedł na świat 19 stycznia 1946 r. w Leicester w East Midlands i przeżył tam niespełna sześć tygodni, rodzina Barnesów podjęła bowiem decyzję o przeprowadzce na przedmieścia Londynu. Mimo to chłopiec od najmłodszych lat czuł niewytłumaczalną więź ze swym miejscem urodzenia, co przejawiało się m.in. fascynacją klubem piłkarskim Leicester City. Zaczął kibicować „Lisom", zanim jeszcze nauczył się czytać, od ich pierwszego finału w Pucharze Anglii w 1949 r., kiedy w rozstrzygającym meczu ulegli „Wilkom" z Wolverhampton Wanderers. Jak przyznał później w wywiadzie z Denisem Campbellem dla tygodnika „The Observer", miłość do „Lisów" okazała się pierwszą szkołą cierpienia: klub czterokrotnie walczył w finale Pucharu i cztery razy przegrał. Między innymi dlatego w „Historii świata w dziesięciu i pół rozdziałach" Barnesa (1989) Leicester City F.C. wreszcie zwycięża w niebie, po czym rozgramia Brazylię cztery do jednego w finale Pucharu Świata.

Jeśli ktokolwiek z czytelników tej przewrotnej powieści historiozoficznej miał jeszcze złudzenia, że obcuje z XX-wieczną wersją „The Historie of the World. In five bookes" Sir Waltera Raleigha (1614), ten w dziesiątym rozdziale je stracił – choć niewykluczone, że po lekturze intrygującego półrozdziału nabrał przeczucia, że Barnes pisze o czymś ważniejszym: o miłości jako jedynej przeciwwadze dla nieubłaganego, wszechogarniającego dyskursu historii.

### Miażdżąca recenzja

Zanim jednak Barnes w ogóle zaczął pisać, musiał przejść drogę od nieśmiałego, wycofanego chłopaka, który dorastał w zapyziałym Northwood na północno-wschodnich obrzeżach Wielkiego Londynu, do dojrzałego, wciąż starannie chroniącego swoją prywatność mężczyzny.

W rodzinie nigdy nie rozmawiało się o religii, polityce ani seksie. Przedziwny był to dom, rządzony twardą ręką przez konserwatywną matkę ateistkę, która trzymała pod pantoflem żyjącego w świecie własnych marzeń ojca agnostyka. Barnes opowiedział o rodzicach szczerze dopiero po ich odejściu, w książce „Nie ma się czego bać" (2008), wplatając w tę autobiograficzną narrację także dzieje własnych zmagań z wiarą, religijnością i doświadczeniem śmierci. To w niej padło słynne zdanie „Nie wierzę w Boga, ale mi go brak".

Owa podszyta niepokojem tęsknota znajduje subtelny wyraz w oryginalnym tytule „Nothing to Be Frightened Of": jakby światopogląd, w którym go wychowano, był jednak nieszczery i podszyty hipokryzją, jakby rodzice nie umieli przygotować syna na strach przed odejściem w nicość – nie tylko własnym, lecz i kogokolwiek z najbliższych.

Nie ma jednak wątpliwości, że państwo Barnesowie zaszczepili w braciach zamiłowanie do języka i kultury Francji, zapewniwszy im jednocześnie solidną edukację ogólną. Po ukończeniu prestiżowej City of London School obydwaj kontynuowali studia w Oksfordzie: Jonathan w Balliol College, Julian w Magdalen College, na wydziale języków nowożytnych. Po uzyskaniu dyplomu Julian przez trzy lata pracował w wydawnictwie Oxford University Press jako leksykograf, przy edycji suplementu do „Oxford English Dictionary".

Później próbował swoich sił jako dziennikarz, publicysta i krytyk, m.in. w lewicowym tygodniku „New Statesman". Właśnie wtedy, przy okazji obowiązkowych kolegiów redakcyjnych, przekonał się o skali swej chorobliwej nieśmiałości. Walczył z tremą na tyle skutecznie, by z czasem rozpocząć karierę krytyka telewizyjnego.

Lęk przed wystąpieniami publicznymi pozostał mu jednak na całe życie. Na szczęście okazał się umiarkowanie szkodliwy w życiu prywatnym i twórczości pisarskiej. W 1978 r. Barnes poznał miłość swego życia – Pat Kavanagh, która wkrótce została jego żoną i agentką, a w dalszej perspektywie jedną z najbardziej wpływowych postaci brytyjskiego ruchu wydawniczego.

Szczęśliwy Julian przystąpił do pracy nad swoją pierwszą powieścią „Metroland" (1980), historią młodego Anglika, który postanawia wyrwać się z nudnej egzystencji na przedmieściach i rozpocząć całkiem nowe życie w Paryżu. Przed wydaniem książki zasięgnął opinii u znajomych poetów. Jeden zniechęcał Barnesa do publikacji, uprzedzając, że „będzie później żałował". Drugi doradził debiutantowi, żeby jeszcze raz przeczytał „Wielkie nadzieje" Charlesa Dickensa i ubarwił tekst pikantną sceną masturbacji. Barnes nie posłuchał żadnego z nich. Książkę wydał, sceny masturbacji nie dopisał z obawy przed reakcją matki, do lektury Dickensa nie wrócił – jak sam twierdzi, z tej prostej przyczyny, że nie można po raz drugi przeczytać czegoś, czego nie przeczytało się po raz pierwszy.

Wpadł jednak na inny pomysł: sam sobie wysmażył miażdżącą recenzję – pod pseudonimem Mackie Majcher – i poprzysiągł, że jeśli krytycy zareagują podobnie, nigdy więcej nie chwyci za pióro. Nic takiego się nie wydarzyło: recenzje były na ogół przychylne, matka i tak się zgorszyła, „Metroland" w krótkim czasie doczekał się dodruku, a kilkanaście lat później adaptacji filmowej z udziałem Christiana Bale'a i Emily Watson.

Barnes napisał jeszcze jedną „klasyczną" powieść, „Before She Met Me" (1982), po czym na dobre zerwał z linearyzmem narracji. Górę wzięła skłonność do ironii, czarnego humoru, zabiegów intertekstualnych, metafikcji, pastiszu, autorskiego drugiego „ja" – innymi słowy wszystkiego, co późniejszym czytelnikom utrudni jednoznaczną kwalifikację gatunkową jego prozy, a krytyków skłoni

do upchnięcia jej w bardzo obszerną szufladę z tabliczką „postmodernizm”.

### U kresu i za nim

Przełom dokonał się wraz z „Papugą Flauberta” (1984), pierwszą książką, dzięki której Barnes otrzymał nominację do Nagrody Bookera. Rzekoma biografia XIX-wiecznego powieściopisarza, której narratorem jest Geoffrey Braithwaite, fikcyjny badacz jego życia i twórczości – to w rzeczywistości owoc wieloletniej fascynacji Flaubertem i pierwsze w pełni dojrzałe wyznanie miłości Barnesa do kultury francuskiej.

A zaczęło się ponoć od rozczarowania: szczenięcej lektury „Pani Bovary” w poszukiwaniu „momentów”, których piętnastoletni Barnes nie doszukał się w książce Flauberta. Wciąż jednak do niej wracał i odkrywał nowe warstwy znaczeń. Pierwszy obszerny esej na ten temat napisał jeszcze na studiach. W 1981 r. wybrał się do Francji z mocnym postanowieniem prowadzenia „flaubertowskiego” dziennika podróży. Zaczął szukać pomników Flauberta, nazwanych jego imieniem ulic i restauracji, pamiątek po wielkim pisarzu. Aż w końcu trafił na wypchaną papugę – czyżby tę samą, o której mowa w „Prostocie serca”?

Swoje doświadczenia, wielokrotnie zniekształcone przez mechanizmy pamięci, ujął w roziskrzoną narrację o niemożności obiektywizmu, ni to esej, ni to leksykon, ni to przewodnik, z którego miłośnik trainspottingu wyniesie katalog wszystkich napomknięć Flauberta o pociągach, a znawca ludzkiej natury – gorzką prawdę albo równie gorzkie kłamstwo o trudzie miłości. Wszyscy się pogubią, kto jest Flaubertem, kto Braithwaite’em, a kto samym Barnesem. Większość będzie do „Papugi Flauberta” wracać, niczym nastoletni Julian do „Pani Bovary”, i za każdym razem wyciągać z tej lektury diametralnie odmienne wnioski.

Barnes jest absolutnym mistrzem stylu – dobiera słownictwo, rytm frazy i koloryt zdań do charakteru postaci, nastroju opowieści i przyjętej konwencji. Niezmiennie i niezawodnie myli tropy. Czasem tak skutecznie, że wywiedzeni w pole krytycy próbują ukryć frustrację pod protekcjonalnymi komentarzami, jakoby kolejne dzieło pisarza okazało się „niezbyt oryginalne”, ale za to „bardziej przystępne”. Albo – co jeszcze zabawniejsze – prześcigając się w zachwytach do granic absurdu, choć między arcydziełami Barnesa znalazło się przecież kilka pozycji o mniejszym ciężarze gatunkowym.

**Barnes zawsze obawiał się śmierci**
i nieustannie się dziwił, że nigdy nie zetknął się z nią osobiście. Do czasu.

Sam zainteresowany nie krył rozczarowania, że z czterech jego powieści nominowanych do Booker Prize nagrodę zdobyło dopiero kameralne „Poczucie kresu” (2011) – istny majstersztyk prostoty i głębi słowa, pod względem rozmachu narracyjnego i umiejętności kreowania nowych światów ustępujący jednak wcześniejszym dokonaniom pisarza. Czytelnicy wciąż chętniej sięgają po zlekceważoną przez jurorskie gremia, a brawurową „Historię świata w dziesięciu i pół rozdziałach”; po zabójczo nieraz śmieszną dystopię „Anglia, Anglia” (1998), w której Barnes rozprawia się bezlitośnie z mitem angielskiej tradycji i tożsamości; wreszcie po „Arthura i George’a” (2005), jak to określił sam autor: „współczesną powieść osadzoną w przeszłości”, ściślej zaś w kontekście brutalnych okaleczeń zwierząt we wsi Great Wyrley w 1903 r. – wielkiej zagadki kryminalnej, którą rozwiązał sam Arthur Conan Doyle (a może jednak nie?) na prośbę niesłusznie (czyżby?) skazanego George’a Edaljiego.

Coś jednak łączy wszystkie książki Barnesa: zaskakująco wieloraki obraz miłości i zawarte w jednym z tytułów poczucie kresu. Pisarz zawsze obawiał się śmierci i nieustannie się dziwił, że nigdy nie zetknął się z nią osobiście. Do czasu. W 2008 r., zaledwie miesiąc po diagnozie raka mózgu, zmarła Pat Kavanagh. „Serce mojego życia, życie mojego serca”, jak wyznał owdowiały Barnes. Miłość trudna jak u Flauberta. Przeżyli razem i osobno 30 długich lat. Niedługo po ślubie Pat odeszła od Juliana i związała się z Jeanette Winterson, jedną z czołowych przedstawicielek nurtu feministycznego we współczesnej prozie światowej. Po jakimś czasie wróciła do męża. Jeanette opisała ich związek w powieści „Namiętność”.

Pat i Julian stworzyli małżeństwo od nowa, bogatsi także o gorzkie, niechciane doświadczenia. Pięć lat po śmierci żony Barnes złożył jej hołd kolejną literacką hybrydą, zatytułowaną „Wymiary życia”, w której znów pomieszał konwencje i losy trzech postaci z przeszłości, przepracowując za ich pośrednictwem żałobę po ukochanej. Ani razu niewymienionej z imienia, a mimo to dojmująco obecnej na stronach tej niezwykłej i już zupełnie niemożliwej do zdefiniowania książki.

### Polskie prowizorki

Teraz pracuje odrobinę wolniej. W roku 2016 opublikował przejmujący „Zgiełk czasu”, opowieść o Szostakowiczu, „herosie, który był tchórzem” – rzecz wydaną niespełna rok później także w Polsce. Do czego doprowadził pośpiech w jej sprowadzeniu na nasz rynek książkowy, pisałam wtedy na tych łamach dwukrotnie, skupiając się na przekładzie.

Niedawno ukazało się tłumaczenie „Mężczyzny w czerwonym płaszczu” (2019): to z pozoru szkic do biografii francuskiego chirurga i ginekologa Samuela Jeana Pozziego, nakreślony pod pretekstem fascynacji słynnym portretem pędzla Johna Singera Sargenta, w rzeczywistości zapierający dech w piersiach obraz francuskiej *belle époque* i jej nieoczywistych czasem związków z kulturą i historią Wielkiej Brytanii. Polski czytelnik znów może poczuć się zawiedziony. Sporo w tym winy wydawcy, który po raz kolejny wykazał się brakiem odpowiedzialności i zmysłu krytycznego.

Nie ma się dokąd śpieszyć. Można czytać Barnesa w oryginale albo czekać dłużej na dobre przekłady. Barnes od prawie 40 lat mieszka w tym samym domu w londyńskiej dzielnicy Tufnell Park, siada do pracy w tym samym pokoju i wystukuje litery na tej samej elektrycznej maszynie do pisania IBM 196c. I od prawie 40 lat wodzi nas za nos. Ciekawe, gdzie każe nam pobłądzić w swojej następnej książce. Ostatnio przebąkiwał, że może już czas na jakąś opowieść o beztroskiej młodości. Ja bym mu nie wierzyła.

© DOROTA KOZIŃSKA

MAURYCY STANKIEWICZ / NOWY TEATR / MATERIAŁY PRASOWE

*Yacine Zmit, Jacek Poniedziałek i Jaśmina Polak w spektaklu „Powrót do Reims" w reżyserii Katarzyny Kalwat*

# Wracaj częściej

DARIUSZ KOSIŃSKI

**Polska elita po 1945 r. tworzy się wciąż na nowo z mieszaniny wspomnień, wzorów z przeszłości, działań niedobitków, a przede wszystkim – z wielkiej energii przynoszonej przez kolejne fale uciekinierów.**

Książka „Powrót do Reims" socjologa i filozofa Didiera Eribona, profesora na uniwersytecie w Amiens, wykładowcy w Berkeley, Cambridge, Princeton i Walencji, zrobiła furorę. Najpierw we Francji. Dziesięć lat po premierze ukazała się w 2019 r. w Polsce i też narobiła sporo hałasu. Wszystko wskazuje na to, że podobnie będzie z najnowszym przedstawieniem Katarzyny Kalwat według Eribona. Tylko czy ten polsko-francuski hałas czegoś zasadniczego nie zagłusza?

### O nas dla nas

Twórczość teatralna Katarzyny Kalwat stanowi niemal modelowy przykład tego, w jak odmienny sposób i w jak różnych przestrzeniach działa i poszukuje tematów teatr, który nie „wystawia sztuk", ale przeprowadza rodzaj artystyczno-badawczych eksploracji. Reżyserka, pracująca dziś w supermodnych warszawskich teatrach i galeriach, nie tworzy programowej awangardy czy alternatywy i nie wydaje się mieć zapędów rewolucyjnych. Choć ma na swoim koncie przedstawienia, które można uznać za wyraziste przykłady nowego języka teatralnego (choćby głośny „Rechnitz. Opera – Anioł Zagłady" zrealizowany w TR z Wojciechem Blecharzem, 2019), to wiele jej spektakli wpisuje się bezproblemowo w dominujące konwencje i ramy instytucjonalne („Wasza Wysokość" Anny Wakulik w Teatrze WARSawy, 2014; „Reykjavík'74" Marty Sokołowskiej w Teatrze im. Horzycy w Toruniu, 2016). I w środowiskowe oczekiwania.

Reżyserce wręcz zarzuca się niekiedy, że swoje sukcesy zawdzięcza przedstawieniom skierowanym do specyficznej kulturalnej elity, która zajmuje się głównie sobą. Rzeczywiście: eksploracja mechanizmów społecznego funkcjonowania złożonych osobowości artystycznych (Tomasz Sikorski w „Holzwege", 2016, „Grotowski non-fiction", 2019) czy problem ich widzialności, a nawet realności (projekt „Maria Klassenberg. Ekstazy", 2019-20) to tematy ekscytujące stosunkowo wąskie środowisko artystyczno-intelektualne.

Można jednak zarzut odwrócić i powiedzieć, że Katarzyna Kalwat robi przedstawienia o i dla takiej publiczności, dla której teatr jest wciąż naprawdę ważny. Także w tym wyraża się ta „nowa mainstreamowość", której scenami są modne warszawskie instytucje. Skoro kolejni dyrektorzy, którzy wierzą, że istnieje gdzieś nieodkryta grupa widzów, ponoszą bolesne klęski, to może czas najwyższy uznać, że dzisiejsza widownia teatralna to właśnie stali bywalcy kawiarni przy Madalińskiego.

Ja w każdym razie nie widzę nic z zasady nagannego w tym, że robi się teatr dla tego niewielkiego środowiska, które teatr konsekwentnie wspiera, które nim żyje i które trwale zaangażowane jest w jego obronę. Zwłaszcza gdy – jak w przypadku najnowszej premiery Katarzyny Kalwat – wywołuje się w ten sposób dyskusję, która dotycząc tego środowiska, ma szansę mocno rezonować także poza nim.

### Zerwanie przedstawienia

„Powrót do Reims" od miesięcy był zapowiadany jako jedno z najważniejszych wydarzeń teatralnych przełomu lat 2020/2021. Wczesną jesienią można było mieć nadzieję, że jego premiera odbędzie się na żywo, ale szybko okazało się, że to tylko chciejstwo. I pokazy na krakowskim festiwalu Boska Komedia, który jest jego współproducentem, i oficjalna premiera w warszawskim Nowym Teatrze (10 stycznia 2021) odbyły się w formie streamingu przedstawienia granego bez publiczności. Twórcy bardzo na to narzekali, bo przez większą część pracy nastawieni byli na formę sceniczną i musieli potem przekomponować przedstawienie na potrzeby grania do kamery, ale trudno zaprzeczyć, że obecność w sieci nadała „Powrotowi do Reims" większy zasięg i znaczenie.

Już w czasie Boskiej Komedii trzeba było zorganizować dodatkowy pokaz, bo nie wszyscy chętni byli w stanie obejrzeć pierwszy *streaming*. W normalnym kalendarzu teatralno-festiwalowym byłoby to bardzo trudne. W sieci – o wiele łatwiejsze, dzięki czemu przedstawienie mogło obejrzeć znacznie więcej osób. Po środowisku poszedł zaś natychmiast – jak to się pięknie na Podhalu mówi – hyr i było jasne, że przedstawienie trzeba zobaczyć, bo będzie przedmiotem wielu rozmów i dyskusji.

Dokładniej mówiąc – nie ono samo, ale temat, który jest w nim rozgrywany. Katarzyna Kalwat, którą bardzo cenię za sposób, w jaki bez manifestów i manifestacji przepracowuje języki i konwencje przedstawieniowe, w tym przypadku postawiła świadomie na recykling. Z jednej strony sięga po bardzo łatwą i natychmiast rozpoznawalną konwencję widowiskową (w tym przypadku – telewizyjnego *show*), z drugiej – po wykorzystywaną już w poprzednich przedstawieniach dramaturgię stopniowego rozpadu tej konwencji pod wpływem napierających z wewnątrz sił, których nie jest ona w stanie objąć i stłumić. Na tej właśnie zasadzie zbudowane było „Grotowski non-fiction", ujęte w konwencję konferencji naukowej, z „autentyczną" prowadzącą (prof. Krystyna Duniec lub Roman Pawłowski), referatami, stołem prezydialnym, a nawet specjalnie opublikowaną książką konferencyjną. Narracje proponowane przez referentki i referentów stopniowo wzajemnie się podważały, a cała konferencja była rozsadzana przez to, co się w niej nie mieściło.

W „Powrocie do Reims" zasada jest niemal dokładnie taka sama: jesteśmy w studiu telewizyjnego programu „Aspekt" – utrzymywanego (także przez kontrolujący całość algorytm) na odpowiednio wysokim poziomie współczesnego dyskursu. Prowadzą go posługujący się wyłącznie żargonem modni dziennikarze reprezentujący karykaturę intelektualnej gadaniny i poprawności politycznej (Jaśmina Polak i Yasmine Zmit), a ich gościem jest nie kto inny jak profesor Didier Eribon (Jacek Poniedziałek).

Tezy jego głośnej książki przedstawiają jednak głównie prowadzący, zwłaszcza – jakżeby inaczej – mężczyzna. Zalewając partnerkę i gościa irytującym potopem słów, stopniowo doprowadza do ich reakcji, która ma najpierw charakter rozpadu języka (głosowa „aria" dziennikarki albo dźwiękowa kompozycja tworzona przy pomocy uderzania w mikrofony), a potem stopniowego demontażu konwenansu i konwencji. Dopiero ich rozbicie umożliwia wypowiedzenie zasadniczego dylematu niespójności tożsamościowej.

Można odnieść wrażenie, że ten dylemat, opowiedziany w książce łączącej relację osobistą z dyskursem naukowym, zarazem nie zostaje do końca w niej przedstawiony i domaga się rozegrania angażującego ciało i osobę, a nie tylko dyskurs i status. Dlatego „Powrót do Reims" potrzebuje teatru, potrzebuje też aktora, który tkwiące w jego rdzeniu sprzeczności przeżyje i wcieli. Jak twierdzą twórcy przedstawienia, ze względów biograficznych takim aktorem ma być Jacek Poniedziałek. I choć zasadniczo nie odwołuje się do osobistych doświadczeń, to jego działania sceniczne i finałowe zdjęcia ukazujące go na krakowskim blokowisku Olsza II, gdzie się wychował, mają nas przekonać, że pod powodzią obcych słów żyje jak najbardziej nasz, swojski, bliski żmut – prawdziwa plątanina tożsamościowa dotycząca jeśli nie wszystkich, to z pewnością wielu z nas.

### Rozerwany habitus

Mnie niestety nie przekonały. W moim odczuciu przedstawienie Kalwat ponosi bolesną porażkę dokładnie tam, gdzie powinno bić źródło jego największej siły: w dotarciu przez opowieść i analizę Eribona do sprzeczności i splątań, które dotyczą nas, żyjących tu i teraz, w kompletnie innej od francuskiej sytuacji społecznej i kulturowej.

Publikacji książki Eribona towarzyszyły promocyjne i krytyczne komentarze dotyczące w dużej mierze analogii między opisywaną przez niego sytuacją a tym, co jest doświadczeniem wielu mieszkańców dzisiejszej Polski. Eribon pochodzi z robotniczej rodziny z przemysłowych przedmieść Reims, ze środowiska, które reprezentuje wszystko to, z czym dzisiaj autor walczy. Walczy, by bronić tego, co rozpoznał jako najgłębiej własne. Podążając za poczuciem odrębności, wzmacnianym przez wykluczone w jego „małej ojczyźnie" pragnienie homoseksualne, nie tylko uciekł z Reims przenosząc się do Paryża, ale całkowicie przekształcił siebie, przyjmując i doskonale realizując kody francuskiej elity intelektualnej, łącznie z aparatem pojęciowym i analitycznym, gustami i stylem życia codziennego.

Stając się „profesorem Eribonem" pozornie wyrzekł się Didiera z Reims. Ale gdy po śmierci ojca zdecydował się na tytułowy powrót, odkrył, że wyparcie, które wytworzyło jego życie, nie jest i nie może być doskonałe, a nawet – i to jest chyba najważniejsze źródło politycznego znaczenia tej książki – stanowi zaprzeczenie postawy i idei, której zasadniczo stara się być przecież wierny.

Podobnie jak wszyscy intelektualiści i aktywiści walczący z wykluczeniem, Eribon chce pomóc tym, którzy – jak on – muszą walczyć o prawo do pełnej realizacji siebie. Jego walka oznacza jednak wykluczenie tego, z czego sam się wyrwał, prowadząc do swoistego wyparcia się klasy ludowej będącej teoretycznie środowiskiem działania i przedmiotem troski lewicy.

Ten aspekt książki Eribona rzeczywiście wydaje się ważny do przemyślenia w Polsce. Ale właśnie on nie jest tematem przedstawienia Kalwat. Jeśli współ- ↦

czesna lewica intelektualna w ogóle się tu pojawia, to jedynie na poziomie dość łatwej i mało odkrywczej parodii, funkcjonującej w przedstawieniu jak irytująco przedłużany żart, którego puentę znamy już po kilku minutach, a który opowiada nam się dalej, marnując nasz i aktorów czas.

Co jeszcze bardziej zaskakujące – wbrew tezom powtarzanym w materiałach promocyjnych w przedstawieniu brak rozpoznania rodzimej analogii. Ma ona jakoby polegać na tym, że współczesna polska klasa kreatywna składa się z ludzi, którzy jak Eribon uciekli z jakichś swoich „Reims", wyparli się ich i żyją w jakiejś „Warszawie" udając, że nie cierpią z powodu „rozerwanego habitusu". Rozerwanie, którego dotyczy przedstawienie, ma być doświadczeniem widzów: tak jak dzięki powracającemu do Reims Eribonowi powraca na Olszę Poniedziałek, tak i my sami mamy zmierzyć się z naszymi ucieczkami i powrotami.

Obawiam się, że ta próba włączenia widzów w proces inicjowany przez przedstawienie rozbija się o istniejącą między nami i sceną przezroczystą ścianę. Nie ścianę komputerowego ekranu, ale zasadniczego nieporozumienia, które – moim zdaniem – pojawiło się już w dyskusji wokół książki. Teatr ujawnił je i wzmocnił (co samo w sobie jest teatru zasługą, choć chyba nieplanowaną). Sytuacja francuskiego uciekiniera jest po prostu zupełnie inna niż sytuacja jego rzekomych polskich odpowiedników.

Po pierwsze i przede wszystkim – polska elita intelektualna, kulturalna i jaka tam jeszcze, sama w sobie jest efektem wielokrotnych przerwań i przemieszań. Tu kluczowe znaczenie ma katastrofa II wojny światowej. To ona spowodowała całkowite niemal zerwanie ciągłości kulturowej w tych środowiskach, które we Francji (a także w Wielkiej Brytanii, Włoszech czy Hiszpanii) wytwarzają kody, języki i modele ustanawiające elitarność zakorzenioną w ściśle klasowej, często jeszcze feudalnej przeszłości. W efekcie tego zerwania polska elita po 1945 r. tworzy się wciąż na nowo z mieszaniny wspomnień, wzorów z przeszłości, działań niedobitków, a przede wszystkim – z wielkiej energii przynoszonej przez kolejne fale uciekinierów.

**Przedstawienie Katarzyny Kalwat ponosi porażkę** dokładnie tam, gdzie powinno bić źródło jego siły: w dotarciu przez opowieść Eribona do sprzeczności i splątań, które dotyczą nas, żyjących tu i teraz.

Elitotwórcza migracja do wielkomiejskich centrów z wsi, małych i większych miasteczek, w których mieszka większość Polaków, nie dokonała się dopiero po 1989 r., ale odbywa od zakończenia II wojny nieustannie. Jej kontekstem jest ten wielki i wciąż trwający proces, który Andrzej Leder nazwał „prześnioną rewolucją". Bez uwzględnienia tej zasadniczej zmiany, której efektem jest sięgające najgłębszych warstw i wciąż trwające przemieszanie, nie da się zrozumieć naszego osobistego doświadczenia.

### O Arlecchino, Arlecchino!

Nie da się go też ująć i zamknąć w formułę prostej podwójności Reims-Paryż. Słuchając Poniedziałka opowiadającego, jak to nie może być sobą, bo jest zarazem profesorem i chłopakiem z przedmieść, miałem wrażenie, że to uproszczenie zmienia rzeczywiste problemy, z jakimi żyjemy, w anegdotę, którą można zbyć wzruszeniem ramion. Masz problem z podwójnością, bo pojechałeś po latach do mamusi? A co powiesz, kolego, tym, którzy ze swojego rodzinnego miasteczka, gdzie nie było liceum, jeździli do lokalnej „metropolii", gdzie też byli obcy, stamtąd pojechali potem na studia do dużego, starego miasta, by po zakończeniu uniwersytetu znów ruszyć w drogę do stolicy kraju, a potem może jeszcze dalej – do którejś ze stolic świata? A co ma twoja powrotowa „trauma" wspólnego z doświadczeniem ludzi, którzy uciekli, ale nie zerwali kontaktu i regularnie jeżdżą do rodziców, by przez weekend odgrywać takich siebie, jakimi mama i tata lubią ich widzieć?

Rzekomo dramatyczna opowieść o rozerwanym habitusie ucieleśniana przez aktora pochodzącego z Krakowa (zaiste – Olsza II jako Reims to coś, co mnie i ludzi z podobnym do mojego rodowodem może tylko rozśmieszyć) przechodzi mimo uszu i nie dotyka większości z nas, których habitusy są jak stroje arlekina pozszywane z wielu niepasujących do siebie kawałków. Nasza sytuacja jest o wiele bogatsza i ciekawsza.

I jeśli coś mnie w przedstawieniu Katarzyny Kalwat naprawdę głęboko rozczarowuje, to zmarnowanie okazji, by przy pomocy Francuza przebić się do naszych opowieści, nam dać scenę. To się oczywiście może stać przy okazji tego spektaklu, w ramach dyskusji o nim (w końcu to właśnie usiłuję zrobić w tym tekście), ale gdy patrzę na miotającego się z całym swoim teatralnym mistrzostwem Poniedziałka, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że o wiele ciekawsze jest to, o czym milczy zamknięta w scenicznej formie Jaśmina Polak. To przecież jej rodzinne małe miasto mam za oknem, gdy piszę ten tekst do inteligenckiego tygodnika, mającego siedzibę (choć już niedługo) w bocznym skrzydle pałacu, a tuż za rogiem jest uniwersytet, na którym profesorem jestem ja – chłopak z Zawiercia, czyli z takiego nikąd, przy którym nawet przedmieścia Reims są centrum cywilizacji europejskiej.

To splątanie, które dotyczy tak wielu z nas, nie jest przy tym tylko kwestią osobistą. Jestem przekonany, że właśnie tu rozgrywa się i pracuje mechanizm decydujący o kształcie dzisiejszego polskiego społeczeństwa i że właśnie o nim trzeba dziś szczególnie intensywnie myśleć. Zwłaszcza w teatrze, bo to w teatrze możliwe jest myślenie dostatecznie dynamiczne i nie zero-jedynkowe, by owo splątanie wydobyć i wyjaśnić. I tylko w teatrze, jak sądzę, możliwe jest tego splątania przeżycie w całej jego niesamowitej twórczej złożoności, by w końcu odkryć, że wbrew temu, co wydaje się tak dręczyć Eribona-Poniedziałka, kostium z połatanych habitusów może być bardzo wygodny.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

RADIO KRAKÓW
**Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".**
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE

*Magdalena Popławska w roli Agnieszki Osieckiej*

# Apel poległych

JAKUB MAJMUREK

**Oglądamy zupełnie świeckie, wolnomyślicielskie, swobodne obyczajowo artystyczne elity, które mimo PRL-u tworzyły fascynującą, żywą kulturę. Niestety, oglądamy je w beznadziejnym serialu.**

Biografia Agnieszki Osieckiej zawiera w sobie wszystko, czego potrzeba do nakręcenia znakomitego serialu – kawał polskiej kultury, błyskotliwe, znane i lubiane postacie, piosenki, których teksty kojarzy niemal każdy, bogate życie uczuciowe, a przede wszystkim fascynującą, charyzmatyczną, wymykającą się szablonom bohaterkę.

Niestety, jak pokazuje zrealizowany dla TVP serial „Osiecka", z najlepszych składników można ugotować niestrawne danie. Od czasu polskiego „Wiedźmina" (2002) nie pamiętam telewizyjnej produkcji, która tak spektakularnie zmarnowałaby potencjał wyjściowego materiału.

### Tak się dziś nie kręci

Co dokładnie nie zadziałało w „Osieckiej" w reżyserii Roberta Glińskiego i Michała Rosy? Przede wszystkim forma. Ten serial wygląda jak telewizyjna żywa skamielina, słaba produkcja sprzed ćwierć wieku. Pierwszy odcinek, przedstawiający szkolne lata Osieckiej, przypomina raczej ekranizację Kornela Makuszyńskiego wyjętą z telewizyjnego archiwum niż współczesne produkcje o i dla młodzieży. W kolejnych odcinkach, wraz z dorastaniem bohaterki, serial nie robi się ani trochę mniej naiwny i infantylny.

Akcja rozwija się przy tym w ślimaczym tempie. Twórcy w ogóle nie mają ↦

↦ wyczucia rytmu współczesnej telewizji. Praktycznie każda informacja, jaka się pojawia – na temat bohaterów, ich relacji, świata przedstawionego – zostaje powtórzona kilka razy, na wypadek gdyby za pierwszym razem widz jej nie zarejestrował.

Współczesne seriale przyzwyczaiły nas do figury narratora niewiarygodnego, narracji onirycznej, eliptycznej, mieszającej porządki czasowe, do narracji-łamigłówek, które widz ma rozwiązać. W „Osieckiej" narrator przypomina kogoś, kto opowiadając nam o swoich wakacjach, wyciąga zrobione w ich trakcie zdjęcia i nie tylko opisuje to, co się na nich znajduje, ale jeszcze wskazuje palcem elementy, na które mamy zwrócić szczególną uwagę.

Taki model narracji mógł działać kilka dekad temu, w czasach, gdy telewizja była medium wspólnie oglądanym przez całą rodzinę. Trzeba było opowiadać tak, by widz mógł w trakcie emisji spokojnie zrobić herbatę, uspokoić niesforne dziecko albo wdać się w dyskusję z babcią i mimo to nie stracić wątku. Dziś, gdy serial można zastopować w dowolnym momencie, a ogląda się go raczej w skupieniu i mniej lub bardziej samotnie, jest zupełnie inaczej.

Trudno też w produkcji TVP mówić o jakimkolwiek pomyśle reżyserskim czy wizualnym. W żadnym z widzianych przeze mnie odcinków nie znalazłem ani jednego ciekawego, nieoczywistego rozwiązania inscenizacyjnego czy zapadającego w pamięć obrazu. Wszystko wygląda jak kolejny odcinek „Klanu" w kostiumach, ewentualnie fabularyzowane wstawki w popularnonaukowym programie historycznym o życiu w PRL.

Szkoda świetnych aktorów, którzy wyraźnie się tutaj marnują. Zwłaszcza obu odtwórczyń roli Osieckiej: Elizy Rycembel i Magdaleny Popławskiej. Jeśli cokolwiek ten serial ratuje, to właśnie ich kreacje, talent do ożywiania najbardziej nieudolnie wyreżyserowanych i napisanych scen. Gorzej niestety jest już z drugim planem: postaci kolejnych partnerów Agnieszki oraz jej przyjaciółek zredukowane zostają wyłącznie do leniwego stereotypu. Matka Agnieszki się martwi, uśmiechnięte aktorki STS-u śpiewają i kłaniają się na scenie, Hłasko pije i obiera kurs na destrukcję, Frykowski emanuje męską energią, Przybora trzyma nienaganne przedwojenne maniery wbrew rzeczywistości PRL itd.

## Historia i biografia

Oglądając „Osiecką" trudno uniknąć porównań z dwiema filmowymi biografiami: „Bogami" (2014) Łukasza Palkowskiego i „Sztuką kochania" (2017) Marii Sadowskiej. Oba tytuły, zrealizowane na podstawie scenariuszy Krzysztofa Raka, oferowały podobną formułę: biografię niezwykłej postaci na tle codziennego życia Polski Ludowej. W przypadku „Bogów" – Zbigniewa Religi, pracującego nad pierwszym udanym przeszczepem serca w Polsce, w przypadku „Sztuki kochania" – Michaliny Wisłockiej, seksuolożki, edukatorki seksualnej i autorki najpopularniejszej w PRL książki o seksie.

Zarówno Religa, jak i Wisłocka wyrastają w tych filmach ponad rzeczywistość PRL, myślą dalej i śmielej, niż pozwalała przykrywająca całe życie społeczne partyjna czapa, wchodzą w nieuniknione konflikty z władzą. Jednocześnie na różne sposoby próbują jakoś ułożyć sobie życie, a dla realizacji swoich planów szukają sojuszy i punktów oparcia (w społeczeństwie, różnych ośrodkach władzy, nieformalnych sieciach znajomości). Religa walczy o uruchomienie polskiego programu przeszczepów serca, Wisłocka o wydanie „Sztuki kochania" i seksualne oświecenie Polek i Polaków.

Takie ujęcie zmagań bohaterów z powojenną rzeczywistością pozwala obu filmom na bardzo ciekawe spojrzenie na PRL. Wykracza ono poza trzy narracje najczęściej organizujące w ostatnich dwóch dekadach sposób opowiadania o powojennej historii: moralistyczny dyskurs przedstawiający wszelką współpracę z systemem jako zdradę, martyrologiczną opowieść o zmaganiu zniewolonego narodu z obcą mu władzą i komiczną narrację o barejowskich „absurdach PRL-u". Choć biografie Religi i Wisłockiej są wyjątkowe, to sięgając po nie scenariusze Raka wprowadzają do kina doświadczenie życia w PRL chyba najbliższe większości Polaków. Ludziom, którzy ani szczególnie nie angażowali się w komunistyczny system, ani otwarcie nie występowali przeciw niemu, próbując zrobić w nim coś sensownego: z władzą lub wbrew niej.

W obu produkcjach widzimy, że poza znaną i wielokrotnie opowiadaną historią polityczną Polski Ludowej toczyła się w niej równie ciekawa i nie mniej istotna historia społeczna. W „Bogach" jest to historia polskiej medycyny, próbującej nadrobić dystans do Zachodu. W „Sztuce kochania" obserwujemy dokonującą się w autorytarnym ustroju rewolucję obyczajową, społeczeństwo – zwłaszcza kobiety – uczące się mówić o seksie, własnych pragnieniach i potrzebach intymnych. Zarówno Religa, jak i Wisłocka mają w scenariuszach jasno wyznaczone stawki, o które toczą walkę. Wisłocka, postępowa jak na swoje czasy edukatorka seksualna skonfrontowana z purytańską, pełną moralnych przesądów władzą, i Religa, sięgający po metody leczenia budzące kontrowersje, również bioetyczne, wpisują się przy tym w polskie spory z drugiej dekady XXI wieku.

Być może popularność ich filmowych biografii wynikła z tęsknoty polskiej publiczności za mądrym lekarzem, który umiałby przerwać nasze skrajnie upolitycznione i budzące złe emocje spory – o przerywanie ciąży czy edukację seksualną – spokojnie tłumacząc, o co w nich właściwie chodzi. Tak jak Religa tłumaczy żonie pacjenta, że serce to tylko mięsień pompujący krew, a jego przeszczep nie zmieni duszy jej męża.

## Maszynka wypluwająca banały

Dobry serial o Osieckiej mógłby spełnić podobną rolę. Wychodząc od biografii niezwykłej postaci, można by naszkicować panoramę kultury popularnej w PRL. Pokazać, jak grupa wybitnych talentów, mimo autorytarnego systemu – ale czasem także korzystając ze specyficznych możliwości, jakie dawał – tworzy piosenki, filmy, sztuki teatralne, programy telewizyjne, kształtujące język, którym do dziś wszyscy mówimy.

Po prawie ośmiu godzinach z „Osiecką" nie czuję stawki, o jaką walczyłaby bohaterka. Trudno też powiedzieć, jaki cel – poza odhaczeniem historycznego tematu – stawiają sobie twórcy serialu. Co właściwie chcą powiedzieć, sięgając po tę właśnie postać? To pytanie kluczowe, bo serial czy film biograficzny, który nie jest kręcony „po coś", łatwo zmienia się w serię banalnych, pozbawionych znaczenia anegdotek.

Do tego sprowadza się produkcja TVP. Nie udaje się jej pokazać społecznego ekosystemu, w jakim powstał feno-

men Osieckiej. Sama poetka, podobnie jak pojawiający się w kolejnych odcinkach aktorzy, reżyserzy, pisarze, działają w niemal zupełnej społecznej próżni. Ich jedyny kontakt z zewnętrzną rzeczywistością to sporadyczne konflikty z cenzurą. W serialu prawie w ogóle nie ma publiczności, odbierającej ich twórczość – przynajmniej nie w pierwszych ośmiu odcinkach. Tymczasem w historii Osieckiej fascynuje to, w jaki sposób ta tak prywatna, intymna, liryczna autorka była w stanie pisać piosenki śpiewane przez całą Polskę, także tę spoza jej towarzyskiej bańki.

Banalne jest też spojrzenie „Osieckiej" na PRL. Choć narracja niemiłosiernie się ciągnie, twórcom nie udaje się pokazać, jaki jest właściwie stosunek bohaterki do ustroju i tworzonej przez niego rzeczywistości. W pierwszych odcinkach widzimy dziewczynę zaangażowaną w ZMP, która wydaje się traktować komunistyczną działalność poważnie, wcale nie ze strachu czy konformizmu. Szybko jednak okazuje się, że rzekomo rewolucyjna organizacja to zbieranina karierowiczów, w której dla tak niezależnej postaci nie ma miejsca. W następnych odcinkach Osiecka coraz bardziej oddala się od ideologii PRL, a gdy w końcu wyjeżdża do Francji, przy pierwszej okazji kieruje swoje kroki do Maisons-Laffitte. Ta przemiana jest jednak pokazana skrajnie powierzchownie, przemyka na ekranie między kolejnymi zużytymi anegdotkami.

W drugim odcinku Osiecka, jako młoda dziennikarka, trafia do gdańskiego teatru Bim-Bom, gdzie poznaje Bogumiła Kobielę i Zbigniewa Cybulskiego. Gdy studiuje w łódzkiej filmówce, idzie na studencką zabawę, na którą Roman Polański napuścił lokalnych chuliganów, by sfilmować nieuniknioną konfrontację – w ten sposób powstała jego głośna etiuda „Rozbijemy zabawę" (1957). Kiedy Osiecka ma romans z Jeremim Przyborą, zaglądamy za kulisy Kabaretu Starszych Panów. Trudno jednak powiedzieć, czemu ma służyć przywołanie tych ikonicznych dzieł powojennego filmu i telewizji.

Serial nie oferuje żadnego nowego spojrzenia, żadnej nowej interpretacji powojennej kultury. Fragmenty wprost przywołujące takie dzieła, jak wspomniany studencki film Polańskiego czy wyrastające ze środowiska Bim-Bomu „Do widzenia, do jutra" (1960) Janusza Morgensterna, wyglądają, jakby ktoś nakręcił nieudolny *remake* klasyków polskiego kina i telewizji, odzierając je z aury i magii.

**To paradoks, że „Osiecka" emitowana jest właśnie w TVP.** Jakkolwiek nieudolny byłby bowiem obraz kulturalnych elit PRL pokazany w serialu, w ogóle nie wpisuje się on w narrację rządzącej telewizją prawicy.

### U Kurskiego, czyli: czyje na wierzchu

Najciekawsza w tej nieudanej produkcji jest specyficzna relacja między tym, co widzimy na ekranie, a ogólnym przekazem pokazującej to stacji: TVP pod kierownictwem Jacka Kurskiego. To paradoks, że „Osiecka" emitowana jest właśnie na tej antenie. Jakkolwiek nieudolny byłby bowiem obraz kulturalnych elit PRL pokazany w serialu, w ogóle nie wpisuje się on w narrację rządzącej telewizją prawicy, dla której Polska Ludowa to totalitarna władza, żołnierze wyklęci, społeczeństwo trwające w oporze przeciw reżimowi, znajdujące swoją prawdziwą kulturę i tożsamość w Kościele, a następnie w Solidarności.

W „Osieckiej" widzimy tymczasem zupełnie świeckie, wolnomyślicielskie, prywatnie bardzo swobodne obyczajowo artystyczne elity, które choć szybko rozczarowały się partią i komunistyczną ideologią, to jednocześnie nigdy nie zbliżyły się do Kościoła. Tworzyły przy tym fascynującą, żywą kulturę, meblującą wyobraźnię polskiego społeczeństwa.

TVP emituje serial w tym samym czasie, gdy jej programy informacyjne atakują aktorów, którzy zaszczepili się przeciw covidowi poza kolejką, jako beneficjentów (post)komunistycznego układu, wynoszącego artystów ponad zwykłych Polaków w zamian za polityczne poparcie. Bez wątpienia eksperci „Wiadomości" byliby skłonni zaatakować bohaterów serialu w podobny sposób. W „Osieckiej" pozytywnymi bohaterami są postaci od lat znienawidzone przez rządzącą Polską prawicę, jak Olga Lipińska, czy ciągle przez nią atakowane, jak przedstawiciele „postkomunistycznego salonu", np. Daniel Passent. Fakt, że telewizji Kurskiego – mimo zapowiedzi i politycznego zamówienia – nie udało się urodzić żadnej dużej, popularnej produkcji o Ince, Lechu Kaczyńskim, Annie Walentynowicz czy innych ikonach prawicowej polityki historycznej (z wyjątkiem współprodukowanej przez TVP i tragicznie złej „Historii Roja"), a udało się o Osieckiej i Passencie, jest doprawdy ironiczny.

W jednej ze scen serialu pojawia się zaskakująca jak na tego nadawcę treść. Agnieszka Osiecka rozmawia z dorosłą córką Przybory. Dziewczyna jest w ciąży, nie wie, co zrobić. Osiecka cierpliwie jej tłumaczy, że to od niej i tylko od niej zależy, czy chce dziecka, czy go nie chce. Jesteśmy w świecie, gdzie prawo kobiety do przerwania ciąży jest czymś oczywistym – całe galaktyki od przekazu rządzącej partii i TVP na ten temat.

Jednocześnie na poziomie formy ten serial wpisuje się niestety w to, co w telewizji Kurskiego i w ogóle w polskiej telewizji najgorsze. Jest anachroniczny, nijaki estetycznie, stawia na toporną, opartą na nieskończonych powtórzeniach komunikację z widzem, którego nie traktuje jak osobę myślącą. Nie jest też zdolny nawiązać dialogu ze współczesnym telewizyjnym językiem. Dopóki telewizyjni decydenci, nie tylko z Woronicza, będą uważać, że polski widz jest w stanie zrozumieć tylko takie produkcje, nigdy nie będziemy mieli nad Wisłą dobrej telewizji.

Czy ostatecznie postać i biografia Osieckiej przemyci do obecnej TVP treści wywrotowe z punktu widzenia polityki stacji, czy też charakterystyczna dla tej stacji forma ostatecznie pogrzebie „Osiecką", będzie można powiedzieć po obejrzeniu całości. Na wynik pojedynku nie czekam jednak z zapartym tchem, bo po ośmiu odcinkach mam serdecznie dosyć tej produkcji. Jedyne emocje, jakie we mnie budzi, to żal, że zmarnowano materiał na naprawdę wielką telewizję, i złość na to, że serial TVP najpewniej zablokował świetny temat na lata.

© JAKUB MAJMUREK

MATERIAŁY PRASOWE

*Welket Bungué jako Francis w filmie „Berlin Alexanderplatz”*

# Nowy Babilon Berlin

ANITA PIOTROWSKA

**Mistrzowska mieszanka dramatu społecznego i melodramatu, kina gangsterskiego i psychothrillera, biblijnej przypowieści i animistycznej klechdy, w klimacie niczym z narkotycznego tripu.**

Nic tak nie świadczy o żywotności klasycznej literatury europejskiej, jak jej świeże odczytywanie przez twórców z innych kultur. Przed dwoma laty w rankingu „Guardiana” na najlepszą szekspirowską adaptację filmową wszech czasów zwyciężył nie Orson Welles, Roman Polański czy Kenneth Branagh, lecz Akira Kurosawa za „Tron we krwi” (1957), samurajską interpretację „Makbeta”.

Odkąd w latach 90. obrodziło ekranizacjami prozy Jane Austen, za najlepszą uchodzi po dziś dzień „Rozważna i romantyczna” (1995) Anga Lee, imigranta z Tajwanu. Żeby zobaczyć w „Nędznikach” powieść na wskroś współczesną, trzeba było Ladja Ly, francuskiego reżysera o malijskich korzeniach, który ducha społecznej rebelii przeniósł na podparyskie blokowiska. A jeśli ktoś szuka dziś w kinie śladów wielkich Rosjan, znajdzie je w dziełach filmowców tureckich: u Nuriego Bilgego Ceylana (Czechow) czy Zekiego Demirkubuza (Dostojewski).

Nie powinno więc dziwić, że „Berlin Alexanderplatz” Alfreda Döblina, jedna z najważniejszych powieści niemieckich XX wieku, stał się inspiracją dla reżysera o afgańskim nazwisku i przyniósł wielce oryginalny efekt. Burhan Qurbani, urodzony 40 lat temu w Nadrenii Północnej-Westfalii, zrezygnował z kanonicznego odczytania i to nie tylko dlatego, że posępna historia Franciszka Biberkopfa z czasów Republiki Weimarskiej doczekała się już kongenialnej adaptacji, czyli serialu Rainera Wernera Fassbindera z 1980 r. (był też film Phila Jutziego z roku 1931).

Nad Alexanderplatz góruje teraz słynna wieża telewizyjna, ale nie przypomina on ikonicznego miejsca znanego z pocztówek czy z opowieści o przyjaznym wielokulturowym Berlinie. Po stu latach ta okolica nadal bliższa jest piekłu – zwłaszcza gdy prowadzi nas przez jego kręgi nielegalny imigrant z Gwinei Bissau. Mimo licznych fabularnych innowacji udało się ocalić z książki Döblina to, co najważniejsze – jej fatalistyczną aurę i modernistyczny, zsubiektywizowany język opowiadania. Świat filmu Qurbaniego od pierwszych ujęć okazuje się ekspresjonistyczną projekcją czarnoskórego Francisa, dla którego życie w przeklętym mieście staje się nadludzką próbą.

Nie tyle fizycznego przetrwania, co moralnego ocalenia.

Albowiem niebo nad Berlinem jest mroczne, z czerwonymi rozbłyskami, a zamieszkujące go anioły są upadłe i same potrzebują opieki. Francis przybywa do Europy nawiedzany przez wizje swojego „grzechu pierworodnego", który chciałby zmyć zaczynając nowe, lepsze życie. Ziemią obiecaną rządzi jednak psychopatyczny Reinhold, miejscowy król dilerów – wszystko zresztą jest tutaj na sprzedaż. Jak pozostać jedynym przyzwoitym w Sodomie, w dodatku nie znając języka, nie mając pieniędzy ani niemieckiego paszportu, za to w nadmiarze gwałtowny temperament, skłonność do złych decyzji i zwyczajnego pecha?

Qurbani z udziałem afrykańskiego aktora Welketa Bungué w roli Francisa, który chce być Franzem, gdzieś podskórnie opowiada uniwersalną historię uchodźczego doświadczenia. Przepisuje ją na format greckiej tragedii, gdzie źli bogowie i dobre duchy każdego dnia toczą walkę o duszę bohatera, niezdolnego – z różnych przyczyn – do przeciwstawienia się swemu fatum. Ów wysoki ton w połączeniu z wizualną, werbalną i muzyczną nadekspresją oraz metrażem (trzy godziny!) groził spektakularną wywrotką. Na szczęście twórca „Wyznania wiary" (2010), w którym opowiadał o kulturowym rozdarciu muzułmańskich imigrantów w Niemczech, potrafi mistrzowsko zamieszać w kotle mieszczącym najprzeróżniejsze składniki: dramat społeczny i melodramat, kino gangsterskie i psychothriller, biblijną przypowieść i animistyczną klechdę, a do tego klimat niczym z narkotycznego tripu. Nawet pętla, która stopniowo zaciska się wokół szyi bohatera, okazuje się czymś więcej: intrygującą figurą narracyjną i szerszą metaforą losu.

„Jak już zaprosisz diabła, nie da się łatwo przed nim uciec" – słyszy Francis od jednego z bohaterów. Najbardziej fascynującym wątkiem „Berlin Alexanderplatz" okazuje się właśnie relacja łącząca Francisa z demonicznym Reinholdem, brawurowo zagranym przez Albrechta Schucha. Uosabia on zarówno zło absolutne, niewytłumaczalne i niemal wszechmocne, jak i to bardzo konkretne – w rasistowskim, neokolonialnym kostiumie. Rządzi ową relacją stereotypowy kontrast (ubrana w rachityczne białe ciało impotencja *versus* „czarna witalność"), nade wszystko jednak toksyczne uzależnienie, które dla Francisa oznacza kolejne upadki i cierpienia. W Reinholdzie zaś budzi coraz większą potrzebę niszczenia tego, czego sam nie potrafi odczuć ani pojąć: zdolności do kochania, dążenia ku światłu, potrzeby posiadania wewnętrznego kompasu.

Ale i w rękach Francisa to narzędzie ulega ciągłemu rozchwierutaniu, a dobre intencje za każdym razem obracają się wniwecz, co prowokuje Reinholda do testowania kolejnych granic: czy Francis znowu zboczy? W rytm głuchych industrialnych dźwięków, pulsującej muzyki elektronicznej i przyspieszonych oddechów film Qurbaniego zamienia się w morderczą psychomachię. Refleksje na temat niewydolności niemieckiego systemu imigracyjnego i zorganizowanej przestępczości są tu jedynie punktem wyjścia, a nie dojścia.

Ekran rozsadza przede wszystkim energia opowieści, przekraczającej granice prawdopodobieństwa i realizmu, byśmy mogli zanurzyć się w niej i orgiastycznie unurzać. Obraz występnego miasta jest jak krzykliwe, wielkoformatowe płótno, ociekające krwią i łzami, pełne barwnych, choć zawsze jakoś ubrudzonych postaci. Prawie każda z nich – ukochana Mieze, przyjaciółka Eva, szef gangu Pums – zasługuje na osobne, może nawet serialowe rozwinięcie.

Ta nadmiarowość bywa metodą chwilami ryzykowną, podobnie jak czytana zza kadru opatrznościowa gawęda. I aż strach byłoby pomyśleć, co dziś, w latach 20. XXI w., mógłby zwiastować ten fantasmagoryczny „Babilon Berlin", podszyty diabłem, zwątpieniem w człowieka, brakiem systemowej pomocy i jakiejkolwiek ucieczki. Jak pokazuje cudowny epilog, chyba nawet sam Qurbani trochę się tym przeraził. ©

**BERLIN ALEXANDERPLATZ** – *reż. Burhan Qurbani. Prod. Niemcy/Holandia/ /Francja/Kanada 2020. Dostępny 24 stycznia w ramach Tygodnia Filmu Niemieckiego (22–29 stycznia) na platformie MOJEeKINO.pl.*

## WARTO ZOBACZYĆ

### 1. Atlantyda

*Dramat/SF, reż. Walentyn Wasjanowicz, Ukraina 2019, Cinemax2, 20 I, 20.30, 21 I, 11.50*

**Jak mogłaby w 2025 r. wyglądać powojenna Ukraina? Oczami byłego żołnierza patrzymy na ziemię jałową, zniszczoną fizycznie i duchowo. Nagrodzony w Wenecji film jest w dużej mierze kontemplacją postapokaliptycznego pejzażu, który przemierza bohater w poszukiwaniu okruchów życia, nie tylko w jego biologicznym wymiarze.**

### 2. Szaleństwa Donalda Trumpa

*Dokumentalny, reż. Dan Partland, USA 2020, Canal+ Dokument, 26 I, 17.45*

**Prócz analizy ściśle politycznej czy socjologicznej dostajemy próbkę profilu psychologicznego eksprezydenta USA. Wedle zgromadzonych w filmie specjalistów narcystyczne zaburzenie osobowości byłoby w tym przypadku diagnozą zbyt łagodną. Wskazują na to wypowiedzi i zachowania Trumpa obserwowane na przestrzeni ostatnich lat.**

### 3. Kraina schorowanej wyobraźni

*Dyskusja, prowadzenie Piotr Augustyniak, Bartosz Szydłowski, 22 I, 19.00, teatrwkrakowie.pl*

**Kolejnymi gośćmi filozoficzno-teatralnej „Sztuki myślenia" na deskach krakowskiego MOS-u będą Marci Shore i Przemysław Czapliński. Porozmawiają o tym, w jaki sposób i dlaczego Europa Środkowo-Wschodnia tak bardzo opiera się modernizacji, a nawet stara się zawrócić z „drogi, która trzydzieści lat temu wydawała się bezalternatywna".**

### 4. Fran Lebowitz: Udawaj, że to miasto

*Serial dokumentalny, reż. Martin Scorsese, USA 2021, Netflix*

**Oboje są żywymi symbolami Nowego Jorku. Twórca „Taksówkarza" i błyskotliwa publicystka odbywają siedem krótkich przebieżek po ukochanym mieście, dyskutując na luzie o tamtejszym metrze, księgarniach, pieniądzach, taksówkach czy gentryfikacji. Ciętym językiem, z dużą dozą autoironii, Lebowitz punktuje również własne słabości.**

JAN

# Klata:
## *Sami w domu*

To Państwo widzieli: święto głupców na Kapitolu – błazeńsko swawolne igrce na imperialnym marmurze, żarliwi żartownisie country odstawiają fanfaronady, turnieje wesołków i trefnisiów w jeansach, squotowanie mównicy, farsa forsowania fortyfikacji demokracji w skali king size. Dziwota? Nie dziwota. Ludzie muszą odreagować lockdown, wszak po to prawieki temu wymyślono karnawał czy inne Saturnalia, a czasy są ciężkie ostatnio, więc intensywność i skala atrakcji wzrastają niepomiernie.

Skrzyknęli się do utraty tchu walczący z pedofilskimi pizzeriami posttraperzy, swawolnicy-rekonstruktorzy i inni burleskowi wspinacze – wszyscy, ilu ich Matka Ameryka miała – i odstawiają satyryczne pokazy sprawności i hamburgerowej krzepy na oczach zafascynowanego świata. Tryumf prostaczków stał się ciałem, oczywiście w ścisłych ramach odwiecznych pięciu minut fejmu na fejsie.

Nastąpił nieunikniony rewanż poddanych na reprezentantach, odwracanie hierarchii na całego, zgodnie z wielowiekową tradycją. Papieżem głupców był rogaty człowiek-bizon z futrzastymi kitami, uroczo anachroniczny w epoce globalnego ocieplenia. Zamęt, zamęt performatywny i zawirowania, jakże fotogeniczne! Społecznościowi furiaci epoki permanentnych spisków pokazali, kto tu rządzi, dali elitom do wiwatu, postawili świat do góry nogami, i zrobili kupę selfies w Pałacu Zimowym.

Ruchawka rozpędzona, ale karnawał trwa w najlepsze: koryfeusz z kitami, siedząc pod kluczem, domaga się organicznej strawy w ramach sprawiedliwości, a Trumpa chcą wymazać z filmu sprzed trzydziestu lat. Naprawdę, trudno się nudzić na tym najgłupszym ze światów. Oczywiście, pomysł usuwania trefnych ludzi uwiecznionych w kadrze nie jest jakiś bardzo oryginalny, miał miejsce w innym imperium, no ale to były pamiątkowe foty Sowietów, a nie „Kevin sam w domu". Jak tak dalej pójdzie z wymazywaniem niewygodniejących postaci, najpierw Kevin zostanie naprawdę sam w domu, a na końcu zostanie sam dom, bez Kevina. I kto to będzie oglądał? Agenci nieruchomości? Święto głupców na całego. ©

# Lektor:
## *Klasyk z Buczacza*

▪ *Szmuel Josef Agnon*
**PRZYSIĘGA WIERNOŚCI**
*Z hebrajskiego przełożył Piotr Paziński.*
*Nisza, Warszawa 2020, ss. 140.*

Wiek XX niedawno się zaczął, dwie wielkie wojny dopiero przed nami. Jesteśmy w Jafie, nadmorskim mieście o świetnym klimacie. „Ludzi w niej mrowie: Żydzi, ismailici i chrześcijanie, zajęci handlem, pracą na statkach i załadunkiem towarów". Żydzi to przede wszystkim przybysze z Rosji, którzy przyjechali do Kraju Izraela (znajdującego się wciąż pod rządami Imperium Osmańskiego) w ramach Drugiej Alii. Znalazł się wśród nich także młody Jakob Rechnitz z Austrii, botanik, badacz flory morskiej, który zarabia ucząc łaciny i niemieckiego w szkole hebrajskiej. Równocześnie oddaje się naukowej pasji, a jego odkrycia przynoszą mu międzynarodowe uznanie. Spotyka się też z dziewczętami: Rachel, Leą, Osnat, Rają, Mirą, Tamarą... „Czasem spacerował ze wszystkimi naraz, brzegiem morza... A ponieważ było ich razem siedmioro, i spacerowali w nocy, mówiono o nich w mieście »siedem planet«".

Układ planetarny ulega jednak zaburzeniu, bo do Jafy przyjeżdża konsul Ehrlich z piękną córką Szoszaną. Konsul był niegdyś sąsiadem Rechnitzów i wspierał finansowo kształcenie ich syna, a Jakob z Szoszaną złożyli sobie w dzieciństwie przysięgę wierności. Teraz realistyczna w gruncie rzeczy opowieść przenosi się w półsenne, oniryczne rejony; oboje zdają się być bierni i jakby nieobecni, a Szoszana zapada na tajemniczą chorobę. Czy to rzeczywiście śpiączka, której nabawiła się podróżując z ojcem po Afryce? I czym jest ostatnia scena – może tylko wizją Jakoba? Tego się nie dowiemy, piękna historia miłosna pozostanie niedopowiedziana i otwarta. Agnon (1888–1970), urodzony w Buczaczu klasyk XX-wiecznej literatury hebrajskiej i izraelskiej, laureat literackiego Nobla (1966), opublikował „Przysięgę..." w roku 1943. Obraz Jafy początku wieku mógł oprzeć na własnych wspomnieniach, bo to tam właśnie przyjechał z Europy jako dwudziestoletni początkujący literat; od 1924 r., po dwunastoletnim pobycie w Niemczech, mieszkał do śmierci w Jerozolimie. Pierwsza książka Agnona w Polsce – wybór opowiadań „Od Buczacza do Jerozolimy" w przekładzie Michała Friedmana – ukazała się dopiero w ćwierć wieku po jego śmierci. Cztery lata temu Piotr Paziński wydał kolejny wybór, „Przypowieść o skrybie i inne opowiadania", opatrując go solidnym posłowiem i przypisami. Czytelnikom „Przysięgi..." radzę sięgnąć także po „Przypowieść..." – i odwrotnie. ©℗

PAWEŁ

# Bravo:
## *Kawa za fasadą*

„Na globalnej Północy dobrze wykształceni młodzi ludzie z klasy średniej nie czują bynajmniej, że są wygranymi w nowej gospodarce, jak to było w przypadku ich rodziców z pokolenia powojennego wyżu. Być może właśnie dlatego tak obsesyjnie zajmują się tym, co jedzą i piją, aby mieć poczucie panowania nad chociaż kawałkiem coraz bardziej niedającej się kontrolować rzeczywistości". Gdybym umiał tak pisać, to nie marudziłbym tu wam półgębkiem przy skrobaniu włoszczyzny na rosół, tylko pichcił projekty badawcze, podlewając sosem erudycji, i prószył garściami świeżo zmielonych przypisów. Ale lubię swoje miejsce na taborecie. Rzetelne badanie rzeczywistości wymaga zgody na to, że będzie ona umykać przed zamrożeniem w opisie. Trzeba nieustannie gonić króliczka, od licencjatu aż po zwyczajną profesurę, ja tymczasem wolę, jak mi raz sprawiony królik nie ucieka z brytfanki.

Autorów zacytowanego na wstępie zdania czytelnicy „Tygodnika" mieli już okazję poznać. Mateusz Halawa i Fabio Parasecoli wydali właśnie w USA opracowaną przez siebie pracę zbiorową „Globalny Brooklyn". Rzecz jest, upraszczając, o pewnym stylu kawiarnianych wnętrz i obyczajów, znanych nam też z polskich miast.

Do „brooklińskich" lokali chodzę rzadko, bo polewają tam przeważnie okropną, kwaśną kawę trzeciej czy którejś generacji. Ale doceniam połączenie pierwszego wrażenia jedyności, spontanu i przypadkowości z idealną standaryzacją. Bo wszystkie one podobne jak krople wody, obsługują wszak ten sam rodzaj nomadycznego ludu millenialsów, który tam dopiero staje się sobą, na oczach instagramowego Innego. Goła cegła, surowe dechy i palety, rury na wierzchu, stare graty („miejskie odpadki wyrzucone na brzeg" – piszą panowe H&P), plakaty i pordzewiałe szyldy, edisonowskie żarówki, no i główny ołtarz w tej kaplicy: tablica z wypisanym kredą menu. Scenografia, która robi wszystko, żeby udawać, że nie jest scenografią.

GRAŻYNA MAKARA

Do tego najlepiej postindustrialne otoczenie, o ile takowe jest pod ręką. Kraków właśnie stracił w zeszłym roku takie idealne miejsce – dawną fabrykę papierosów przy ul. Dolnych Młynów. Tutejsi włodarze dopuścili, aby tę enklawę połknął deweloper, który zrobi z niej kolejny hektar bezpłciowej przestrzeni biurowej. Aż żal, że nawet nie pojechali nigdy choćby do Berlina, o którym autorzy książki piszą słusznie, że w tej części świata zastępuje Brooklyn. Może ich powiatowe oczy by dostrzegły, jak bardzo miastotwórcze działanie ma knajpiany ekosystem sprzyjający pracy przemieszanej z próżnowaniem.

Berlin w trakcie przepoczwarzania się lat 90. i początku tysiąclecia był „biedny, ale sexy" – tak zachwalał go jego ówczesny burmistrz, a ja potwierdzam z doświadczenia. Zapuszczone, wyboiste wschodnie dzielnice, w których nie trzeba było specjalnie szukać „miejskich odpadków". Wnętrza, gdzie cegły były na widoku nie dlatego, że architekt tak kazał, tylko tynk po prostu odpadał ze starości. Masa korzystnej, taniej kubatury i scenografii skrzyżowała się z potrzebami hipsterów, którzy zjawili się niczym pierwsi koloniści i próbowali się umościć. Dziś Berlin jest na pewno bogatszy (co widać np. po licznych białych dzieciach w piaskownicach), ale wypracowany wcześniej typ nonszalanckich knajp, w których śniadania podaje się do godziny 18, pozostał. Pamiętając, że za tą fasadą kryje się mało instagramowe życie miasta pełnego problemów, zwłaszcza dla ludzi, którzy śniadanie jedzą pospiesznie, o świcie, jadąc do pracy, trudno nie dostrzegać, jak silne wzorce ona ustanawia.

Aż któregoś dnia pryska jak mydlana bańka. W poprzedni sobotni wieczór snułem się tam po pustych ulicach – wszystko zamknięte, ludzie pozamykani w domach. Znane widoki nagle odrealnione, choć domy i drzewa stoją, semafor z charakterystycznym Ampelmannem mruga, metro pod stopami dudni. Cały anturaż stracił nasycenie kolorów. Było dalej ładnie, ale już nie sexy. Czy to odżyje, kiedy cofnięte zostaną zakazy? Czy ten nomadyczny lud pracujący po kawiarniach nie zostanie już na stałe na domowych kanapach? Na ile „wystylizowany i pełen pastiszów powrót do materialności" potrzebny ludziom, którzy nawet dnia nie przepracowali fizycznie, ostanie się po przewartościowaniu pracy, które dziś przechodzimy? Obiecuję o to przepytać panów Halawę i Parasecoliego, jeśli zgodzą się o tym porozmawiać. Bądźcie z nami co środę! ©℗

*Skoro jesteśmy przy książkach, które do nas nie dotarły, to chciałbym, aby polskiego wydawcę znalazł wreszcie Hugh Fearnley-Whittingstall. Moi bliscy kpią, że jesteśmy bracia, bo co prawda moje nazwisko łatwiej się wymawia, ale tak samo lubimy zapiekać w jednej brytfance kombinacje warzyw i mięsa – mięso dzięki temu przechodzi różnymi smakami, a warzywa zyskują piękny welon z mięsnego tłuszczu. Do tych przepisów jeszcze wrócimy, tymczasem jednak Hugh nową książką zainspirował mnie, by wrócić do sałatek z czerwonej kapusty. „Po swojemu" robiłem ją zwykle tak, że cienko poszatkowaną kapustę dusiłem na paru łyżkach wody pod przykryciem kilka minut, żeby tylko trochę zmiękła, po przestudzeniu soliłem, mieszałem z tartym jabłkiem (w proporcji 2:1) i rodzynkami, skrapiałem octem jabłkowym i olejem. Od niego nauczyłem się innego sposobu: pół główki czerwonej kapusty szatkujemy, w misce mieszamy z dwiema garściami rodzynek, solimy, wlewamy 2 łyżki octu jabłkowego i sok z jednej mandarynki. Mieszamy intensywnie i odstawiamy na 20 minut. Po czym mieszamy z dwiema startymi grubo marchewkami (dla koloru), na wydaniu każdą porcję dekorujemy plastrem mandarynki i siekanymi orzechami.*

# KRYL JEST JEDEN

Oto dominujący gatunek na naszej planecie. Około 500 milionów ton biomasy. Wagowo jest go o jedną trzecią więcej niż ludzi. Król Antarktyki!

MIKOŁAJ GOLACHOWSKI

Nagle woda obok naszego kutra zagotowała się. Pobieraliśmy właśnie próby osadów z dna Zatoki Admiralicji w Antarktyce. Morze było wyjątkowo spokojne, a woda, na której jeszcze przed chwilą nie było ani jednej zmarszczki, zaczęła niespodzianie pryskać i podskakiwać. Ale tylko w jednym miejscu – gotujący się placek miał jakieś 10 metrów kwadratowych, a wokoło wszystko nadal było gładkie jak lustro.

Przyglądaliśmy się, zafascynowani, a wtedy spod wody, w samym środku placka, wynurzyły się rozwarte paszcze dwóch humbaków. Zamknęły się z głośnym mlaśnięciem. Kryl!

### Najważniejsze zwierzę Antarktyki

Kiedy myślimy o ikonicznych mieszkańcach Antarktyki, niektórym przychodzą do głowy niedźwiedzie polarne. To częsty przypadek, niestety. Dla tych jednak, którzy coś jeszcze z geografii pamiętają i którym nie mylą się bieguny (przypomnijmy: niedźwiedzie polarne żyją w Arktyce, czyli na dalekiej północy, Antarktyka zaś otacza biegun południowy), takimi zwierzętami będą na pewno pingwiny, może jeszcze albatrosy, uchatki, słonie morskie czy inne antarktyczne foki. A jednak żadne z tych wspaniałych zwierząt nie mogłoby istnieć, gdyby nie pewien niepozorny skorupiak, dźwigający na swych wątłych barkach cały antarktyczny ekosystem. Chodzi oczywiście o antarktycznego kryla.

Kryl, czy właściwie szczętki (stosowana powszechnie nazwa pochodzi od norweskiego słowa *krill* oznaczającego narybek, czyli w zasadzie jest systematyczną pomyłką), to podobne do krewetek zwierzęta, których we wszystkich oceanach świata jest w sumie 86 różnych gatunków. Większość z nich ledwo dorasta do około dwóch centymetrów długości, a największy, trzymający się w głębokich wodach otwartych oceanów *Thysanopoda spinicauda*, osiąga tych centymetrów 15.

Kryl antarktyczny, *Euphausia superba*, jest nie tylko jednym z większych (do siedmiu centymetrów), ale też najliczniejszym i najlepiej poznanym gatunkiem z nich wszystkich. Ma przezroczyste ciało o różowym zabarwieniu, dwoje sporych, czarnych oczu na krótkich słupkach i dużo nóg, z których pięć par służy do pływania. Jego wyraźnie segmentowane ciało, jak to zwykle bywa u skorupiaków, pokryte jest chitynowym pancerzem. Skorupiaki zaś to niezwykle zróżnicowany podtyp stawonogów, obejmujący około 70 tysięcy opisanych gatunków, od gigantów takich jak kilkumetrowy krab japoński czy czterokilogramowy krab palmowy, po planktoniczny drobiazg taki jak dafnie i jeszcze mniejsze zwierzęta. Niemal wszystkie jednak mają skrzela ukryte pod pancerzem, a szczętki noszą je na zewnątrz, po czym łatwo je poznać.

Kryl żywi się przede wszystkim fitoplanktonem, czyli jednokomórkowymi organizmami fotosyntetyzującymi, ale czasem przekąsza też drobnymi planktonicznymi zwierzętami i pierwotniakami. Dzięki temu, że znaczną część jego diety stanowią bruzdnice, jednokomórkowe glony w fantazyjnych celulozowych pancerzykach, z których wiele w swych komórkach zawiera świecący związek zwany wdzięcznie lucyferyną (to bruzdnicom zawdzięczamy wspaniałe pokazy świecącego planktonu), szczętki też często świecą w ciemnościach.

Jednak to nie te fascynujące cechy kryla antarktycznego decydują o jego roli. Nie wiadomo dokładnie, ile kryla antarktycznego jest, ale większość szacunków ocenia jego biomasę na około 500 milionów ton. To znaczy, że w rzeczywistości jest to dominujący gatunek na naszej planecie: kilogramów żywego kryla jest na świecie o około jedną trzecią więcej niż kilogramów ludzi! I cała ta masa żyje tylko w Antarktyce. Gdyby uwzględnić wszystkie gatunki szczętek, ich masa byłaby ponad dwukrotnie wyższa od naszej. Nic dziwnego, że wszędzie gdzie są, a występują we wszystkich oceanach na Ziemi, stanowią bardzo ważny pokarm dla mnóstwa innych gatunków.

### Granica na wodzie

Jak to się stało, że właśnie Antarktyka zawiera takie bogactwo? Powinniśmy zacząć od tego, gdzie Antarktyka się znajduje i co to właściwie jest. To ogromny obszar naszej planety, ograniczony od północy frontem polarnym, czyli linią konwergencji antarktycznej. Na środku regionu znajduje się kontynent Antarktydy, jednak Antarktyka to znacznie więcej niż ta lodowa pustynia, w większości pozbawiona życia. To wody Oceanu Antarktycznego otaczające kontynent, a także wyspy z nich wystające. Od północy ocean ten graniczy z Atlantykiem, Pacyfikiem i Oceanem Indyjskim, ale znacznie się od nich różni.

Przede wszystkim jest oczywiście zimniejszy. Światowe oceany wprawdzie wszystkie łączą się ze sobą, ale to nie znaczy, że nasza planeta jest jak wielka miska wypełniona jednolitą wodą. Wody różnią się temperaturą, zasoleniem i gęstością, i niektóre ich części łatwo dają się wyodrębnić. Taką szczególną strefą jest właśnie obszar konwergencji. To tu cieplejsze wody południowych części innych oceanów stykają się z lodowatymi wodami Antarktyki. Nie dochodzi tam jednak do stopniowego mieszania się wód i powolnej zmiany temperatury.

Gdybyśmy, płynąc z północy, prowadzili regularne pomiary, zauważylibyśmy, że na przestrzeni zaledwie kilku mil morskich temperatura spada gwałtownie o kilka stopni – od ok. 10 do ok. 4 stopni Celsjusza. Wynika to z właściwości fizycznych wody. Ta chłodniejsza jest gęstsza i cięższa, przez co zamiast mieszać się z wodą cieplejszą, zanurza się pod nią, zmierzając w stronę dna. Jednak woda jest również lepka, przez co tonące masy pociągają za sobą wody cieplejsze w nieustannym prądzie w dół. Ale, ponieważ wody te w dalszym ciągu mieszają się tylko nieznacznie, cieplejsze masy wciąż są lżejsze, więc dążą do powrotu na powierzchnię, powodując tzw. *upwelling*, czyli nieustanny prąd morski, który przy okazji przynosi ku powierzchni różne minerały, niezbędne do rozwoju fitoplanktonu.

Wody w rejonie konwergencji są jak intensywnie nawożony ogród, co przy charakterystycznych dla rejonów polarnych długich letnich dniach stwarza organizmom fotosyntetyzującym idealne warunki do gwałtownego wzrostu. I z tego właśnie korzysta cała masa zooplanktonu, a wśród niej kryl, który dla bezpieczeństwa łączy się w ogromne ławice. Są one tak wielkie, że czasem widać je z kosmosu, a ich zagęszczenie może wynosić nawet 30 tysięcy osobników w każdym metrze sześciennym wody.

Czyli stół jest bogato zastawiony i korzystają z niego ryby, głowonogi, a także ptaki i ssaki morskie, z wielorybami ↦

JEAN-PAUL FERRERO / BEW

włącznie. Jeśli żyjesz w Antarktyce, to albo jesz kryla, albo zjadasz kogoś, kto go je.

### Pojawiam się i znikam

Wraz z początkiem antarktycznego lata kryl przystępuje do rozrodu. Każda samica może znieść nawet 10 tysięcy jaj, kilkakrotnie w ciągu sezonu. Jaja są cięższe od wody i przez pierwszych dziesięć dni powoli toną, w tempie około 220 metrów na dobę. Na głębokości około dwóch-trzech tysięcy metrów z jaj wykluwają się mikroskopijne larwy zwane naupliusami. Każda z nich ma na razie tylko jedno oko i trzy pary odnóży, którymi zawzięcie macha, żeby wrócić na powierzchnię.

W mrocznych głębinach jest stosunkowo bezpiecznie, ale nie ma co jeść, zresztą nawet gdyby było, to naupliusy i tak nie mają czym jeść, bo narządy gębowe wykształcą im się w dalszych etapach rozwoju. Na razie żyją i rosną tylko dzięki zapasom żółtka, w które zaopatrzyła je mama. Ponieważ skorupiaki mają szkielet zewnętrzny, który nie może rosnąć wraz z nimi, przechodząc do kolejnych etapów życiowej gry młode kryle muszą dosłownie wyłazić ze skóry, czyli linieć. Dopiero w trzeciej fazie życia małych krylątek pojawiają się u nich narządy gębowe, a po wielu wylinkach są już bliżej powierzchni i coraz lepiej radzą sobie same. Jeśli nikt ich nie zje, mogą żyć dziesięć lat.

Co ciekawe, dorosłe kryle, choć pływają wśród planktonu, właściwie nim nie są. Plankton ma bardzo ograniczony wpływ na kierunek swojego ruchu, ale kryl za pomocą gwałtownych skurczów odwłoka może przemieszczać się nawet z zawrotną prędkością pół metra na sekundę, co kwalifikuje go do grupy morskich zwierząt określanej przez biologów jako nekton. To tu należą wszyscy swobodnie podróżujący mieszkańcy toni wodnej.

Szczętki wykorzystują swoje umiejętności do codziennych migracji w wodnej kolumnie. Dni spędzają na głębokości kilkuset metrów, żeby unikać chętnych do ich zjedzenia drapieżników, a kiedy robi się ciemniej (choć w wodach Antarktyki latem tej ciemności jest niewiele), zbliżają się do powierzchni, bo same też muszą coś zjeść, a to właśnie w górnych warstwach wody, czyli w tzw. strefie fotycznej, gdzie światło swobodnie dociera, fitoplanktonu jest najwięcej. Poszczególne osobniki starają się też w miarę możliwości uciekać przed zagładą w czyjejś paszczy i to właśnie takie desperacko umykające kryle widzieliśmy wokół naszego kutra badawczego.

I tak to się latem toczy. Kiedy jednak noce się wydłużają, robi się chłodniej i wody Oceanu Antarktycznego zaczynają zamarzać, te osobniki kryla, które przeżyły nieustanne ataki drapieżników, same zaczynają mieć problem z pożywieniem. Są jednak do tego znakomicie przez ewolucję przygotowane. Antarktyczny kryl potrafi przeżyć nawet dwieście dni postu – w niskiej temperaturze jego metabolizm jest tak spowolniony, że prawie zanika. A ta odrobina życia, która w krylu się tli, podtrzymywana jest przez trawienie własnego ciała.

Większość stawonogów zrzuca swoje zewnętrzne szkielety, kiedy dorasta, ale potem przestaje linieć. Kryl zachowuje tę zdolność przez całe życie i wykorzystuje ją do tego, żeby w czasach chudych się kurczyć! Przy okazji u kurczących się na zimę kryli zanikają cechy płciowe, przez co wyglądają znowu jak osobniki młodociane. Dlatego trudno jest oceniać wiek złapanych osobników. Jednak zima nie oznacza dla nich całkowitego braku pokarmu.

Dopiero kilkanaście lat temu okazało się, że lód pokrywający polarny ocean wcale nie jest wyłącznie strefą śmierci. Wśród zakamarków jego spodniej, porowatej powierzchni żyją glony, które wraz z nadejściem kolejnego lata dadzą początek nowej eksplozji życia. A wraz z nimi żyją powolne, obkurczone, ale wciąż żerujące na nich kryle. Kryl potrzebuje lodowej pokrywy, by przetrwać polarną zimę.

### W zmieniającym się świecie

Antarktyka Zachodnia, którą regularnie odwiedzam od 18 lat, jest jednym z najszybciej ocieplających się rejonów naszej planety. W ciągu ostatnich 50 lat w niektórych miejscach temperatura rosła tu o średnio pół stopnia na dekadę, a ostatnio zmiany te przyspieszyły.

*Humbak goniący za krylem w zatoce Charlotte, Antarktyka*

WILIAM PERRY / ALAMY / BEW

W tej części Antarktyki, która charakteryzuje się największą bioróżnorodnością w całym regionie, lód morski, konieczny dla przeżycia kryla, z roku na rok ma coraz mniejszy zasięg. Jednocześnie na całym świecie, w wyniku pochłaniania przez wodę morską dwutlenku węgla, rośnie kwasowość oceanów. Przyrodnicy określają to jako „ten drugi problem z $CO_2$", przy czym pierwszym jest oczywiście wzrost globalnych temperatur.

Wprawdzie publikowane w ostatnich latach dane pokazują, że dorosłe osobniki kryla są dość odporne na wzrost kwasowości, jednak ich jaja i larwy nie potrafią tak skutecznie bronić się przed zmianami, a kwaśna woda sprawia, że trudniej im budować ochraniające ciało pancerzyki. W ocieplającym się środowisku problem ten staje się jeszcze poważniejszy.

Do tego dochodzą połowy kryla, który używany jest jako pokarm dla ryb i suplement pokarmowy dla ludzi. Według niektórych szacunków od lat 70. ubiegłego wieku biomasa kryla skurczyła się nawet o 80 proc. Bardzo trudno to obliczyć, wiadomo jednak, że zmiany w dostępności kryla mają ogromny wpływ na cały antarktyczny ekosystem.

Linia konwergencji antarktycznej przesuwa się nieco w ciągu każdego roku, a także z sezonu na sezon. Tak się złożyło, że w roku 2012 przesunęła się ona na tyle daleko na południe, że na kilka letnich miesięcy przestała obejmować Georgię Południową, samotną wyspę stanowiącą przyrodniczy raj pośrodku oceanu. Żyje tam około trzech milionów uchatek antarktycznych i kolejne miliony morskich ptaków: kilka gatunków pingwinów, liczne petrele, burzyki, nawałniki, kormorany i albatrosy.

Korzystają z niego ryby, głowonogi, ptaki i ssaki morskie, z wielorybami włącznie. Jeśli żyjesz w Antarktyce, **to albo jesz kryla, albo zjadasz kogoś, kto go je.**

HELMUT CORNELI / ALAMY / BEW

Naukowcy pracujący dla British Antarctic Survey, czyli organizacji odpowiedzialnej za brytyjskie badania w tym rejonie, która na Georgii Południowej prowadzi dwie całoroczne stacje naukowe, mówili mi wtedy, że w tym konkretnym roku ani uchatki, ani zależne od kryla pingwiny nie zdołały odchować prawie żadnych młodych.

Z kolei trzy lata temu przez cały sezon widziałem statki poławiające kryla w okolicach wyspy Couverville w pobliżu Półwyspu Antarktycznego. Oczywiście nie można udowodnić, że to wina odłowów, ale w tym samym roku znajdująca się na tej wyspie i badana od lat kolonia pingwinów białobrewych również odchowała wyjątkowo mało młodych. Nie wiemy dokładnie, ile kryla jest, ale wiemy, że antarktyczne zwierzęta potrzebują go bardziej niż my. Dlatego mam prośbę: nie kupujcie produktów z kryla, które niestety są dostępne również w naszym kraju. One są kradzione z jednego z najcenniejszych ekosystemów świata.

Gdyby Terry Pratchett miał tworzyć wizję antarktycznego świata, to nie intergalaktyczny żółw, tylko właśnie kryl wspierałby go na swoim grzbiecie. Jedno jest pewne – bez szczętek ten ekosystem przepadłby ze szczętem.

© MIKOŁAJ GOLACHOWSKI

*Autor jest biologiem, ekologiem i podróżnikiem, doktorem nauk przyrodniczych i tłumaczem. Jako przewodnik turystyczny odwiedza zachodnią Antarktykę i subantarktyczne wyspy. Dwukrotnie zimował w Polskiej Stacji Antarktycznej im. H. Arctowskiego (raz jako kierownik 32. Polskiej Wyprawy Antarktycznej). Od kilku lat poznaje także Arktykę; na biegun północny dotarł sześć razy. Autor popularnonaukowych książek dla dzieci i młodzieży „Pupy, ogonki i kuperki" i „Gęby, dzioby i nochale", a także książki „Czochrałem antarktycznego słonia".*

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Wreszcie mamy Arkadię*

Strefa wolna od PiS-u, którą dopiero co powołał w Wałbrzychu p. Gospodarz, wydaje się być absolutnie genialnym pomysłem biznesowym, ale i jakby ostatnim ratunkiem dla chylących się ku upadkowi branż – weźmy turystycznej i owej transportu osobowego, a może i dla gastronomii. Zaiste, wiadomość o wycięciu w Wałbrzychu PiS-u w pień i wygryzieniu do samej kości struktur tej partii, i to przez samego Kaczyńskiego, a nie jakiegoś tam Brudzińskiego, nie przez Niemca, Żyda, Araba czy nienormatywnego seksualnie lewaka, nadeszła akurat, gdyśmy arcyponuro siedzieli w kuchni. Siedzieliśmy, sarkając na wszystko z jednej strony, z drugiej zaś snuliśmy stuprocentowo jałowe dziś marzenia na temat dowolnego wyjazdu. Na jakiekolwiek wakacje, dokądkolwiek. Mówiąc wprost, samiśmy próbowali sobie wręczyć wypowiedzenie najmu i pobytu, przynajmniej na chwilę, i w ogóle nie był nam do tego potrzebny żaden biskup.

I nagle bęc. Spadł nam z nieba ów Wałbrzych. A Wałbrzych to przecież – każdy wie – nie jest gdziekolwiek, bo to zaiste miejsce godne wielkich urlopów, i to oczywiście nie od dziś, ani nie od wczoraj. Ale właśnie od dziś jest to jakby Wergiliuszowa Arkadia. Miejsce – popatrzmy – przecudne, o antycznym kształcie, caluśkie w jońskim porządku, ale i ho, ho, z korynckim powabem, w złotych proporcjach, najlepsze dziś w Polsce do relaksu, wyrównania elektrolitów, prześwietlenia nastroju, wyregulowania akcji serca, przetkania tętnic, korekty wad postawy i przeglądu kręgosłupa moralnego. No więc wypadałoby tam pojechać w ciemno, choć słońce teraz w Wałbrzychu nie zachodzi. Choćby człowiek miał nocować pod mostem, nad rdzawo połyskującą miejscową rzeką, bądź to na terenie Rodzinnego Ogrodu Działkowego „Podzamcze", który jest – jak czytamy w Wikipedii – największym ogródkiem działkowym na kontynencie. Spać tam by się chciało, zachrapać na gołej, chłodnej, ale ogromnie żyznej wałbrzyskiej ziemi, na mrozie, pod rozgwieżdżonym niebem Dolnego Śląska. Człowiek by sobie wziął głęboki oddech, korzystając z miejscowego krystalicznego powietrza, choćby miałaby to być pełna przesady przenośnia.

Mamy świadomość, że wałbrzyskie wakacje od PiS-u długo nie potrwają. Że pewnie lada moment przybędą tam w czarnych wołgach partyjni rekonstruktorzy i rekruterzy, z wypchanymi teczkami, w przyciasnych garniturkach. Tym bardziej należałoby się nam spieszyć z wyjazdem do Wałbrzycha, a miejscowi winni szybko windować ceny wszystkiego, do niebotycznych poziomów. Weźmy, niechże kebab kosztuje tam tyle, ile na Polach Elizejskich, pizza tyle, ile w Rzymie, pięćdziesiątka na wynos jak u nas, w Krakowie – czyli sporo za dużo – a byle nocleg, bez łazienki, z toaletą na zewnątrz, tyle co u Ritza w Nowym Jorku na przykład. Niechże przez chwilę Wałbrzych, miasto piękne, ale na uboczu, stanie się stolicą wszechjasności. Takie mamy marzenia i tak to widzimy, mimo mgły mózgowej wywołanej wieczornym czytaniem przy świecy pism razem zebranych Suskiego i Wildsteina.

Tyle ostrożnych marzeń i tyleż obaw naraz, chciałoby się rzec ładnie na koniec, ale jest jeszcze coś. Jest to mianowicie krążąca po mediach informacja, że p. Gospodarz decyzję o trzebieży w Wałbrzychu podjął tylko z jednego powodu. Oto na nagraniach, ujawnionych opinii publicznej, działacze pisowscy z Wałbrzycha przeklinają. Zaiste, klną oni – tak się ongiś mówiło – jak szewcy. Między nami jednak mówiąc, ludzie ci posługują się znormalizowanym językiem polskim, w jego absolutnie podstawowej i wszędzie używanej wersji. Zarzut że klną, że to nieładnie, musiał pośród nagranych i wyrzuconych wywołać szok i niedowierzanie. Wyobrażenie, że ci, którzy przyjdą po nich, będą mówić jakimś innym językiem, to najświeższy dowód na oderwanie p. Gospodarza od realiów dnia codziennego bądź rozkojarzenie i irytację, wywołane przeciągającym się oczekiwaniem na przyjazd wujcia Trumpa, który ma od dawna posłane w pokoju gościnnym. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

# weź, czytaj!

## zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

**Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!**

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

## i w prenumeracie:

### ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

**Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

### CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

| PRENUMERATA | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 420 zł | 540 zł |
| Półroczna (26 numerów) | 240 zł | 300 zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 130 zł | 160 zł |
| Pokolenia** | 365 zł | |
| Karta Dużej Rodziny*** | 365 zł | |

### „TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

| | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna + 4 wydania specjalne | 490 zł | 610 zł |
| Pokolenia** + 4 wydania specjalne | 430 zł | |
| Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne | 430 zł | |
| **4 wydania specjalne** | **75 zł** | |

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚ Z NAMI!

Przekaż 1% swojego podatku
POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ
KRS 0000 136 833

pah
Polska Akcja Humanitarna

Fot. Karol Grygoruk/RATS Agency